

1209  
34.

# ORLIŃSCY

BIBLIOTEKA

URZĘDNIK TOWARZYSTWA KRAJOWEGO

~~SEKCJA II.~~

ORLÉANS

BRONISŁAWA WŁODKÓWNA

# ORLIŃSCY

HISTORIA LUDZI SZALONYCH  
W CZASACH OSTATNICH

POWIEŚĆ, ODZNACZONA NA KONKURSIE »BLUSZCZU«.



1000182565

WARSZAWA  
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

A-18709

Literat. 13a

BIBLIOTEKA

UMCS

LUBLIN

K. 160/56/1833

---

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SP.

„Jest w orszaku ludzi polskich geniusz lotny, jest od przemocy zameczona czcigodna wola.

Są ludzie nowotnej Polski o duszy niebiańskiej, motyle cudnoskrzydłe rodu człowieczego, kwiaty cudowne w rubasznem pustkowiu“.

*St. Żeromski „Duma o hetmanie“.*

Dziwny to był ród tych Orlińskich: ni to pany, ni to szlachta. Pierwsi nieradzi widzieli ich w swoich rządzie, do drugiej im niełatwo było się poniżyć, bo i jakże? Krew senatorską mieli w swoich żyłach i na starym, pańskim dworcu siedzieli. Za czasów Zygmunta Augusta żył w województwie lubelskiem wielce zadziwnej fantazyi kawaler: nic mu było sejmik rozegnać, nic samemu wojewodzie do oczu stanąć, on by i przed królewskim majestatem karku nie ugiął. Do wszelkich nowotnych rzeczy bardzo był ciekawy; mówiono o nim, że miał konszachty z Włochami królowej-matki, którzy się to później z Socyniany i z Aryany sprzęgli. Do obcych krajów podobno jeździł, z uczonymi ludźmi Odrodzenia w dysputy wchodził, książek różnojęzycznych do dworku szlacheckiego nawiózł, alchemią, astrologią i innym tajemnym kunsztem rad się zabawiał. Nad wszystko zaś lubił na lutni grywać, choć dłoniom szlacheckim, od szabli stwardniałym, mdłe struny nie dość były powolne. Tak ci jednak

w rzemiośle muzykiem był rozmiłowan, że choć z biedą, a ku ucieście serca swego na instrumencie pobrzękiwał.

Ten ci krwi gorącej, głowy na wszystko otwartej, serca czułego szlachcic, Paweł na Orlińcach Orliński, herbu Orle skrzydła, był pierwszym utwierdźcicielem dumnego Orlińskich rodu i jego splendoru twórcą.

W owe czasy mieszkał w województwie lubelskiem pan dumny, choć nie nazbyt możny, kasztelan Rawita Bronowiecki, pan na Bronowcu. Poskąpiły mu nieba dziedzica płci męskiej i tylko jedną dziewczką obdarzyły. W niej też całą nadzieję życia swego pokładał pyszny magnat, między co najpierwszymi panami Rzeczypospolitej męża dla swej Hanny upatrując.

Nie była ci ona wielce urodna, ani wdzięczna, prędzej się jako mężczyzna, niż jako dziewczeczka ze znacznego rodu widziała. Postawy wyniosłej, ruchów żołnierskich, rysów twarzy grubo wyciosanych, tylko brwi, niby dwa jaskółcze skrzydła na wypukłym czole rzucone i nad nosem się zbiegające, kosy grubachne, ciemne, aż do kolan zwisłe i usta krwawe, wydatne, całą jej okrasę stanowiły. Do korda, do konia, do łowów wrywała się od krosien i kądzieli ta kasztelańska jedynaczka. Jedyne dziewczce przystojnem zatrudnieniem była jej lutnia. Od jednego z lutnistów królewskich na grodzie wawelskim w sztuce tej ćwiczona, umiała tak dźwięczne tony ze strun wydobywać, że najdzielniejsi, najmniej czuli rycerze w tęskną zadumę, słuchając jej, wpadali. A i ona w oczach się przy grze swej przeistaczała. Jakby jakąś pieśnią zwabiona boginka maluśkimi rączkami po licu jej gładziła. Chmurne

czoło stawało się jasne, usta zacięte słodycz rozchyłała, w oku stalowem rosa łez się szklila.

Taką ją raz w zachwyceniu muzycznym pogrążoną ujrzał na tarasie dworca imci pan Paweł na Orlińcach Orliński... ujrzał i na śmierć i życie umiłował. Hardością swoją niepomierną pchnięty, do stóp jej runął i wdzięcznymi słowy o afekcie swoim prawił.

Rycerska dziewczka, chmurną i ostrą głowę między ludźmi nosząca, nienawykła była do pieśczonej słów i miłosnych wyznań, to też oświadczyzny pana Pawła Orlińskiego buchnęły jej, jak mocne wino, do dumnej głowy i w zupełny wprawiły ją zawrót. Od tej godziny kasztelanka dzień i noc o śmiałym, a czułym rycerzu dumiała i sercem do niego biegła. Aż ojcu oko w oko stanęła, afekt swój wyznała i o błogostawieństwo dla wybranego małżonka prosiła. Uniósł się kasztelan gniewem strasznym, córce chłostą lub zamknięciem za kratą klasztorną groził w razie, gdyby się przy swoim wyborze upierała.

Niedarmo Hanna brwi nad nosem miała zbiegłe, niedarmo usta zaciśnięte: świadczyły one o wielkim harcie ducha i śmiałości w czynie. Dowiodła tego kasztelanka: po rozmowie z ojcem na koń w jednej szacie siadła i do progów umiłowanego człowieka pognąła. Tego dnia jeszcze ksiądz z najbliższej parafii ręce im stułą na wspólną dolę i niedolę związał. Ksiądz bał się kasztelańskiego gniewu, ale bardziej strasznymi były mu zapalczywe oczy Pawła Orlińskiego, więc choć łzami gorzkimi się zalewał, ślub zawadyackiemu szlachcicowi z jedynaczką kasztelańską dał.

Stary pan ryczał z wściekłości, ale już nie pora

była przeciwko woli Bożej stawać. Nie chciał jednak nigdy ani córki, ani zięcia, ani wnuka oglądać, wyjechał w dalekie kraje i tam życia dokonał. Wówczas Bronowce przeszły w Orlińskich ręce, ale nie chciał w nich osiąść pan Paweł, wieczną urazę do teścia w sercu żywiący, że nim pogardził i do swojej równości nie dopuścił. Pozostał więc dworzec bronowiecki w zaniedbaniu, niszczącej czasu dłoni na zagładę oddany, a jeno sprzęt wielki czy łupem na wrogach wzięty, czy z krajów obcych zwieziony, czy przez miejscowych rzemieślników dokonany, a także różne makaty, szpalery i inne ścian ubranie, zbroice też i rynsztunek wojenny, wszystko, co komnaty kasztelańskiego dworca ubierało, zostało zwiezione na licznych wozach do Orliniec, gdzie pan Paweł dla swojej Hanny iście pański, obszerny, modrzewiowy dwór, z wielkimi salami, korytarzami, łodzią i podjazdem wystawił.

Od tego ożenku Pawła z kasztelanką datowało się to szczególne stanowisko, jakie Orlińscy wśród okolicznych rodów zajmowali.

Panowie, gniewni za despekt, jaki im Hanna wyrządziła, łącząc się z prostym szlachcicem, dumne czoła pokazywali jej i jej potomkom. Szlachta z zawiścią spoglądała na jednego z pośród siebie, który wielką krwią ród swój wzmógł, a ziemią i dobrem wszelkiem fortunę podniósł. Tak z jednej strony gardzeni, z drugiej zazdrości przedmiotem będący, Orlińscy, z natury swej nie łączni do kumania się z ludźmi, trzymali się na uboczu, hardzi, nad wszystkich się wynoszący. Że zaś Paweł potomkom swoim dał umysł otwarty, ciekawość do wiedzy, serce czułe i charakter



nieułekły, Hanna zaś górne maniery, wielkie tradycje, do konia i szabli sprawność, a nadewszystko niezwykle w sztuce muzycznej zdolności i umiłowanie, więc się też Orlińscy mieli z czego ponad poślednią szlachtę wynosić i największym w narodzie równymi czuć. Mimo tych bogactw przyrodzonych nie dostępowali znacznych urzędów, ni dostojeństw, bo zbyt twarde mieli karki. Nie powiększyli też fortuny, bo o dobro ziemskie mało dbali, a na nędzę byli czuli i skwapliwie ją opatrywali.

Tak więc ród ten trzymał się w mierze przez ciąg wieków; ni szarem, rubasznem morzem szlacheckiem, ni złotą, połyskliwą, a próżniaczą falą magnaterii nie pochłonięty, sterczał niby samotna skała, niby kwiat przedziwny, sokami ziemi rodzinnej przesycony, niby synteza wszelkich wad i zalet narodowi polskiemu właściwych.

Czuli się każdą kroplą krwi, każdym drgnieniem serca, każdą myślą smętną czy lotną prawymi swej ojczyzny dziedzicami, to też miłowali ją z właściwem swej naturze zapamiętaniem, dla nieszczęsnej na największe szaleństwo gotowi; gdy się jej losów niebo chmurami zaciągnęło, nie znali spoczynku ni radości, szli, gdzie bój o nią wrzał, krwi strugami zlewali ziemie cudze, w dalekich więzieniach za nią cierpieli; nie było takich dla jej zbawienia zamierzeń, w którychby nie brali udziału, nie było takich pobożowisk, na którychby kości ich nie białały.

Nie myśleli, nie wazyli roztropnie: będzie - li zwycięstwo, czy tylko zatracona ofiara swoim ku zbudowaniu? Miłość wielka niosła ich na skrzydłach za-

chwycenia, gdy jeno głos: „Czuj duch“ o szyby starego ich dworca zadzwonił. Nie było dla nich nigdzie ni za daleko, ni nadto obco: wszędzie, gdzie nieśli serce czujące, nieśli ojczyznę, gdzie byli sami z sobą, czuli się swojo. To też na różnych Campo Santach i w Montmartru sypkim piasku i w tundrach Sybiru kładli do cichego snu marzycielskie głowy.

Jak byli wierni w kochaniu, tak i pamiętni w nienawiści: raz żal do kogo poczuwszy, nie wybaczali mu życie całe. Choćby nawet czoło chylili przed jego czynami, swojej urazy zapomnieć nie mogli. Taki nieusunięty kamień gniewu padł w pierwszej połowie ubiegłego wieku między dwu braci, dwu dziedziców Orlińskich nazwiska i mienia.

Starszy, Adam, siedział w Orlińcu, młodszy, Joachim, w pobliżu ruin bronowieckich dwór sobie pobudował. Adam, jak większość Orlińskich, chmurny, nieprzystępny, głęboko czujący i wielkiego mniemania o swoim rozumie, po przedwczesnej śmierci rodziców zajął się majątkiem i wychowaniem o lat kilkanaście młodszego brata. Ten rozśpiewany, poetyczny, jak iskra zapalny młodzianek był mu największem ukochaniem. Radował się nim, jak rodzonym synem, majątku dlań dorabiał, wykształcenie staranne dał, za granicę wysyłał. Gdy to wykwintne, utalentowane paniątko do starego dworca zjeżdżało i napełniało modrzewiowe ściany muzyką, gwarem, śmiechem, brat starszy czoło rozchmurzał i rozkochanem okiem biegł za jego ciemną, kędzierzawą głową. Na wszystko był dlań gotów, krwiby serdecznej nie pożałował, jednego tylko wymagał w zamian: nie wtrącania się do rządów

majątkiem. Joachim rad był z tego. Poeta, muzyk, podróżnik, byle miał grosz gotowy, o resztę nie dbał. Aż oto raz po dłuższej niebytności zjechał do domu jakiś inny. Oczy miał zmęczone od nocnych nad księgami czuwań, na policzkach rumieńce zapału. Zaraz pierwszego wieczora oświadczył bratu, że przyjechał odebrać część przynależnej mu ziemi. POCO? Chce rozdać ją między pracujących na niej chłopów, jako jej przyrodzonych panów. Jemu, prócz zebranych przez przodków na wojnach zbroic i sprzętów, nic się nie należy. Żyć będzie z tego, co własnymi rękoma lub umysłem zdobędzie. Zabierać owoc pracy innych wydaje mu się niegodne, przeciwko sprawiedliwości krzyżujące.

Adam, rozkochany w ziemi rodzinnej, którą stopami swemi zdeptał i potem utrudzenia skropił, uważał zamiar brata za szaleństwo i sądził, że swą stanowczością do jego przeprowadzenia nie dopuści. Gdy jednak Joachim się zaciął i swoje żądanie bezustannie powtarzał, Adam gniewem przeciwko niemu wybuchnął. Uszczuplanie majątności Orlińskich rodu, który mu się tak świetnym widział, oddawanie w ręce chamskie wsi kasztelańskich zdawało mu się zbrodnią przeciwko przodkom, przeciw rodzinie całej, hańbą niesłychaną i niczem niezatartą. Bryzgał gniewem i klątwami w przepaloną marzeniem pierś brata i niecił w niej tem silniejsze iskry zapału do zamierzonej ofiary.

Rzucili sobie bracia w oczy obelgi krzywdzące i rozeszli się na zawsze w gniewie i niezrozumieniu. Adam został w Orlińcach chmurny i milczący, jak obrażony majestat. Joachim z całym zapałem rzucił się do

wykonania dzieła. Ale byli, którym się jego myśl nazbyt śmiałą, nazbyt przeciw porządkowi istniejącemu występującą zdała, więc położyli rękę wszechmocną na nim i na jego majątności. Jego powieźli w dalekie, mroźne kraje, ziemie zabrali sobie. Chciał rozdać chłopom, więc nic mu po niej, a i chłopom nic także, rządzićby się sami nie umieli. Nie skruszyło to obce prześladowanie, ta przemoc wroga, zagniewanego serca Adama. Ni jednym słowem do brata się nie odezwał. A i on w nędzy, w tęsknicy milczał zawzięcie. Pojechała za nim los ciężki wygnańca dzielić uboga krewniaczka, w domu Adamostwa poznana. Ona była mu jasnym promieniem, cierpliwą dozorczynią w chorobie, która na wątły organizm wnet się rzuciła, ona zamknęła miękką dłońią te dumne, czarne oczy na wieczny spoczynek, a konającemu przysięgła wychować syna jedynaka tak, aby był, jak inni Orlińscy.

Gniew z brata przeniósł Adam na bratową i bratankę. Nie wolno było w Orlińcach wymawiać ich imienia. Żyli więc w dalekiem, obcym mieście w niedostatku i wiecznej tęsknocie. Chłopak, Stefan, rósł silny i zdolny i, jak wszyscy z jego rodu, do nieznaney ojczyzny, do gniazda pradziadów przywiązany, marzył, by kiedyś, kiedyś po latach wrócić tam z matką, przeprosiny stryjowskie usłyszeć, w zamian ojcowską krzywdę darować. Matka nie doczekała tej chwili; pracą nad siły, oszczędzaniem nadmiernem zmęczona, zostawiła dorastającego już chłopca samym na cudzej ziemi. Nie przepadł, o Orlińcach nie zapomniał, gdy tylko studia inżynierskie ukończył i skromną posadkę na kolei miał obiecaną, ruszył do swoich, do starego dworu, aby

upaść w otwarte ramiona, usłyszeć słowa skruchy i miłości. Powitała go radośnie stryjenka, brat stryjeczny, Julek, a najgoręcej siostra jego, Jadwiga. Pytaniom i opowieściom nie było końca. Ten zdała przybyły, obcy dotąd, a taki jak oni wybujały, czarnobrewy, hardy, pełen ognia i siły młodzieniec blizki im się wydał i kochany. Lecz, gdy starszy pan nadszedł do dworu, lęk na nich padł.

— Kto to?

— Syn Joachima.

Ręką drzwi mu bez słów pokazał.

Zbladł młodzieniec i ze śmiertelną urazą w sercu ze starego dworu ojców na zawsze wyszedł, a za nim poszło nagłym płomieniem ogarnięte serce Jadwigi. I znowu było tak, jak przed wiekami z kasztelanką. Stary pan nie chciał nawet słuchać słów córki, klątwą groził, gdyby się odważyła myśleć o wyklętego brata synu, a ona bez wahania dom ojcowski porzuciła i za umiłowanym poszła. Znalazła go na najbliższej stacyi kolejowej, pełnego urazy, ale też i wspomnień słodkich o poznanej krewniaczce i na moment ujrzanym dworze modrzewiowym. Bez majątku, z klątwą ojcowską pojechali w daleki, obcy kraj na wspólną dolę i niedolę. W dworze orlinieckim mówić o nich nie było wolno. Rodzona matka, przywykła słuchać despotycznego męża, nie odważyła się nawet pisać do Jadwigi. Brat, Julian, i jego młoda żona, Helena, dawna koleżanka wyklętej, cichaczem tylko wspominali o niej. Jedna jedyna osoba we dworze, stara Francuzka, mademoiselle Amélie de Vrieux, popularnie Mazelą zwana, nauczycielka Jadwigi, miała dość odwagi, aby za po-

średnictwem swej kuzynki, mieszkającej w Warszawie, korespondować z nią, a raz nawet, gdy Jadwiga, wówczas już, dzięki świetnemu stanowisku męża, nie licząca się z groszem, przyjechała do kraju, aby pokazać ziemię rodzinną dwu kilkoletnim synkom, Tadeuszowi i Pawłowi, Mazela wybrała się na spotkanie jej i potem, w ciszy swego przesiąkniętego wonią lawendy pokoiku, opowiadała starszej pani i młodemu państwu o tem, że Jadwinia „est toujours une très distinguée dame et ses deux garçons sont de vrais bijoux“.

Dzielny inżynier umarł na obcej ziemi. Jadwiga wychowywała swych dwu chłopaków i córkę jedy-naczkę w obcym mieście z wielkim staraniem, a starszy pan wciąż bronił wstępu do dworu orlinieckiego potomkom brata. Taka była zawziętość w tym dziwnym rodzie.

---

Pani Helena Orlińska była, jak gasnąca lampa, różowa lampa sypialniana, która pieści miękkim światłem do snu zasłane łóżka, świetlane zorze kładzie na główki dziecięce, za białą siatką do haftów poduszek przytulone. W jej różanej poświacie cichy zakątek mieszkania taki jakiś przytulny i miły, po małych buziach uśmiechy błędzą, znużone czoła ludzi dużych znajdują wytchnienie. Wtem światło lampy blednąć poczyna, coraz gęstsze mroki tulą się po kątach, ninkną w oćmie nocnej uśpione dziecińcy, sypialnia staje się obca i smutna. Z lękiem oko wlepia się w gasnącą lampę, z zapartym oddechem człowiek, nawykły do jej

radosnego światła, śledzi zanikanie blasków, chwilami zda mu się już, już płomień zachwiał się i ginie... lecz nie, znowu miga słaby, słabiusieńki, ale przecież widoczny, z panowaniem mroku walczący.

Tak na kochaną, promienną twarz pani Heleny spoglądały z codzienną trwogą jej dzieci. Każdy silniejszy dźwięk głosu, każdy ruch żywszy, zwiększony trochę apetyt przyjmowały z uśmiechem wdzięczności i otuchy. Jeszcze ona jest między nimi, jeszcze jej nie pora odchodzić. W tej chwili oto właśnie siedzi otoczona nimi w gabinecie dworu orlinieckiego.

Jest wieczór, na okrągłym stole mahoniowym, ścięciem jasnej inkrustacyi ozdobnym, płonie lampa bronzowa. Ugiął się Atlas silno - łydy pod ziemską kulą, służącą za zbiornik nafty. Stach Orliński z rzewnym uśmiechem spogląda na Atlasa. Niegdyś za lat dziecięcych, Mazela straszyla go, gdy był niegrzeczny, tym siłaczem, co lampę dźwiga.

W długim fotelu na kółkach, w biel poduszek wtulona, siedzi pani Helena. Przejrzyste, długie i wąskie dłonie, jak niebywałej piękności rzeźby, złożyła na kraju stołu i z uśmiechem śledzi przebieg zawilego pasyansa, który obok układa Mazela. Francuzka z głową w siwo - żółtych loczkach, w wykwintnej popielatej jedwabnej bluzce, szlarczkami, żabotem, bufeczkami ozdobnej, z prawdziwie galijską werwą rozkłada przywiedłemi rękoma szeregi pików, trefli, kar i kierów.

— Voyons, voyons, Hélène! — wykrzykuje co chwila.

Stach, młodzieńczyk osiemnastoletni, nieduży, szczupły, z jasną, jak matczyzna, głową i z takimi,

jak jej, barwy lnu oczyma, wsparł się łokciem na stole i promiennem spojrzeniem przechodzi z twarzy matki na twarz Francuzki.

W otwartych na werandę drzwiach, przez które płynie słodka woń nocy letniej i jej tajemne odgłosy, stoi Wanda Orlińska, dwudziestoletnia pannica, wielka, barczysta, z silnie rozwiniętym biustem, bladą, chmurną twarzą, zaciętymi, grubymi, o barwie krwi wargami; duże nad oczyma, jak skrzydła jaskółcze, smugi brwi i grube warkocze, zwinięte na tyle głowy, czynią ją wiernym portretem z wyblakłego konterfektu spoglądającej kasztelanki Bronowieckiej.

W czarnej żałobnej sukni wygląda, jak zjawisko tragiczne i ponure, bezgwiezdna noc przy świtowych twarzach matki i brata.

Do drugich drzwi z głębi mieszkania nadchodzi wciąż starsza córka pani Heleny, Antonina, obrzuci okiem troskliwym twarze kochane i wraca z powrotem do poprzedniej krzątającej domowej, która w całości na niej spoczywa. O dwa lata tylko starsza od siostry, a wygląda na istotę zupełnie dojrzałą, zrównoważoną, swych myśli i swych czynów świadomą, i stąd w jej twarzy jest spokój, nie ten z braku wzruszeń płynący, lecz z siły takiej, która zawsze na siebie liczyć może.

Ma Toninka brwi Orlińskich uparte i ich wargi pełne, zmysłowe, ale ma także ich tęsknicę w szarych oczach i matki słodycz w owalu twarzy.

Tych troje śledzi oczyma pełnemi trwogi gasnące życie matki i pragnęłoby ją zawrócić z drogi, po której już idzie w ślad za mężem i teściami.

Nie pożegnawszy jedynaczki, zmarła stara pani



Orlińska. W trzy lata później z Monte Carlo przyszła okrutna wieść o samobójstwie Juliana. Pojechał ratować nieumiejętnem rządzeniem zaszargany majątek i zgrał się do ostatka. Ten piorun zgruchotał do reszty krzepkiego na umyśle, choć paraliżem nóg do fotelu przykutego pana Adama.

W domu żałoby, na ruinach majątku została delikatna, czerwim suchot zdawna toczona pani Helena, troje młodych dzieci i stara Francuzka. Zarysowały się ściany rodzinnego gmachu Orlińskich, od wieków władanemu przez nich majątkowi zagroziła przymusowa sprzedaż. Wówczas na wieść tę przyszła ze Wschodu depesza:

„Kupuję Orlińce. Przyjeżdżam we czwartek wieczór. Jadwiga“.

I oto nadszedł wieczór czwartkowy. We dworze orlinieckim czekano na przyjazd Jadwigi po raz pierwszy po latach dwudziestu pięciu.

Wszystkich myśli snuły się koło tej, która miała postanowić o dalszym ich losie i o losie gniazda rodzinnego, zbyt jednak pełni byli wątpliwości, obaw, drżeń, aby móżdż mówić o tem w potocznej gawędzie. Każdy dumania swe i uczucia krył w głębi duszy, a innym twarz ufną i radosną pokazywał. Co chwila tylko któreś oczy biegły ku żółkłej tarczy zegara z kolumienkami, który cykał na kominku marmurowym. Te czarne, śmieszne w swej długości wskazówki, idące tak wolno swą drogą, zdawały się urągać ich niepokojom.

— Szarpacie się, szarpacie, istoty ludzkie. Przyj-

dzie pora, dojdę do celu i spełni się wasze przeznaczenie.

Lecz oto najsłabsze nerwy buntować się poczynają. Wanda gwałtownym ruchem przeciągnęła swe wielkie ciało.

— Ohydna rzecz czekanie!

Jęknęła rozpaczliwie.

Stach rzucił niespokojne spojrzenie na matkę, na której twarzy zaledwie leciutki rumieniec zaznaczył drgnienie serca.

— Cóż ty, taka na wszystko obojętna, dziś wyjątkowo przejmujesz się przyjazdem ciotki? — zagadnął żartobliwie.

— Cóż ja? Toż dla mnie epoka ten przyjazd!

— Ho! ho! Siostrzyczka na wielkim koniu galopuje. Zaraz epoka — ogromne słowo.

— Epoka! żebyś wiedział. Ciotka jest człowiek, silny człowiek, wstrząśnie tym naszym zmurszałym dworcem, wyważy okna na szeroki świat, napuści świeżego powietrza, słońca, da piersiom wolno oddychać, sercu żwawo bić, myślom szybować. Skończy się to wstrętne wegetowanie.

Przejrzyste oczy pani Heleny z wyrazem nieopisanego lęku spojrzały na córkę. Stach uchwycił to spojrzenie, zrozumiał je i czempędzej starał się nadać mu inne zabarwienie. Zaśmiał się swobodnie.

— O la! la! Panienska dokąd? Radzę zawrócić. Koturny na nic. Ciotka już człapie w pantoflach, wszak dobiega pięćdziesiątki.

— Orlica i w zgrzybiałym wieku orlicą pozostanie.

— Orlice nie lubią, gdy im piskłeta w skrzydła się płaczą.

— Śmieszny jesteś, doprawdy, że śmieszny. Niby to ja pisklę? Żebyście raz przecie zrozumieli, uwierzyli w pewnik niezawodny, że ja już jestem człowiekiem, skończonym człowiekiem, nie tylko gotowym, lecz także zdolnym odpowiadać za swe czyny. Nie rozumiem, skąd ten daltonizm na punkcie mego charakteru. Chyba dyktuje go zawiść, że inna, niż wy, że bardziej Orlińska, bez skażenia krwią słabszą, nikczemną.

Wysunęła naprzód dolną szczękę, zjeżyła brwi. Coś było szalonego i okrutnego w jej twarzy. Kipiała w niej cała zapalczliwość, cała nieugiętość rodowa.

Usta pani Heleny wygięły się grymasem krzywdzonego dziecka. Na jej słabą głowę padały, jak kamienie, te wyrzuty córki. Tak, ona nie miała hartu ni dzielności Orlińskich, kwiat była wonny, barwny i krucho. Szanowała ten ród, w który weszła, lecz i bała się go na równi. W własnym dziecku, w Wandzie, z jej sercem widziała rozrastające się coraz bardziej groźne dla niej właściwości krwi. Toninka i Stach odziedziczyli macierzyńską słodycz i promiennosc, czuła, że są jej dziećmi, ale ta dziewczyna harda, gorąca była jej obcą i wrogą. Od lat najwcześniejszych wybuchały między nimi nieporozumienia, starcia, raniące matkę, a w kamień obracające serce córki. Zapominała, że ta matka to przecie dogasający płomyk, że lada silniejszy podmuch zgasić go może na wieki, i wszystek nagromadzony w sercu żal, całe rozhuka-

nie swej natury zionęła w twarz chorej w wyrzutach i skargach.

Francuzka położyła karty na stole, wyprostowała się, podniosła dumnie siwą głowę i wybuchnęła jadowitym śmiechem.

— Plus Orlińska, parfaitement ! Les vrais Orlińscy ce sont de grands seigneurs, très distingués, très comme il faut. Et toi, ma pepite, toi, tu es mal élevée, tu cris, tu n'as pas du respect pour ta maman.

— Mazela zapomina, że czasy idą naprzód, że teraz nie pora na perfumowane słówka, na wersalskie maniery. Teraz się żyje szczerze, po prostu, teraz brak czasu na frazesy.

— Mnie się zdaje, że tobie czasu wolnego nie brak ! — rzekła głosem równym, spokojnym Toninka, którą ożywiona rozmowa przywołała na próg gabinetu.

— Tak, masz słuszność, mam go dość, mam go zawiele, ale nie ze swojej winy, z waszej, tylko z waszej. Wasza ciemnota, wasze przesady trzymają mnie tutaj, w tem zapleśniałym więzieniu, zdala od świata, od ludzi, od czynu. Ja ginę, ja marnieję, mnie pożera ta pustka, to czcze życie. Dusza wyrывa mi się tam, gdzie wre myśl górna, gdzie stają się rzeczy nowe i wielkie. Ale wy mi zazdrościcie moich pragnień, moich porywów, wy chcecie mnie uczynić na obraz i podobieństwo swoje, spokojną, trwożliwą, i dlatego nie pozwolicie mi stąd wyjechać, dlatego przykuwacie mnie do taczek powszednich zabiegów i trosk. Sądzicie, że się zmęczone, że ulegnę, że będę cichego i pokornego serca. O nie, póki tchu

w piersi, póki krwi w żyłach, póty walczyć będę z waszem wstecznictwem, z waszem tchórzostwem — i zobaczymy, kto zwycięży, zobaczymy!

Jej wypukła pierś podnosiła się i opadała szybko, za gardło chwycił histeryczny spazm, głos podrywał się wysokim tonem, to znów harczał niemal szeptem. Cała postać przygięta, oparta o uszak drzwi, czyniła wrażenie targanej burzą, której nie było siły, ni woli zmódz.

Umilkła i w pokoju była przez chwilę cisza, jak na polu walki, gdy naraz z piekielnym zgrzytem granat pęknie. Pani Helena pochyliła głowę nisko, niziutko, jakoś zapadła w siebie, zmałała. Francuzka była zgorszona do najwyższego stopnia. Stach wstrzymywał skurczem powiek wzbierające łzy. Jedna Toninka gotowa była do walki, tylko skupiała myśli, uciszała gniew, by stanowczością i spokojem opanować siostrę. Wreszcie rzekła :

— Jakże tobie, Wando, samej w świat iść, skoro nie umiesz nawet swymi nerwami rządzić? Unosisz się, nie wiadomo z jakiej przyczyny, wypowiadasz zdania szumne, ale bezsensowne. Jestem przekonana, że sama dobrze nie wiesz, czego chcesz.

— Chcę wolności, chcę wiedzy, chcę czynu.

— No tak, zapewne, ale to są dopiero słowa. Co jednak właściwie rozumiesz przez wolność, wiedzę i czyn, jakbyś to wykonała w rzeczywistości?

— Wiesz dobrze, nieraz mówiłam: chcę jechać na uniwersytet.

— Czy przez zamiłowanie do nauki, czy przez

pragnienie przygotowania się do zajęcia wybitnego stanowiska w społeczeństwie?

— Tymczasem chcę rozszerzyć swój światopogląd, chcę rozjaśnić mroki umysłu, wzrość na duchu. Potem zobaczę.

— Masz tyle tutaj książek, możesz rozjaśnić sobie umysł, ile chcesz.

— Po omacku, bez wskazówek, bez dyskusji, krystalizującej pogląd.

— Sądzę, że nie masz dostatecznego przygotowania do studyów uniwersyteckich. W twojej głowie taki chaos.

— Nie moja wina, nie moja. Wy nie umieliście pokierować mojem wykształceniem, wy zaśmiecaliście mi umysł bredniami, wy dawaliście mi lizać wiedzę po wierzchu. Chcieliście uczynić ze mnie dobrze wytresowaną, pustą lalę, ale nie człowieka. Broń Boże — człowieka, bo człowiek myśli i działa, a wy boicie się moich myśli i mojego działania, bo jestem silna, bo jestem śmiała, bo otrząsnęłabym się z waszych przesądów, z waszej etyki, poszłabym swoją własną drogą, daleką od waszej, wyższą od waszej drogi.

— Znów się unosisz, Wando. Odbiegasz od przedmiotu. Staraj się mówić choć chwilę spokojnie.

— Nie mogę, bo to jest moja krzywda, mój ból serdeczny. Ty możesz rozważać tę rzecz chłodno, ty możesz niczem się nie unosić, bo masz krew letnią, charakter zrównoważony. Wszystkie twoje pragnienia twoje wzloty zamykają się w granicach Orlinec; tu cały twój świat, twoje ukochanie; mogłabyś stąd aż do

śmierci się nie ruszyć i nie czułabyś przymusu, niewoli, byłabyś szczęśliwą, zupełnie szczęśliwą.

Naciągnięte wytężeniem woli rysy Toninki naraz rozsunęły się jakoś, zmiękły. Zionęła z nich troska serdeczna, niepokój tęskny.

— Tak, Wando, tak, gdybym tu tylko mogła zostać!

— O to chyba możesz być spokojna.

— Kto wie?

Na twarzy Wandy odmalowało się zdziwienie. Spoglądała przez chwilę na siostrę pytająco.

— Co? — rzekła — ty przypuszczasz, że ciotka mogłaby?...

— Daj pokój. Poco teraz o tem? Idź lepiej wyjrzeć przed ganek, bo psy jakoś naszczekują.

Wanda wyprężyła się, jak struna, cała zamieniła się w słuch i nagle wyłowiła z ciszy daleki turkot powozu.

— Ciotka jedzie! — krzyknęła przeraźliwie i rzucała się w mrok nocy.

---

Życie przesunęło po Jadwidze Orlińskiej szorstką dłoń; ukochany, nad wszystko uwielbiany ojciec zatrzasnął przed nią drzwi rodzinnego domu; niedostatek w pierwszych latach pożycia małżeńskiego zmuszał tę wykwintnie wychowaną, otaczaną zbytkiem pannę do pracy na chleb powszedni; zżytej ze wsią, z zagonem rodzinnym każdym uderzeniem serca los kazał pędzić dni w murach miejskich, na obczyźnie;

po dwu synach, zdrowych, zdolnych chłopakach, urodziła córkę, piękną wprawdzie, jak boginka leśna, lecz nadmiernie przeczuloną, niesamowitą, blizką granicy, u której kończy się świadome bytowanie umysłu ludzkiego. Gdy wreszcie otoczył ją dostatek, serce przywykło do dziwnego dziecka, zablizniły się nieco dawne rany, przyszła śmierć krokiem czającym i zgasiła po krótkiej walce życie najdroższego człowieka, męża, za którym, „ojca i matkę rzuciwszy, poszła na dolę i niedolę“; a potem jeszcze marli zdała rodzice, brat, bez słowa pojednania, bez ostatnich serdecznych spojrzeń. Było nad czem wyplakać oczy, zgiąć grzbiet w beznadziejnym pochyleniu, opuścić głowę znużoną. Lecz Jadwiga Orlińska była z tych, którzy dumne czoło i śmiałe spojrzenie ukazują igraszkom losu. Płakała tylko, gdy w jej sercu tkliwa, dobra zabrzmiała nuta. Chyliła głowę jeno pod pieściwą dłońią, do kochanych stóp.

Oto w tej cichej, wieczornej godzinie z czarnych jej oczu płyną łzy obficie. Serce rozedrgało wielką, cudną, a dawno niesłychaną pieśnią. Biją w nie głosy pól o letnim zmroku, dalekie kumkania żab, ostre krzyki derkacza, gdzieś z przyzby tony harmonijkowe. Bije woń dostałych zbóż, łąk w firletkach i dzwonek. Bije widok wykręconych wierzb nad rowami, rozkołysanych łąnów, niby fale oceanu w ciemności, i nikłych światełek we wsiach, przytulonych do łona matki-ziemi. Kochane rzeczy, od dwudziestu pięciu lat nie widziane! Oto krzyż na rozstaju, oto mury zwalisk bronowieczkich, oto aleja lipowa, a za nią już brama, wyżwirowana droga wokół trawnika, wielki, stary dwór, światła w oknach, ganek, na stopniach ciemne postacie. Psy



z ujadaniem rzucają się do powozu, wysoka postać dziewczęca staje u drzwiczek, chwytą ręce przybyłej i szepce zdławionym od wzruszenia, a dziwnie znającym głosem :

— Ciocia! ciotuchna! już! nareszcie!

Jadwiga tuli głowę dziewczęcia do piersi i całuje bujne, szorstkie włosy, takie same w dotknięciu, jak włosy jej chłopaków. Ją samą ogarnia do szczytu napięcia dochodząca tkliwość. Czuje, że wraca do siebie, między swoich.

W sieni ostre ukłucie w serce: jest rozplakana Mazela, jest druga siostrzenica, jest chłopak, ale niema najważniejszej osoby, niema Heleny. Niespokojne oczy biegną ku drzwiom, Stach ze zwykłą intuicyą odgaduje ich mowę.

— Mama czeka w jadalnym — objaśnia, zdejmując jedwabny, podróżny płaszcz z ramion ciotki.

— A?...

Drugie bolesne ukłucie.

— Mama już od kilku miesięcy nie opuszcza fotelu.

Żal i jednocześnie wrażenie ulgi niemal radosne.

— Czy jest tak źle?

— Bez nadziei. Z dnia na dzień niknie.

Szybko idzie ku drzwiom, kładzie rękę na klamce takim pewnym ruchem, jakby nie padło dwadzieścia pięć lat między tą chwilą a tamtą, gdy po raz ostatni zamykała drzwi te za sobą. Z fotelu wyciągają się ku niej dwie przejrzyste dłonie, niby dwa mogilne kwiaty. Ujmuje je silnie w swe mocne, ciepłe ręce i chyli się nisko nad bladą, pełną niepokoju twarzą. Patrzą sobie

w oczy długo, długo i mówią spojrzeniem dzieje serc, zawsze życzliwych, zawsze ufnych, choć silniejszą nad swoje wolą rozłączonych przez długie lata. I niknie jak ręk z oczu chorej, wygładza się czoło zbrózdzone troską o los dzieci, na usta splywa rzewny, a wesół się uśmiezek.

— Nic się nie zmieniłaś, Jadwiniu! — szepcze. nasza

Dawny, żartobliwy uśmiech rozjaśnia twarz Jadwigi.

— Rzeczywiście, odmłodziłam tylko trochę. Włosy podoba mi pociemniały, twarz się wygładziła.

— No, siwizna, zmarszczki, to konieczne, ale pozostawiamy śladami czasu takaś sama, jak dawniej.

— I ty takie same kurczątko, jak przed laty.

— Oj nie, ja już dogorywam.

— Ot gadanie! mizeractwo byłaś zawsze, to i pozostałaś. A przysłowie o skrzypiącem drzewie?

— Nie, nie, Jadwiniu... Ale poco o tem teraz? Nie maćnicy dobrej chwili. Takam rada, żeś oto znowu tutaj.

— I chyba już na zawsze.

— Ciekawam twoich zamiarów. Nic nie wiem, co zamysłasz. Tylko ten krótki telegram i już jesteś.

— Wiadomo, że ja zawsze działałam szybko.

— Niechże ciocia siada do kolacyi — zapraszają. Toninka — gawędzić będziemy później.

Jadwiga podnosi na nią uważne oczy.

— Podobna jesteś do matki — mówi — a ja jednak poznałabym na końcu świata, żeś Orlińska.

— Po tem i po tem.

- serc, Pokazuje Toninka usta i brwi.  
nad — Tak, musisz być taka stanowcza i wytrwała,  
iknie jak my, tylko w słodszej odmianie.  
e tro- — Zato ja, ciociu, całkiem nie wasz — śmieje  
esołysię Stach.  
ze. — Ejże, nie zapewniaj, chłopcze, masz w oczach  
naszą tęsknotę i zadumę.  
z Ja. Ujmuje jego jasną głowę i podnosi ku światłu.  
— Tak, tak — szepcze żałośnie — ty masz oczy  
Włosy podobne do mojej dziewczyny.  
— O, ciociu — rumieni się Stach — Roma taka  
poza śliczna.  
— Niestetyliwe dziecko! Nic jej po piękności.  
y. — Jakże ona teraz? — pyta troskliwie pani He-  
lena.  
i po — Chwilowo jest na wsi, wśród lasów. To jej  
zawsze przynosi uspokojenie. Cieszę się bardzo, że  
? Nie zamieszka stale w Orlińcach; miasto rozdrażnia ją  
znowa niesłychanie. Dawno byłabym się z nią wyprowadziła  
z Kazania, gdyby nie wzgląd na chłopców. W mło-  
dzieńczym wieku najbardziej potrzebują towarzystwa  
em, co matki.  
ś. — Czy nauka ich daleko posunięta?  
— Tadeusz dawno już właściwie powinien był ją  
prasz skończyć, ale jemu więcej sprawy społeczne w głowie,  
niż studia uniwersyteckie, nie wiadomo więc, kiedy  
skończy, a Paweł właśnie przed wakacjami skończył  
a je konserwatorium i we wrześniu wyjeżdża do Wie-  
a. dnia, do Leszetyckiego.  
— Będzie z niego wielki artysta.

— Wierzy w siebie, a to wielka siła. Zdolny jest bardzo, tylko leniuch.

— Jak każdy prawdziwy artysta.

— Onby grał całymi dniami, tylko nie rzeczy wskazane.

I mówiła wiele, z rumieńcami wzruszenia, z błyskiem oczu o tych swoich trojgu najmilszych, którzy byli dla niej całym światem. Wyciągnęła z torebki podróżnej ich fotografie, podsuwała pod krąg lampy twardą, tragiczną twarz Pawła, o zwichrzonej, kruczej czuprynie; przedziwne, niby świątka z przydrożnych kapliczek, lica Tadeusza; i tę swoją najmłodszą, przepiękną, a tak poza szranki życia wytraconą Romeę.

Potem miejscowi mówili o sobie rzeczy bolesne, pogrzebne. Chodziła śmierć po starym rodzie, kosiła życia kochane, w żałobie pozostawali obecni. Teraz zaś, teraz... cóż? Ruina i oczekiwanie nowego zgonu. Nie tykał głos tych rzeczy najświeższych, załękły u ich progu stawał. Lecz Jadwiga chłonęła całym sercem ten ich ból i zbroiła się w moc do walki z wrogiemlosem. Niech-no ona ujmie w swoje rycerskie dłonie ster ich spraw, niech otoczy troską miłującego serca chorą bratową, wnet inaczej wszystko się pokieruje, wnet pomyślność pod rodzinnym dachem zagości.

---

Nastaly dni przykrej, mozolnej pracy. Jadwiga nie miała ni chwili wytchnienia, ciągle to w mieście gubernialnem, to w domu pogrążona w stosach szpargałów, w dyskusyach z rejentem, z urzędnikami hy-

poteki, z wierzycielami, z rządcą. Gdy zasiadała do stołu cała jeszcze myślą pogrążona w szeregach cyfr i kombinacji, podnosiły się ku niej niespokojne oczy pani Heleny, Toninki i Stacha, pełne uwielbienia oczy Mazeli i chmurne, niezadowolone z ciotki materyalistki oczy Wandy, a ona jadła szybko, mówiła mało, miała minę skłopotaną i surową.

Wreszcie po kilku tygodniach trudów rozplątała węzeł gordyjski zagmatwanych interesów, zaspokoili wierzycieli, przepisała Orlińce na swoje imię, zmieniła rządcę, gdyż obecny okazał się niedość uczciwy, i mogła przystąpić do rozmowy z panią Heleną o dalszych losach jej i dzieci. Właściwie pasywa Orliniec wynosiły więcej, niż aktywa. Łatwowierność i lekkomyślność pana Juliana pogrążyły interesy jego rodziny w przepaść długów. Świadom tego rozpaczliwego stanu, skończył z sobą, ich pozostawił w nędzy, która niezawodnie wzięłaby w swoje władanie słabą i niedoświadczoną gromadkę, gdyby nie opatrnościowe zjawienie się Jadwigi. Dzięki znacznym kapitałom, pozostawionym przez męża, który pod koniec życia zajmował świetnie płatne stanowisko dyrektora jednej z fabryk kazańskich, mogła majątek rodzinny oczyścić o tyle, że utrzymanie się przy nim nie było rzeczą niebezpieczną.

— Ale my nie mamy ani grosza! — rzekła pani Helena, wysłuchawszy relacji Jadwigi. W oczach jej malowała się trwoga, a przytem taka jakaś hardość, że Jadwiga postanowiła nie stawiać kwestyi jasno, co przy niedoświadczeniu chorej było rzeczą łatwą.

— W obecnej chwili istotnie nic się uratować nie dało, ale pozostaje przecież warsztat pracy — ziemia, która może przynieść w ciągu lat tyle dochodu, że się i resztę długów spłaci i może jaki taki kapitalik dla dzieci zdobyć.

— Dla twoich, boś ty teraz właścicielką Orlinec.

— Nominalnie tak, ale zawsze Orlińce do wszystkich Orlińskich należą, więc i twoja trójka może kiedyś trochę grosza dostanie. Tymczasem trudno to określić, zresztą ty się na tem nie znasz, kochanie. Dość, żeśmy się przy Orlińcach utrzymali i możemy tu sobie żyć razem pod tym naszym, odwiecznym dachem.

Pani Helena chwyciła rozdygotanemi rękoma dłoń pani Jadwigi, podniosła ku niej naznaczoną wypiekami twarz i prosiła błagalnie:

— Na wszystko, co ci jest święte, Jadwiniu, zaklinam się, powiedz, czy ty nie świadczysz nam łaski, czy nie będziemy ci ciężarem? Bo przecież dziewczyny mogłyby iść w świat do pracy, Stach również...

— Ot pomysł! A czy to w Orlińcach pracy mało? Nie wiem nawet, jakbym sobie bez Toninki dała radę. Stachowi zaś uczyć się jeszcze trzeba, potem będzie z niego pracownik dzielny.

— Ale Wanda, Wanda ze swoją lekkomyślnością i próżniactwem. Zawsze mi jej bezczynność cierpieniem była, a teraz, gdy pomyślę, że je darmo twój chleb...

— Nie o to chodzi, tylko istotnie Wanda powinna jąć się jakiej pracy. Kobieta młoda, zdrowa tak bezczynnie żyć nie może; to ją poprowadzi na manowce, to może być przyczyną nerwowej choroby.

— Wiem, lecz cóż? ona o pracy ręcznej słyszeć nie chce, dzieci wiejskich uczyć nie lubi...

— Jeśli w Orlińcach odpowiedniej pracy znaleźć nie może, niechże idzie w świat.

Pani Helena zacisnęła kurczowo dłoń.

— O nie, nigdy, przenigdy!

— Czemuż to tak, Helenko?

— Nie miałabym o nią ani chwili spokoju. Ty nie masz pojęcia, co to za szalony temperament, jaka nierównoważona głowa.

— Bo kiśnie tutaj, bo fermentują w niej nagromadzone, a nie zużywane siły. Niechże się jednak weźmie do pracy, do której będzie miała zamiłowanie, która pochłonie jej energię, zajmie uwagę, wówczas zobaczysz, jak się uspokoi, jaka z niej będzie pożyteczna pracownica.

— Nie, nie, Jadwiniu, o to cię błagam, nie zachęcaj jej nigdy do wyjazdu, powstrzymuj ile sił i przysięgnij mi, że, gdy mnie tu już nie będzie, Wanda w Orlińcach pozostanie i nie opuści ich aż pod opieką męża.

— Oj, oj, oj! Jaka z mojej bratowej zacofana osoba! Toż to, kobieto, dwudziesty wiek. Dziś dziewcząt nie trzyma się pod kloszem; przeciwnie, daje im się swobodę i naukę na równi z chłopcami.

— To nie zacofanie, Jadwiniu, nie. Zaręczam ci, że, gdyby Toninka chciała pójść w świat, nie sprzeciwiałabym się temu, byłabym o nią zupełnie spokojna, ale Wanda mnie przeraża. Gdy czasem spojrzę na te jej purpurowe, wygięte usta, na rozbłysłe oczy i chmurne czoło, to chwyta mnie taki lęk, takie złe przecucie,

taka niemal pewność straszego dla niej losu! Ja wiem, że ona się męczy, że jej tu źle, ale wierz sercu matki, tam w świecie byłoby stokroć gorzej, tam wyzyskanoby płomień, który w niej bucha, wyzyskanoby zawrotność, obłądność myśli i poprowadzonoby ją krętym szlakiem, ponad przepaścią... i może, może... Nie, nie, ja o tem myśleć nie mogę.

Zakryła oczy, skurczyła się, opadła w jakimś lęku tragicznym, który rzucił się na jej wątłą postać, niby widmo złowieszcze, ile razy rozważać poczyniała losy młodszej córki.

— No, cicho, no — uspokajała pani Jadwiga — nie należy się poddawać chorobliwym przywidzeniom, należy brać życie trzeźwo i jasno, nie czynić z ludzi jakichś napiętnowanych przeznaczeniem istot, lecz traktować ich tak, jak na to zasługują. Wanda jest prosto silną, młodą dziewczyną, pełną zapału do wiedzy i do pracy; dać jej, czego pragnie, a zniknie chmura z czoła, błyski z oczu, usta złożą się łagodnie i nabiorą normalnej barwy.

— Nie, Jadwiniu, nie. Nie przekonasz mnie, więc nie mówmy o tem, i pamiętaj o mojej prośbie.

---

Była jesień. Z gumna płynął monotony dźwięk młocarni, podnoszący się do pewnego, wysokiego tonu, który opadał, by znów po chwili brzmieć wyżej. Żółte, atłasowe liście topoli nadwiślańskich drżały, mieniły się w rozedrganem, przeczystem powietrzu, niby w toni wodnej. Ścierniska omotała srebrzysta tkanka pajęczna,



szkłąc się do późnej godziny dnia łzami stopniałego szronu.

W ogrodzie orlinieckim promieniały wysmukłe słoneczniki i gdzieniegdzie w trawie krwawiła się plama przywiedłych maków.

Co dnia o godzinie południowej wyfaczano na uliczkę żwirową wśród trawników długi fotel pani Heleny. Chora chodziła oczyma uważnemi po ścianach dworu, po drzewach wiekowych, po kwiatkach zapóźnionych, jakby chcąc wyryć w pamięci obraz tych rzeczy przed wiecznem rozstaniem. Jeszcze to okno jej sypialni z białą firanką, jeszcze smuga świeżych gontów na dachu, jeszcze drożyna waziuchna wśród krzaków bzu, jeszcze placyk, wysypany piaskiem, na którym igrały dzieci jej drobnymi istotkami, jeszcze to i jeszcze tamto, tyle kochanych kącików do wchłonięcia myślą, do odbicia niezatartym obrazem aż na dnie duszy. I gdy tak uczyła się na pamięć tego kawałka świata, przychodziła do niej z głębi ogrodu dziwna istota, Roma Orlińska. Te dwie kobiety, ta, która odchodziła w zaświaty, i ta, która w nich przebywała duchem nie dość silnie w mięśnie i kości wrośniętym, czuły się sobie blizkie wśród otoczenia ludzi normalnych, porozumiewały się jednym spojrzeniem, jakimś drobnym słówkiem, czy gestem dla innych nieuchwytnym.

— Czy ciocia czuje ich koło siebie, o tu bliźiutko?— pytała cudna dziewczyna, zakreślając krąg wokół chorej, a w oczach jej była radosna powaga i pewność tamtych rzeczy.

— Czasami tak, ale nie ciągle i nie wszystkich wyraźnie. Julek tylko codziennie już bywa. Odczuwam jego bliskość, widuję go nawet cokolwiek. I raz za-  
bieliła mi się głowa matki.

— A dziadek? To dziwne, że ciocia nie widuje dziadka. Taki był inny, niż wszyscy, intensywnego ducha i przemieszkał tu całe ziemskie bytowanie. On w tym domu najsilniej daje się uczuć z tamtych.

— Widziałas go kiedy?

— Nie, jeszcze nie dość tutejsza. Ale czuję obecność jego zawsze w bibliotece pod oknem.

— Tam siadywał w wolnych chwilach za młodszych lat, bo stamtąd widać podwórze, tam przepędzał dni całe sparaliżowany na swym wózku.

— Ciocia niedługo już ich wszystkich zobaczy. Jaka ciocia szczęśliwa!

— Żal mi żywych opuszczać.

— Pójdą i oni do tamtych. Gdybym ja mogła rychło. Ale nie, jeszcze z dziesięć lat pożyję. A tak mi nieraz ciało dolega, tak cięży! Nieraz coś widzę, coś słyszę, już, już chwytam myślą, zda się, wyraźnie... lecz nie, nagle ucho, czy oko dotknie zewnętrzna rzecz i wszystko tamto zmać.

Milkły, zapatrzone w głąb swych dusz, na sprawy ziemskie zubożniały, a po chwili pani Helena pytała trwożnie, z głębokim pragnieniem w oczach:

— Czy ty, Romuś, i żyjących dusze tak odczuwasz?

— Nie wszystkich, ciociu. Kto lotniejszy — tak; kto nadto z ziemią związany, nie mogę go przejrzeć: jest dla mnie, jak naczynie ze szkła matowego.

— I możesz przeczuć, co z kim będzie później, po latach?

Dziewczyna skinęła głową.

— To powiedz, Romuś, o moich; tak ciężko odchodzić w niepewności.

— Nie, nie, ciociu, nie powiem. Zresztą może nie wiem dobrze. Oni są wrażliwi, o wybitnych duszach, ich czuję silnie, ale nie są prości, są zawikłani, myślą mi się, płaczą linie ich losów. Zresztą oni wszyscy, Orlińscy — i moi bracia, i ciocine dzieci i ja — my niezdolni do obecnego życia, jacyś szaleni, górni — poginiemy, pomarniejemy. My najprzód, a potem ten stary, dziwny dom, gdzie tyle blizkich nam duchów, takich, jak my, tyle pamiątek po nich, myśli, uczuć. To wszystko nie może się zostać; ludziom zwykłym źle byłoby, obco, strasznie tu mieszkać. Tak, ciociu, tak, nie nasza pora, my już odchodzimy, nam koniec.

Siedziała na poręczy fotelu chorej, niby ptak dziwny, ze wzniesionemi ramionami, ze smukłą szyją wyciągniętą naprzód, z rozchyłnemi ustami o bolesnem wygięciu kącików ku dołowi, z oczyma, których źrenice, podbiegłe pod powieki, zdawały się ciągle patrzeć w głąb myśli.

Pani Helena spoglądała na nią z rozpaczą w twarzy. Znała swoje dzieci, wiedziała, że ich kwietnym duszom zbyt ostrym będzie podmuch życia, i dlatego z trwogą myślała o tem życiu dla nich, pytała o nie siostrzenicy - wróżki z cichą nadzieją w sercu, że ją uspokoi, że jasną dolę wywróży kochanym — a oto słowa jej padały, jak dźwięki zegara, który wybija godzinę przeznaczenia.

— Więc będą nieszczęśliwi, Romciu?

— Nie są stworzeni do szczęścia. Dla takich niema spokoju, ni radości.

— Będzie im źle?

— No to i cóż? Życie przemija szybko w wieczności bytowania, jak sekunda w dniu. Na ziemi źle, ale poza nią — dobrze. Odpoczynek, spokój. Takbym już chciała tam — ciociu, takam strudzona.

Nie rozumiała, nie mogła zrozumieć miłości matczyńskiej, tak, jak nie mogła uczuć miłości do mężczyzny. Kipiące życie jej mózgu odbierało krew innym organom jej istoty, czyniło je bezwrażliwymi, zmartwiałymi. Lekarze wróżyli jej paraliż mózgu, ślepotę lub paraliż dolnej połowy ciała. Matka co wieczór całowała tę umęczoną głowę, jak głowę skazańca, a każdy ranek, w którym dziewczyna wchodziła do jej pokoju o własnej sile i jasno patrząca, witała westchnieniem ulgi.

Ręka przeznaczenia ciążyła nad losem Romy od chwili jej poczęcia i tak snuła nitkę zdarzeń, by utkać zeń kobierzec o dziwnym rysunku i barwie, po którym wędrująca dusza dziewczyny kształtowała się na to, czem była dzisiaj. Inżynier Orliński otrzymał stanowisko przy budowie kolei na Kaukazie, w górzyściej, malowniczej, lecz dzikiej okolicy. W chacie, uczonej niby orle gniazdo u zbocza skał, zamieszkał z żoną z małutkimi synami. Do ludzi było daleko, wokół tylko góry i lasy; czasem mignęła wśród zarośli smagła twarz Czeczeńca, czasem jakiś dziki okrzyk w niezrozumiałej mowie, poza tem nic, coby świadczyło o istnieniu tworów ludzkich. Kolej budowano

w dolinie, do której inżynier spuszczał się każdego ranka, by wieczorem dopiero powrócić do żony i dzieci. Jadwiga pędziła samotnie całe dnie w towarzystwie synów i staruszki, nianią zwanej, która pełniła posługi domowe. O zmierzchu wychodziła Jadwiga na próg i oczekiwała przybycia męża, a oczekiwała zawsze z trwogą; na skalistej ścieżce tak łatwo pośliznąć się i runąć w przepaść; wśród gąszczu leśnego tyle się snuło tajemniczych, a groźnych postaci; a i tam przy budowie linii nie wszystko szło gładko: robotnicy, składający się częściowo z miejscowych górali, niepodległych i hardych, często wypowiadali posłuszeństwo. Żyła więc Jadwiga w dzikiej samotni, rzucana na pastwę ciągłego lęku. Tam, w tej podniebnej chatce kaukaskiej, poczęło się życie Romy. Jeszcze w łonie matki targały nią wrażenia ponure i niezwykle, a oto, gdy miała powitać światło dnia, zaszedł fakt, który silnie wstrząsnął nerwami Jadwigi, a na życiu Romy wycisnął piętno niezatarte. Pewnej nocy u progu chaty padła kobieta obdarta, wynędzniała i powiła dziecię potwornych kształtów, które natychmiast zmarło. Rankiem Jadwiga znalazła u drzwi napół żywą położnicę i martwego potworka. W ówczesnym stanie nerwów obraz ten wydał jej się jakąś zło-wróźbną, okropną halucynacją. Silna zazwyczaj, panująca nad sobą, tym razem krzyknęła przeraźliwie i upadła zemdlona. Przyszła gorączka, nastąpiło ciężkie rozwiązanie, młoda kobieta wśród mąk, na pograniczu między życiem i śmiercią widziała ciągle potwornego trupka. Przeszły długie tygodnie, zanim odzyskała przytomność. Tymczasem nędzarka z pod proga

z odpornością istot pierwotnych po kilku dniach wstała z postłania, na którym ją złożono. Sprowadzony z odległego miasta lekarz oddał jej do wykarmienia córkę Jadwigi, pozbawioną mleka matki, targanej gorączką Dzika, nie wiadomo skąd przybywająca kobieta całą miłość osieroconego serca oddała cudzej dziecinie, tem więcej, że musiała się nią zająć sama, gdyż choroba Jadwigi pochłaniała cały czas niani, a innej kobiecej opieki w tem pustkowiu nie można było znaleźć. Potem już nie udało się wyrwać dziewczynki z objęć mamki: jak kangur, nosiła z sobą swoją małą bezustannie, a nosiła najczęściej w las, nikła w ostępach i gąszczu na długie godziny, o zmierzchu dopiero powracając do domu. Gdy Romcia trochę podrosła, piastunka poczęła z nią wieść rozmowy w jakimś niezrozumiałem narzeczu. Co mówiła, nikt z otoczenia nie rozumiał, ale dziecku rozplomieniały się oczy i śliczna twarzączka nabierała wyrazu natchnienia, a gdy odzywała się po polsku, opowiadała rzeczy tajemnicze, bajeczne. Poczęto więc od lat najmłodszych uważać Romcię za niespełna rozumu, a gdy w dodatku zaczęła zdradzać dziwne upodobania, gdy niechętnie kładła całe odzienie i obuwie, gdy jadła jagody, orzechy, korzonki, a ze wstrętem odwracała się od befsztyków, gdy wreszcie nie mogła zasnąć w łóżku, lecz zwijała się w kłębuszek, niby zwierzątko, na podłodze, lub, gdy się jej udało wymknąć, w krzakach w pobliżu domu, Orlińscy powiedzieli sobie, że dziecko to skutkiem warunków, poprzedzających jego urodzenie, wskutek choroby matki i wpływu karmicielki, jest pod względem umysłowym nienormalne. Długi czas nic na

to nie radzili: stanowisko zatrzymywało Orlińskiego na Kaukazie w oddalonych od ludzi okolicach, żona, przywiązana do niego bardzo i przez kilka lat apatyczna po chorobie, nie mogła się zdobyć na energię, aby jechać do specjalisty z dziwnem dzieckiem. Miała już Romcia dziesięć lat, była wysmukła, zręczna, śliczna, znała tajniki przyrody, podpatrzone w lesie, posiadała całą wiedzę kabalistyczną piastunki, która w sekrecie przed państwem trudniła się wróżbami, gdy Orliński otrzymał posiadłość w Kazaniu i cała rodzina tam się przeniósła. Wówczas zaczęły się ciężkie czasy dla Romci; wtłoczona w mury miejskie, odziana pięknie, zmuszona do zachowywania obyczajów ludzi cywilizowanych, czuła się bardzo nieszczęśliwą i bardzo niespokojną. Nocami wędrowała we śnie, w dzień miewała napady nieprzytomnego zapatrzenia się w jeden punkt, straciła apetyt, schudła, pobladła, a jej głębokie, piwne oczy coraz częściej spoglądały błędnie.

— Zmarnieje dziecko — mruzczała ponuro piastunka, która po śmierci niani objęła jej służebne obowiązki.

Orlińska, która w ciągu dziesięciu lat zżyła się z myślą, że Romcia jest nienormalna, zaniepokoiła się jej stanem i wezwała lekarza psychiatrę. Odtąd dziewczynka przechodziła z rąk jednego specjalisty w ręce drugiego. Podziwiali, radzili, przepisywali długie i nużące kuracje i obiecywali, że może z wiekiem coś się zmieni na lepsze. Tymczasem z wiekiem było coraz gorzej. Wprawdzie objawiały się nagle u dziewczynki niezwykle zdolności umysłowe, nauczyła się sama czytać, a następnie zachwycała nauczycieli pojętnością i pamięcią, lecz

stan podniecenia nie ustępował, nocne wędrówki wciąż trwały, chwile osłupienia również. Śmierć ojca, którego bardzo kochała, pograżyła jej umysł w noc zupełną; kilka miesięcy, spędzonych w domu zdrowia, były jakby niezapisaną kartą w księdze jej wspomnień. Wyszła z tej nocy jeszcze bardziej wrażliwa, ale jakaś cichsza. Wrzenie, wybuchające dawniej na zewnątrz, skupiło się w mózgu i pochłaniało z wolna wątki organizmu. Wrócono jej kalectwo i śmierć rychłą. Wiedziała o tem, ale nie czuła się nieszczęśliwą: śmierć uważała za pewną zmianę istnienia obecnego, które ją męczyło, na inne, lepsze; kalectwo, odcinające ją od świata zewnętrznego, również jej nie przerażało: wszak cały swój świat nosiła w sobie. Lubiła przyrodę i muzykę. Mogła godzinami leżeć na mchu leśnym lub na trawniku w oddalonym kącie parku, nie czując głodu, nie zimna. Bez znużenia słuchała, wtulona w ką otomany, gdy Paweł grywał całymi wieczorami. Wówczas przedza jej myśli snuła się lekko, przejrzyście, niezziemsko. Męczyło ją liczne towarzystwo, wrzawa, wesołość. Najczęściej więc przesiadywała w swym pokoju, wśród kwiatów, pograżona w myślach lub czytaniu książki o treści mistycznej.

Matka uważała ją za zupełnie chorą i nie przywiązywała wagi do jej przecuć, wizyi i wróżb. Bracia kochali ją bardzo i traktowali, jak istotę wyższą, obdarzoną niezemską mocą odczuwania i widzenia rzeczy z za świata. Prowadzili z nią nieraz długie rozmowy w tajemnicy przed matką, która gniewała się za „niepotrzebne rozdrażnianie nieszczęśliwej dziewczyny“. To ciągłe obcowanie z istotą dziwną nada-



wało mistyczne zabarwienie ich myślom i uczuciom i odbijało się na kierunku życia. Obaj wierzyli w przeznaczoną sobie misję i dążyli do niej ślepo, zwalczając przeszkody z bezwzględnością i energią, właściwą swemu rodowi. Tadeusza bolała nędza i upodlenie nizin społecznych, jak rana wiecznie krwawiąca; miał dziadka Joachima sprawiedliwość w sercu i jego namiętne pragnienie udzielenia wszystkim chleba i światła do sytości. Uważał się za posłannika, przeznaczono go na odkupienie krzywd, poniżeń, gwałtów, wyrządzanych pracownikom ziemi przez dumny Orlińskich ród. Na żądanie matki studyował przyrodę w uniwersytecie kazańskim, lecz uważał to tylko jako sposób rozjaśnienia umysłu, poznania odwiecznych praw, rządzących światem, od praw, ustanowionych przez człowieka, wielce różnych; poza temi studjami jednak miał życie własne, najbliższej rodzinie niewiadome, miał swoje kółko ludzi młodych, czystych i, jak on, gorących.

Matka mawiała:

— Tadeusz zajmuje się sprawami społecznymi.

Ale jakie to były sprawy, nie wiedziała. Kochała swe dzieci nad życie własne, z chwilą jednak, gdy dochodziły do pewnego rozwoju umysłowego, który przerastał jej inteligencję, nie wdzierala się w życie ich dusz i w ich postępkę, kierując się rzadkiem u matek zrozumieniem, iż w ten sposób właśnie uniknie nieporozumień, starć i zachowa miłość dzieci na zawsze. Nie czuła się pokrzywdzoną, że dzieci pozostawiały ją poza szlakiem swej wędrówki, wiedziała, iż w chwili zmęczenia i bólu przyjdą złożyć głowę na jej kolanach, wyplakać łzy, uciszyć się i wzmocnić.

Obce jej było życie społeczne Tadeusza, obce również życie uczuciowe Pawła. Ten, całą duszą w muzyce zatopiony, wszystkie sprawy układał tak, by z nich wyciągnąć jak najwięcej korzyści dla swego talentu, stwarzał sytuacje, wywołujące nastroje, gonił za wrażeniami coraz nowymi i coraz silniejszymi, ze wzdargą odpychając wszelką prozę życia, która zbyt równoważyła myśli jego i uczucia. W tem kunsztownem budowaniu niezwykłego gmachu życia, choćby kosztem cudzych łez i zawodów, było wiele skrajnego egoizmu, tłómaczącego się do pewnego stopnia tem, iż postępowanie Pawła było więcej nieświadomym odruchem, zagarniającym wszystko na korzyść swego talentu, niż rozmyślnem odgrywaniem dramatów. I tak ci dwaj mieli swoje bożyszczka: Tadeusz — lud, Paweł — muzykę, którym służyli z całym oddaniem, z całym szaleństwem i górnością Orlińskich.

---

Śnieg utulił Orlińce do zimowego snu. Nie działa się tu nic ważnego ni w życiu ludzi, ni w pracach gospodarskich. Po podwórzu snuli się zwolna parobcy około oporządków, koło młocki, roboty mieli mało, a czasu aż do wiosny dość. We dworze, poza powszednimi zajęciami, nie stawało się nic nowego, nic doniosłego. Myśli i uczucia mieszkańców biegły w świat, żyły tem, co niosły gazety i listy. Oczekiwano ich niecierpliwie, chwytano gwałtownie, bo niosły wieści ważne, zapowiedzi zmian wielkich. Burzyło się na całym obszarze państwa, co dnia w innej stronie wybuchał

płomień. błyskał, groził pożarem i gasł, lecz zarzewie trwało. W środku tego ognia, pomiędzy tymi, którzy wzniecali żar, był Tadeusz. W starym dworze przeczuwano to więcej, niż wiedziano. Czasem przysyłał tylko krótkie kartki. Nie pisał w nich o ruchu nic, ale z gorączkowego tonu, z jakichś wykrzykników, kropek uszeregowanych za urywanemi zdaniem, odgadywano wiele i co dnia matka biegła najprzód wzrokiem na te szpalty gazet, gdzie mogły być wieści z miejsc, w których on przebywał, a gdy były, czytała je po dziesięć i po sto razy, w czynach spełnionych domyślając się ręki syna. Jak błękitne motyle, unoszące się nad ogniem, a ognia nieświadome, były w tych czasach listy Pawła z Wiednia. Jego nie obchodziło nic, co się działo poza światem sztuki, o niej pisał tylko, o swoich postępach w muzyce, o swoich wrażeniach silnych lub pięknych.

Wieści od synów czytywała pani Jadwiga głośno przy okrągłym stole w gabinecie, wokół którego cała rodzina skupiała się wieczorami. Toninka i Wanda zawisały oczyma na jej ustach, chciwie zbierając każde słowo i budując z nich postacie tych, którzy im byli blizcy krwią i organizacją ducha, a nieznani. W obydwu oczach zapalały się płomyki zapału od krótkich słów kartek Tadeusza i obydwu drżały usta ironicznym uśmieszkiem, gdy słuchały długich, nastrojowych, marzycielskich listów Pawła, takie im się one wydawały sztuczne i blade przy prostych wyrazach tamtego, poza którymi czuły wielkie czyny.

Pewnego dnia zjawił się w Orlińcach Stach. Zbuntowała się młodzież na całym obszarze kraju, zażądała

swoich szkół i w oczekiwaniu na nie rozjechała się do domów. W ślad za Stachem przybył Karol Szalski, student czwartego kursu medycyny, wskazany przez jedno z biur nauczycielskich w Warszawie, jako zdolny pedagog i nieposzlakowany człowiek.

Ożywiło się w starym dworze. Stach z błyskami w oczach opowiadał po dziesięć razy wypadki gimnazjalne w Lublinie, których był uczestnikiem, Karol mówił o Warszawie, o organizacyi ruchu, o projektach i nadziejach młodzieży. Panie Orlińskie żyły teraz już nie tylko echemi wydarzeń: miały oto między sobą ruchów tych jeden odprysk, jedną jakby niewielką falę. Ze wzmocnionem zaciekawieniem czekały gazet i listów Pawła, zwłaszcza ostatnie były dla nich upragnioną strawą. Niosły jakiś wiew nadziei, jakiś przebłysk jutrzni, a w nich nadzieję tę zdmuchiwał, jutrzni nie wróżył, dziwnie rozważny nad lata korepetytor Stacha.

— Pan jesteś wystygłym starcem! — wybuchała Wanda.

— Nie, ja tylko znam stosunki i nasze społeczeństwo i wiem, że nie jesteście gotowi.

— Porwą nas ze sobą tamci ze Wschodu.

— I dla nich nie pora jeszcze.

— Tadeusz inaczej pisze.

— Pan Tadeusz jest widocznie zaślepiiony.

— Od dziecka tam mieszka, trzyma dłoń na pulsie życia, zna każde jego drgnienie, a przecież wierzy.

— Szczęśliwy!

— Tak, bo młody, bo mierzy siły na zamiary, bo wie, że wiara góry przenosi, że kunktatorstwem

niczego się nigdy nie zdobyło; takich tysięcy, a świat z posad ruszą.

— I popchną w przepaść.

— Lepiej rozprysnąć się na dnie przepaści, niżeli gnić w bagnie.

— Z bagna można wyjść po trochu usilną, kulturalną pracą.

— Ależ pan zrównoważony, cierpliwy.

— Życie mnie tego nauczyło. Ja miałem ciężkie życie, panno Wando.

— Znać to, przygięto pana do ziemi, już pan w błękity spojrzeć niezdolny.

— Pani mnie krzywdzi. Czemu?

W głosie jego zabrzmiała tak bolesna nuta, że aż Toninka, pochylona nad klapą kredensu, na której krajała chleb do podwieczorku, podniosła żywo głowę, spojrzała na Karola i z wrodzoną sobie dobrocią pośpieszyła załagodzić słowa siostry:

— Niech pan nie bierze do serca tego, co mówi Wanda. Ona w zapale dysputy posuwa się najczęściej za daleko i rani, nie zdając sobie z tego sprawy.

— Tak, uprzedź pana Karola zawczasu, że jestem niepoczytalną i że się ze mną liczyć nie trzeba.

— To ja już dawno spostrzegłem — rzekł spokojnie.

— Co?

— Że pani nie może być uważana za istotę normalną.

— Panie !...

Twarz Wandy zbladła, brwi zbiegły się w jedną linię.

— Czyż młoda i zdrowa kobieta, która nic nie robi, może być uważana za normalną?

— Tak, tak, widzi pan, to i pan... A przecież to nie moja wina, nie moja: pracować chcę, uczyć się pragnę, nie dadzą, nie pozwalają. Mówią: czytaj książki! A przecież to nie dosyć, za mało umiem, gubię się w trudnościach, potrzebuję wskazówek, rad.

— Czemuż mi pani nie powiedziała tego odrazu? W każdym razie umiem więcej od pani i w niejednym mogę służyć pomocą.

— O panie!

Złożyła ręce i w oczach jej błysnęła wdzięczność, wypędzając szyderstwo, które w nich gościło.

— To przecież takie proste. Trzeba mi było tylko odrazu powiedzieć. A ja panią od początku obserwuję i dziwię się i myślę: co tej dziewczynie jest, czemu ona się tak męczy, szarpie, czemu dobrowolnie doprowadza się do histeryi?

— Panie Karolu!

— Niechże się pani nie obraża, toż ja prawie lekarz, mnie wolno inaczej na kobiety patrzeć i inaczej do nich mówić.

Nastaly teraz dobre czasy dla Wandy. Jej puste życie wypełniło się po brzegi pracą umysłową. Ciotka, którą przerażała beczynność dziewczyny, ucieszyła się projektem Karola, poprosiła go o kilka godzin dziennie lekcyi dla Wandy, sprowadziła książki, których zażądał, jednym słowem uczyniła wszystko, byle tylko ułatwić pracę ognistej dziewczynie. Wywołało to nadzwyczajną w niej zmianę: apatyczna, chmurna, ociężała — ożywiła się, rozpromieniła, rozruszała. W dy-

sputach jej, prowadzonych z Karolem i Stachem, zamiast dawnej goryczy dźwięczała jakaś młodzieńcza, radosna nuta. Nawet blade policzki nabrały barwy, a linia wywiniętych ust nieco się sprostowała. Pani Jadwiga była dumna.

— A co, Helenko — mówiła radośnie — czy nie przepowiadałam, że praca odpowiednia Wandę zmieni do niepoznania?

Pani Helena z lękiem, właściwym osobom blizkim kresu, biegła oczyma w stronę córki i szeptała:

— Byle obecny jej stan jak najdłużej trwał.

— Póty, póki będzie pracowała.

— Oj gdyby!

Zato czujne oczy matki wędrowały coraz szczęśniej za Toninką; gdy rozmawiała poważnie z Karolem, gdy szła z nim przez zasypany śniegiem ogród na wieś do chorych, gdy ruchem opiekuńczym podsuwała mu półmiski przy stole, matka śledziła niewidzialną niteczkę porozumienia, która się motać poczynała między młodymi. Dostrzegała szybkie i bystre spojrzenia Karola, któremi obejmował postać dziewczyny, gdy krzątała się wokół stołu, jego uśmiechy, którymi witał każde jej dobre słowo, zwrócone ku niemu, mimowolne dotknięcia rąk przy podawaniu przedmiotów powszedniego użytku — tysiące takich drobnych, na pozór nic nie znaczących spraw, z których jednak życie snuje tkaninę wzajemnej ufności, przywiązania, a często barwną, świetlaną miłość.

Pewnego wieczora pani Helena przytrzymała dłonie córki, gdy ta mówiła jej dobranoc, i spojrzała

w spokojną twarz dziewczyny badawczo. Toninka nie zmieszała się, tylko zdziwiła.

— Mateńka życzy sobie czego?

— Myślałam, że masz mi coś ważnego do powiedzenia.

— Cóżby?

— Doprawdy nic, Toninko?

— O czym mateńka myśli?

Uklękała u jej stóp, złożyła dłonie na kolanach i wsparła na nich brodę.

— Toninko, chciałabym przed odejściem widzieć córki moje szczęśliwemi, a największe szczęście na ziemi dla kobiety: kochać i być kochaną.

Toninka zrozumiała, rumieniec oblał jej twarz.

— Ach, mama przypuszcza... Nie, doprawdy, ja sądzę, że się mama myli. Bo co do mnie, to mogę mateńkę zapewnić, iż oprócz szacunku i sympaty...

— Nie, nie, Toninko, ja wiedzieć nie chcę, ja nie naglę, jeśli sama jeszcze nie czujesz potrzeby wypowiedzenia nadmiaru uczucia. Mówisz: sympatya, szacunek — to z początku niby tylko to, a potem... Zresztą, nie płoszmy błękitnego ptaka, bo bardzo trwożliwy. To ci tylko jeszcze powiem, że ten młody człowiek wzbudza we mnie ogromne zaufanie i że byłabym spokojna o ciebie, gdyby on...

— Nie kończ, mateńko. To mi tak jakoś pospolicie wygląda układać podobne projekty za plecami kogoś, kto może nawet o nich nie myśli.

— To też ja już nic więcej... Zaczęłam, bom taka rada i taka byłabym szczęśliwa...

Nie tylko pani Helena zauważyła, że się między



młodymi coś zaczyna, pani Jadwiga spostrzegła to również. Francuzka już kładła pasyansę z tajemniczą miną, mrużąc figlarnie oko w stronę Toninki, Stach spoglądał z uśmiechem na ukochaną siostrę, służba czyniła uwagi w kuchni, nawet Wanda rzekła raz ze zniecierpliwieniem Karolowi, gdy jej czynił wymówki za nie-dość staranne wypisanie zadania algebraicznego:

— Tak, naturalnie, ja panu zawsze wszystko złe robię. Pan tylko w Tonince dobre strony widzi.

Młody człowiek zaczerwienił się i zaprzeczył:

— Pani się myli, panno Wando.

Jedna tylko Toninka do czasu owej rozmowy z matką nie spostrzegła nic i niczego się nie domyślała. W niej panował dawny spokój; budziła się rano z chęcią do życia i do pracy, spełniała obowiązki sumiennie, przejmowała się smutkami i radościami otoczenia, żadna nuta wyższa, żaden ton nowy nie mącił harmonii jej duszy. W Karolu ceniła prawy charakter, zamiłowanie do zawodu, powagę i szczerłość, w atmosferze, promieniującej z jego psychiki, czuła się pewnie i dobrze, ale nie wprowadzała jej ona w stan uniesienia, radości bezgranicznej, tkliwego rozedrgania serca, co jest zwykłym objawem rodzącej się miłości. Dlatego nie mogła w pierwszej chwili zrozumieć zapytań matki, dlatego ręczyła za spokój swych uczuć i skłonna była wierzyć, że i Karol poza sympatyą nic więcej dla niej w sercu swem nie żywi.

Ale już słowo było rzucone, uwaga rozbudzona. Mimowolnie Toninka nasłuchiwała teraz, jaki ton brzmi w głosie Karola, gdy do niej mówi. Jaki mają wyraz jego oczy, spoglądające na nią. Jak się zachowuje

w jej obecności. I zanadto była inteligentna, aby nie zauważyć wkrótce głębokiej nuty głosu, błysku źrenic, ruchów jakby skrępowanych. Wówczas obudziło się w jej duszy wesele.

-- Jakże się mama ucieszy — myślała sobie — i jak to dobrze, że on jest właśnie taki, jaki jest: rozumny, zacny; szanuję go, lubię i napewno pokocham.

Szła teraz ochoczo naprzeciw jego miłości, jak na spotkanie kochanej, blizkiej osoby, która, długo oczekiwana, przybywa w progi domu. Na uśmiech odpowiadała uśmiechem, na błysk oczu — dobrem spojrzeniem. Pewnego dnia, jakoś na podwiośniu, padło z ust Karola upragnione słowo. Zapanowała radość w dworze orlinieckim. Pani Helena płakała ze wzruszenia, Toninka pokrywała pocałunkami jej przejrzyste dłonie i zapewniała:

— Bądź spokojna, mateńko, nam będzie dobrze z sobą, będę go kochała z całej duszy, bo na to zasługuje.

Chwilami wprawdzie, niby ziarnko grochu, uwierała ją myśl, że za tym mężem - doktorem pójść trzeba będzie w świat, może gdzieś hen daleko od Orliniec, ale wnet odpędzała tę myśl perswazyą, że to przecież jeszcze tak odległa sprawa, niewiadomo kiedy mająca nastąpić. O ślubie dziś mowy nawet być nie mogło. Toninka nie miała posagu, a Karol musiał naprzód ukończyć medycynę, w obecnych zaś warunkach i tego faktu termin nie mógł być oznaczony. Zatem mogli się kochać, mogli się zaręczyć, ale o małżeństwie nie mogli mówić. Dla Toninki okoliczność ta była ulgą, gdyż pozwalała odsuwać na bok bolesną myśl o roz-

staniu się z Orlińcami. Pani Helenie wystarczyło słowo, które młodzi dali sobie.

— To już jakbym była na ich ślubie: Toninka wierna, kogo raz pokocha, ten już może być jej miłości pewien zawsze; a i on wydaje mi się solidny człowiek i bardzo w Tonince zakochany; sądzę, że jej nie opuści.

Tylko Roma, gdy jej powiedziano o zaręczynach kuzynki, drgnęła i spojrzała niespokojnie.

— Chyba się mylicie — rzekła.

— Ależ nie, kochają się i są zaręczeni — upewniała Wanda.

— Tak? To dziwne, bo przecież nie on...

Urwała, pochyliła nisko głowę, a potem wstała żywo i poszła do swego pokoju, jakby w obawie, że powie zbyt wiele.

Na szczęście pani Helena nie słyszała tych słów siostrzenicy i mogła bez powątpiewania cieszyć się postanowieniem córki, a niewiele już jej czasu na radość pozostawało. Wichury i wilgoć wiosenna przenikały przez drewniane ściany i mimo silnego ognia w piecu mroziły zatrutą krew chorej. Niknęła w oczach, coraz cichsza, coraz bledsza, coraz bardziej przejrzysta, z każdym dniem stawała się podobniejszą do niezemskiego zjawiska, które tylko błogosławionym oczom dane jest oglądać. Roma nie opuszczała jej łóżka, zwierniała odchodzącej wizy, które ją nawiedzały nocną porą, rozwijała przed jej oczyma cudne miraży życia z tamtej strony. Pani Helena słuchała zawsze z jasnym uśmiechem głębokiego, tajemniczego szeptu siostrzenicy, ale garnęła się teraz więcej do ludzi, z ży-

ciem związanych, silnie w tem życiu tkwiących. Toninka, jako przystępująca do sprawy najżywotniejszej, stanowiącej niejako jądro życia, jego treść właściwą, do sprawy miłości, była dla niej teraz najpożądańszą towarzyszką. Pani Helena bezustannie wołała ją i Karola do swego łóżka.

— Siadźcie tu przy mnie, dzieci — prosiła — niechże się wami nacieszę, niechże przy waszem poczynającym się nowem życiu zapomnę o swoim, które kresu dobiega.

Może bezwiednie pragnęła, aby ten nadmiar sił żywotnych, który w nich się objawiał miłością i pchał jedno w ramiona drugiego, dla stworzenia istoty trzeciej, przelał się w nią bezsilną i zatrzymał w szeregach żyjących.

Może w tajnikach mózgu, poza narzuconemi wierzeniami będących, budziło się powątpiewanie o życiu duszy po śmierci i odruchowe pragnienie nacieszenia się nieśmiertelnością fizyczną, która objawiała się jej w dzieciach i w spodziewanych od Toninki wnukach.

Prosty umysł pani Heleny nie analizował tych pragnień, które ją skłaniały do garnięcia się ku starszej córce, wołała ją do siebie, a z lękiem, choć czule witała Romę. Była ona dla niej, jakby posłanniczką od tamtych, którzy dopominali się o nią, a do których nie było jej spieszno.

Minęły wichury i deszcze wiosenne, przyszedł maj ciepły, pachnący, rozśpiewany. Pani Helena była tak słaba, że nie mogła opuszczać łóżka, wysunięto je więc na środek pokoju naprzeciw drzwi szeroko otwartych do ogrodu; leżała w smudze powietrza, uśmie-

chała się do słońca, zieleni i kwiecica i tak promienna, ukojona odchodziła w zaświaty, aż i odeszła. Nie śmiał nikt wybuchnąć krzykiem buntu ni rozpaczy, nawet Wanda żaliła się jakoś cicho i tkliwie. Padł na serca blizkich smutek, który łyzy obfite wyciska, ale duszy szponami nie szarpie. Zgasł umiłowany płomień, ale nie zaległy mroki. Rozświeciła ją smuga blasku — słodkich wspomnień o umarłej. Białe kwiecie sadów wioskowych padało przez płoty na trumnę, gdy ją niesiono na cmentarz, białe kwiecie gruszy polnej osypało płytę grobową, białe kwiecie dobrej pamięci pokrywało serca osieroconych.

---

W lipcu przyjechał Paweł na kilkotygodniowy odpoczynek po gorączkowej pracy wiedeńskiej.

Tonince i Stachowi nie podobał się. Dostyc wysoki, barczysty, o silnie rozwiniętej klatce piersiowej, ogromnej głowie, powiększanej jeszcze kędzierzawą czupryną, matową, czarną, barwy węgla drzewnego, o grubych rysach, po murzyńsku wzdętych wargach, utrzymanych w bladej tonacji różowego koralu, z brwiami krzaczastymi, zarysowanymi niemal jedną linią pod wysokim czołem, sprawiał przedewszystkiem wrażenie bezwzględnej i brutalnej siły i to siły złej, o czym świadczyła szyderska fałda koło ust, jakby ciągnęte urągowisko ze świata i spraw jego. Mógłby Paweł służyć malarzowi za model do obrazu, przedstawiającego siłę szatańską, gdyby nie oczy szare, jasne, głęboko osadzone i chwilami tak bezmiernie smutne, że bez jęku

serca nie można w nie było spoglądać. Zazwyczaj jednak oczy te spoglądały przed siebie z zadumą, jakby zapatrzone w rzeczy wewnętrzne lub dalekie, i nie brały udziału w słowach i czynach człowieka, którego były własnością.

— Czy ty właściwie słuchasz tego, co ci mówię? — pytała nieraz z niecierpliwością pani Jadwiga.

— Ależ naturalnie, mamó, naturalnie — odpowiadał skwapliwie Paweł i zostawał oczyma w dalekościach.

Przyjechał Paweł wieczorem, ucałował ręce matki z szacunkiem, Romę dziwnie miękko przygarnął do siebie, Mazelę, kuzynki i Stacha przywitał sztywno. Przy kolacyi rozmawiał wyłącznie z matką, opowiadał o stosunkach artystycznych w Wiedniu, o koncertach, na których bywał, o szczegółach dzieł muzycznych, których się nauczył. Raz tylko zmienił temat rozmowy, by mimochodem ukłuć ironiczną uwagą Toninkę. W czasie kolacyi służący przyniósł pocztę; oprócz gazet był tylko list do Toninki od Karola, który spędzał wakacje u matki w Rypinie. Pani Jadwiga, spojrzawszy na pieczętkę pocztową, zawołała radośnie:

— Z Rypina! To od narzeczonego, Toninko!

Wówczas Paweł rzekł, patrząc przed siebie:

— Od narzeczonego z Rypina.

Grube jego wargi podniosły się w górę, a fałdy ironiczne obrysowały w uśmiechu urągliwym ich kąty.

Toninka zmartwiła na chwilę. W tych słowach i w tym uśmiechu było coś tak obelżywego, tak przenikającego duszę jej aż do głębi dreszczem wstydu, że mimowolnie list, który jej ciotka podała, wsunęła

do kieszeni i schyliła nisko głowę, jakby po spełnieniu złego czynu.

Paweł w tej chwili zaczął mówić o najnowszej symfonii Głazunowa i wszyscy odbiegli myślą od jego ironicznej uwagi. Tylko Toninka nie mogła się otrząsnąć z wrażenia. Zdawało jej się, jakby ten czarny, barczysty mężczyzna rzucił jej rękawicę wyzwania w twarz i jakby do niej należało rękawicę tę podjąć i rozpocząć walkę na życie i śmierć. Walkę o co?

O honor przecież. Tak, ale o honor czego? Kłębity się jej myśli gniewne, zapalczywe, serce wzbierało uczuciem dziwnem, o sile nieznanej. Ta spokojna, łagodna dziewczyna wstrząsana była jakąś burzą, która nie wiadomo skąd i poco przychodziła, a którą wznieciło jedno, maleńkie, napozór nic nieznaczące zdanie tego niemal obcego człowieka.

Zrywało się w niej poczucie, że oto on przyszedł na jakiś sąd, że ją przed sąd ten wzywa i że ona bronić się musi, musi za cenę spokoju, za cenę zgody z samą sobą, za cenę życia. I drżał w głębi serca jakiś lęk, jakiś niby wyrzut, że nie jest czysta, że nie może stanąć sędzi oko w oko, że spełniła winę przeciw komuś, czy przeciw czemuś, co wielkie i święte.

Męczyła się Toninka przez całą kolację tak, że nie słyszała już ani słowa z rozmowy ogólnej, a gdy wszyscy wstali od stołu, gdy powiedzieli sobie dobranoc i szli do swoich pokoi, w niej zerwała się jakaś desperacka obawa, że to już teraz zacznie się ten sąd, że trzeba będzie zebrać wszystkie myśli i wszystkie uczucia, przejrzeć je i zdać z nich sprawę. W swoim panińskim, błękitnym pokoiku, otulonym w białe mu-

śliny firanek, w którym dotychczas czuła się tak spokojną i zadowoloną, upadła, jak po dalekiej drodze, na fotelik przy drzwiach otwartych na balkon i siedziała z rękami opuszczonemi bezwładnie, z głową schyloną na piersi. Serce biło jej lękiem i oczekiwaniem, przez cienką ścianę i drzwi balkonowe dochodził wyraźnie głos Pawła, rozmawiającego z matką. Pani Jadwiga dała synowi pokój gościnny, sąsiadujący z pokojem Toninki i połączony z nim wspólnym balkonem.

— Paweł nie będzie ci przeszkadzał — mówiła — a chcę, aby miał przed oczyma rozległy i piękny widok z balkonu na ogród i łąki. Przytem zapach lip, które w pobliżu rosną, podnosi nastrój poetyczny tego pokoju, a Pawłowi tak o nastrój chodzi, niechże go tu ma w Orlińcach. Pragnęłabym, aby moim chłopcom dobrze było w domu przodków, to będą chętnie do niego dążyli.

Toninka słyszała, że Paweł mówi o szczegółach swojej garderoby, której przejrzenie i skompletowanie polecał matce, że tłumaczy się z różnych wydatków, podług matki zbytecznych, i ta rozmowa błaha, powszednia w zestawieniu z nastrojem grozy, który w niej powstał i trwał, wydała jej się tragicznie śmieszną. Mimowolnie usta dziewczyny układały się w taki ironiczny uśmiech, jaki kurczył twarz Pawła. Śmiała się z niego, a jednocześnie z duszy wypełzał ciągle strach, że lada chwila ta szara rozmowa w sąsiednim pokoju umilknie, że ciotka pójdzie na dół do siebie, a w ciemnej czeluści drzwi balkonowych zamajaczy barczysta sylwetka Pawła i zabrzmie jego piersiowy głos:



— No, teraz zaczynamy!

Istotnie, w sąsiednim pokoju zabrzmiały pocałunki, pani Jadwiga mówiła coś przyciszonym, tkliwym głosem, Paweł odpowiadał, skrzypnęły drzwi, rozległy się kroki na schodach i zaległo milczenie. Toninka podniosła głowę, przytuliła ręce do serca, które szarpało się gwałtownie, i czekała: w sąsiednim pokoju rozległy się ciężkie kroki w kierunku balkonu, na balkonie zatrzeszczała spróchniała podłoga. Toninka rzuciła się jednym skokiem na drzwi oszklone, zamknęła je silnym szarpnięciem, zapuściła storę i poczęła zrywać z siebie ubranie. Po chwili, złana zimnym potem, rozdygotana, leżała w ciemnościach, wtulona w poduszki i nasłuchiwała szmerów z balkonu. Długi czas nie słyszała nic: widocznie Paweł stał bez ruchu i zawierał oczyma znajomość z widokiem ogrodu i łąk, majaczących srebrnymi mgłami w mrokach nocy. Toninka widziała wyraźnie tę ciężką postać, niby wmurowaną w podłogę balkonu, białe, muskularne, o przedziwnie długich palcach dłonie, wsparte na drewnianej, wątlej baryerze, i te szare, głębokie, jakby nie widzące oczy, zapatrzone w dalekie światy. Po pewnej chwili Paweł się poruszył, Toninka skurczyła się i przywarła do poduszek. Słyszała kroki w sąsiednim pokoju, szmer na łóżku, które stało tuż obok ściany, nią tylko oddzielone od jej łóżka, potem znów kroki na balkonie, obsuwanie się jakichś miękkich przedmiotów na podłogę. Widocznie Paweł siał tam sobie legowisko, aby spocząć pod otwartym niebem, w zapachu lip, na świeżem powietrzu. Ciężkie obsunięcie się ciała na

spróchniałe belki balkonu poświadczyło to przypuszczenie.

— Nie idzie spać, nie! — szeptała z rozpaczą Toninka, i to poczucie, że tam u jej drzwi czuwa ciągle ten groźny człowiek, naprężyło znów nerwy dziewczyny. Wysunęła głowę z pod kołdry i nasłuchiwała, rychło Paweł wstanie i pójdzie na spoczynek do swego pokoju. Ale nie słyszała nic: na balkonie panowała cisza śmiertelna.

Już biały świt zaglądał przez zapuszczone story, gdy Toninka, znużona lękiem i oczekiwaniem, zasnęła nareszcie, a na balkonie było wciąż cicho. Widocznie Paweł spędził tam całą noc.

---

Nazajutrz Toninka wstała, niezadowolona z siebie.

— Czyżbym i ja miała pozwolić nerwom na rządzenie mojem postępowaniem? — mówiła, obmywając zimną wodą rozpalone znużeniem policzki.

— Dotychczas wiedziałam, czego pragnę i co czynię, a wczoraj... Czyżby ten przeczulony muzyk wywierał na mnie wpływ hipnotyczny? A nie! na to nie pozwolę, od czegoż siła woli? Nie dam nikomu władzy nad sobą.

Odczytała dwa razy list narzeczonego, jakby go chcąc przeprosić za wczorajsze zaniedbanie.

Pełne powagi i tkliwości słowa Karola ukoili jej zmaconą duszę, wróciły jej zwykły hart i pogodę. Pełna ufności w siebie, podążyła do powszednich zajęć, a było ich niemało, gdyż ciotka pozostawiła w jej rę-

kach całe gospodarstwo kobiece, które w Orlińcach prowadzono na znaczną skalę, choć, staro-polskim obyczajem, nie ciągnięto z niego zysków pieniężnych.

Ogromne ilości nabiału, stada drobiu i trzody chlewnej szły na dwór, liczny zawsze. W piekarniach, zaklukach, bokówkach gnieździły się stare baby napół żywe, a dobrym jeszcze opatrzone apetytem, rozmaite klucznice, nianie i tym podobne kochane istoty, pozostające na łaskawym chlebie. Sporo też było służby czynnej, nierzadko z przychowkiem, o który tak łatwo w tych ocienionych gąszczami bzu, przeciętych mrocznymi korytarzami, dworach wiejskich. Tym licznym, starym i młodym fraucymerem rządziła Toninka ze stanowczością i spokojem. Kochano w czeladnej starszą panienkę, ale i bano się jej potrosze: umiała odezwać się tak stanowczo, spojrzeć poskramiająco, że najzuchwalsza dziewczka kładła uszy po sobie i szła cicho do swojej roboty.

I oto nagle ta świadoma swej siły dziewczyna zdrżała wobec kilku nic nieznaczących słów prawie obcego człowieka. To nie do uwierzenia i nie do darowania! Smagała się ciągle tą myślą Toninka, na którą, po chwilowem ukojeniu listem Karola, znów spływać poczęły dreszcze dziwnego lęku.

— Histerya! — myślała z szyderstwem, wymierzając w śpizarni mąkę na chleb razowy.

— Dyc panienska zmyliła się w liczbie — przywołała ją do równowagi uwaga Marcychy, kucharki czeladnej.

Toninka omal nie wybuchnęła płaczem.

— Boże! Boże! co się ze mną dzieje? — biadała w myśli.

Uporała się wreszcie z gospodarstwem i poszła z robotą na werandę od ogrodu. Pusto tu było i zacisznie. Przez gąszcz liści winnych wnikwały maleńkie smużki słońca i drżały na deskach podłogi, z kwietnika zionęła woń lewkonii rozemdlonych w skwarze, na podciętych krzewach płonęły szkarłatne róże. Ten zakątek ziemi tak był przesycony zapachem, światłem i barwą, że zdawał się istnieć sam dla siebie w swem skupionem, tętniącem życiu. Toninka poczuła nagły przypływ sił, tak wielki, że jej na chwilę tchu zbrakło. Opuściła ręce z robotą na kolana, wsparła głowę o ścianę domu i oczyma pełnemi blasku pobiegła przed siebie przez ogród, na łąki, hen, hen po siny smug lasu. Wtem za ścianą zabrzmiał akord muzyczny — jeden, drugi, pewną uderzony ręką. Dusza Toninki zmaciła się w jednej chwili, jak wody stawu, gdy w nie, pędzący przed burzą, wicher dmuchnie.

— On gra! — szepnęła zbielełemi usty, a potem zaraz:

— Boże! Boże, co się ze mną dzieje?

Upadła głową na krawędź stołu, rękoma przytuliła rozbujaane serce. Muzyka płynęła już teraz całą falą, zalewała ją, porywała z sobą i niosła, by kwiat oderwany z wybrzeża. Przez długą chwilę nie było w głowie Toninki ani jednej wyraźnej myśli, tylko w piersiach łkanie olbrzymie jakiegoś szczęścia, dochodzącego do ostatecznych granic uczuć ludzkich. Można by umrzeć w takiej chwili bez odrobiny lęku i wahania, bo i co potem? Przyjdzie życie szare, małe,

pochłonie, zatrze nadludzki poryw. Czy to trwało sekundę, czy wieki? Nie umiałyby powiedzieć. Była u takiego szczytu życia, gdzie niknie pojęcie czasu i gdzie rzadko dolatuje duch ludzki. Wracła stamtąd, jak z nieba, bo też to jest właśnie jedyne niebo istnienia człowieczego. Cicha, z twarzą prześwieconą napięciem ducha, zmęczona, krzątała się koło stołu obiadowego, do którego zwołał domowników dzwonek kuchenny. Na Pawła ani razu nie podniosła oczu, ale czuła nieustannie jego obecność. Nie budziła w niej jednak lęku, jak dnia poprzedniego, lecz uwielbienie i wdzięczność bez granic. Był dla niej jakimś duchem dobrym, jakimś objawicielem nowego życia i cudów, nie przeczuwanych dotychczas.

Paweł milczał. Mówiła Wanda. Ze zwykłym sobie niepohamowanym zapałem opowiadała o wrażeniach, które w niej wywołała muzyka Pawła. Było w jej określeniach nieco przesady i literackiej sztuczności. Chciała nią zaimponować artyście, chciała mu dać poznać, że znajdzie w niej duszę bratnią i pojmującą.

— Czy ty, kuzynko, masz zwyczaj wszystko tak wykoślawiać paplaniem? — parsknął nagle Paweł.

— To tak, jakbyś tęczę mierzyła łokciem.

Wanda umilkła z miną obrażonego majestatu. Pani Jadwiga rozpoczęła gawędę z rządcą, by pokryć brutalne słowa syna, dla którego pragnęła miłości krewniaków, a których on odpychał z lekceważeniem i szorstkością.

Już tego dnia Paweł nie grał. Chodził z matką po podwórzu, rozpakowywał rzeczy, obracał się w kręgu powszedniego życia.

Toninka nie mogła doczekać się wieczora, pierwsza po kolacyi powiedziała wszystkim dobranoc i pobiegła do siebie na górę. Zapaliła lampę i siadła przy biurku. Nie wiedziała, co czynić. Trzeba było napisać list do Karola, tak, trzeba było. Odruchowo rozłożyła teczkę, przygotowała arkusik papieru, umaczała pióro i... nie wiedziała, co pisać. Siedziała długo z głową pochyloną, a myśli bezładne przepływały przez jej mózg. Nie chwytiała ich, nie zastanawiała się nad nimi; były jakieś nowe, promienne, wywoływały w niej uczucie radosnego natężenia woli i sił. Przychodziła jej zabawna chęć zerwania się z krzesła, stanięcia na baryerze balkonu i rzucenia się przed siebie, z rozwartymi rękami, na wilgotny od rosy trawnik. Napewno uderzyłaby piersiami o ziemię mocno aż do bólu i to byłoby rozkoszne. A potem wplotłaby palce w długie, mokre trawy, i przywarła do nich całym ciałem, i piła rozchylającymi się bezwiednie ustami chłodną rosę i nurzała w niej rozpaloną twarz — i to znowu byłoby rozkoszne.

W sąsiednim pokoju rozległy się kroki. Toninka odrzuciła głowę w tył i nasłuchiwała. Paweł otworzył szufladę od komody i coś w niej układał.

— Układa krawaty! — zaśmiała się w niej jakaś przekorna myśl.

Deski balkonu zatrzeszczały, o szybę otwartych drzwi pokoju Toninki uderzył palec muzyka.

— Czy można, kuzynko?

— Proszę! — wykrztusiła.

Wszedł z paką książek w dłoniach.

— Chciałem ci pokazać swoje książki — rzekł

z uprzejmym uśmiechem — kupuję tylko rzeczy wartościowe. Może cię to zaciekawia?

— O tak, bardzo — zapewniła skwapliwie — lubię książki i w zimie czytuję wiele.

— Czemuż tylko w zimie?

— W lecie nie mam czasu.

— Ach tak, proza życia — westchnął współczująco.

Nie było w nim w tej chwili nic szatańskiego, ani porywającego: inteligentny, sympatyczny człowiek i nic więcej. Toninka gawędziła z nim swobodnie, opowiadała o najpiękniejszych książkach polskich: o Żeromskim, o Wyspiańskim, o Brzozowskim. Paweł posiadał tylko rosyjskie i francuskie, trochę z dziedziny literatury pięknej, trochę filozofii, w artystycznych wydaniach, na co zwracał uwagę Toninki. Była w nim dziwna mieszanina delikatności i estetyzmu z odruchową brutalnością, wybuchającą czasem w słowach przykrych i w czynach rubasznych, do których go popychał niepohamowany temperament. Takim go jeszcze Toninka nie знаła. Niemiła uwaga, uczyniona Wandzie, nie zastanowiła jej, była w owej chwili zanadto pochłonięta poprzedniem wrażeniem. Widziała więc w nim tylko, oprócz siły, którą ją porywał, a której rodzaju nie umiała sobie wytłómaczyć, niezmierną subtelność i prostotę dziecięcą.

Ze złożonemi rękoma i uśmiechem zachwycenia spoglądał na mgły, prześwietlone blaskiem księżycowym, gdy po obejrzeniu książek wyszli na balkon.

— Jak tu dobrze! jak dobrze! — szeptał i naraz ujął rękę Toninki, podniósł ją i przytulił do policzka.

W dziewczynie zamarło życie, a po chwili krew

poczęła krążyć z zawrotną szybkością, tętnić w arteriach, jak tabun rozhukanych koni, i znowu zatrzymała się na sekundę, a potem popłynęła już równo i wolno, niosąc w każdą komórkę ciała uczucie spokoju i błogości.

— Dobrze! — powtórzyła wówczas Toninka.

Stali długo, zatopieni w ciszy nocy, w zapachu lip, w blasku księżyca.

Nagle Paweł drgnął i ścisnął palce Toninki.

— Zimno ci? — spytała dziewczyna.

— Tak, tak, zimno! — jęknął niemal i dygotał całym ciałem.

— Idź do pokoju, połóż się, zmęczony jesteś, ławo się zaziębisz, noc dosyć chłodna — mówiła głosem słodkim, macierzyńskim.

Ścisnął jej rękę z całej siły i zwrócił na nią oczy zamglone. Patrzył przez chwilę z rozchyłnemi ustami, jak nieprzytomny. Jasne spojrzenie dziewczyny otrzeźwiło go.

— Zimno! — rzekł, puścił jej rękę i poszedł do swego pokoju, zaryglował drzwi, zasunął storę.

Toninka udała się na spoczynek. Leżąc w łóżku, słyszała za ścianą szmer ruchów Pawła i jego westchnienia. Przewracał się z boku na bok, jęczał z cicha. Trwało to długo. Serce dziewczyny wzbierało tkliwością.

— Czemu on się męczy? co mu jest? może chory?

Siadła na łóżku i wahała się chwilę. Wreszcie zapukała w ścianę.

— Kto tam? — zabrzmiał żaloszny głos Pawła.

— To ja. Chciałam się zapytać, czy nie potrze-



bujesz czego? Słyszę, że nie śpisz... — tłómaczyła się, zmieszana swoją śmiałością.

— Nie, nie, dziękuję ci, kochanie. Zdenerwowany jestem i dlatego nie śpię, ale na to niema rady.

— Kochanie!

Toninkę zdławiło słodkie wzruszenie. Jak on to powiedział mile i jaki miał dobry, ufny głos! Leżała na wznak, z otwartymi oczyma, a dziwnie rozkoszne uczucie przenikało ją całą. Znowu świt dopiero ukłótył Toninkę do snu.

---

Południe było nadzwyczajnie skwarne. Zdawało się, że powietrze i zanurzone w niem rośliny drżą od blasku i gorąca promieni słonecznych. Łąka pachniała słodko i dziko, koniki polne bzykały z zapamiętaniem, roje motyli barwiły się nad puchem traw i kwiecia.

Roma swoim zwyczajem rozciągnęła się, jak długa, na podścielisku roślinnem, zarzuciła ręce nad głową i chodziła oczyma po nalanym pozągą słoneczną błękie. Paweł, napół leżąc, z łokciem wspartym o ziemię, spoglądał uważnie na Toninkę, a ona, zmieszana i uszczęśliwiona tem spojrzeniem, siedziała na trawie i zwijała rozdygotanemi rękoma wianuszki z kwiecia łąkowego.

— Jak szczęśliwy ten młodzieniec,  
Komu ślubny splatasz wieniec  
Z lilii, róż i tymianku...

Zadeklamował nagle Paweł i zaraz rzucił pytanie:  
— Więc ty, kuzynko, wychodzisz zamąż?

— O, nie rychło jeszcze — odparła żywo, jakby rada, że to jeszcze nie rychło.

— I kochasz go tak bardzo?

Ogarnęło ją uczucie wstydu.

— To rozumny i zacny człowiek — powiedziała wymijająco.

— Ach tak! rozumny i zacny człowiek! — wycedził zwolna. — Dlaczegoż więc za niego wychodzisz?

Podniosła nań zdziwione oczy:

— Toż mówię: rozumny i zacny człowiek.

— Dlatego tylko? No cóż? Tysiące kobiet tak zamąż wychodzi i żyje, ale ja tego nie pojmuję. Chyba, że masz inny jakiś cel w życiu, do czego innego duszą przyrośłaś, a mąż, dzieci, ot tak sobie dodatek... zmysły wołają gwałtu, więc dlatego...

Toninka czuła zamęt w myślach, rozumiała, że to teraz właśnie nadeszła ta chwila, której od pierwszego wieczora oczekiwała, że ma zdawać sprawę ze swego zawstydzenia, które ją ogarnęło wówczas wobec ironicznych słów Pawła, że duszę jej po raz pierwszy wezwano przed sąd, że musi w nią spojrzeć jasno i wytłómaczyć się z tego, co tam w niej się dzieje, inaczej nie odzyska spokoju, nie będzie mogła nosić czoła górną, ani iść dalej życiem z pogodą i pewnością siebie.

— Widzisz — zaczęła mówić zwolna — on mnie kocha, matka życzyła sobie naszego połączenia. Ja go szanuję i lubię, sądzę, że będzie mi z nim dobrze i dlatego...

— No tak, więc jako rzecz uboczna. Rozumiem.

— Ależ nie, najważniejsza, treść życia...

— I tak na chłodno ?

— Przecież trzeba mieć jakieś obowiązki, cel pracy...

— A ukochanie, ukochanie, kuzynko ?

— Sądzę, że go pokocham. A zresztą potem przyjdą dzieci...

— Z człowiekiem zacnym i rozumnym ; czyż takie dzieci można kochać nad wszystko w świecie, żyć dla nich wyłącznie, czyż mogą stać się czemś wielkiem i pięknem ? Bo widzisz, matka nasza naprzykład : my dla niej jesteśmy dzisiaj całym światem, żyje naszym życiem, poza nami nie wiele widzi. Ale to co innego : my jesteśmy dla niej dziećmi człowieka, którego kochała do szaleństwa, którego ciało, myśli, uczucia widzi powtórzone w nas, i dlatego my jesteśmy dla niej sprawą ważną i cudną, dla której z zapałem pracuje i która ją szczęściem napełnia. Takie zaś macierzyństwo dla zwyczaju, z obowiązku, a choćby dla zaspokojenia instynktu macierzyńskiego, to — nie ! w tem niema nic wzniosłego, to jest małe i pospolite. A przecież trzeba mieć w życiu coś, co jest ponad wszystkim, czemu się oddaje jądro serca i myśli najgórniejsze, najpiękniejsze, coś, coby mogło wypełnić istnienie po brzegi, poza całą powszednią krętanią, poza sprawami majątkowymi, towarzyskimi, poza tem wszystkim, co jest niejako tłem życia, a na czem zarysowuje się rysunek właściwy, sens życia, cel jego niejako. Jakaś świętość najwyższa, jakiś bóg, w którego się wierzy i któremu służy. Bez tego czyż można żyć ? Czyż życie nie staje się raczej wegetacją szarą, nudną ?

— Ja kocham wiele rzeczy: kocham kraj, kocham Orlińce, kocham rodzinę.

— No tak, tak, każdy z nas ma mniej lub więcej takich ukochań, dla których wieleby poświęcił, ale nie wszystko, trzeba zaś mieć coś takiego, za coby się życie, co tam życie! ale szczęście całego życia dało. Mówisz: kocham kraj. Dobrze. Ale jednak nic wyłącznie dla tego kraju nie czynisz, nie dajesz mu w ofierze swoich dni. Trochę oświecasz lud, zachowujesz narodowość i na tem koniec. Więc to nie jest dla ciebie sprawa najważniejsza. Mówisz — Orlińce, a jednak, gdy wyjdiesz zamąż, Orlińce porzucisz, zatem mąż, dzieci, ważniejsi dla ciebie, niż Orlińce; to samo rodzina obecna. Widzisz, że dzisiaj właściwie najważniejszą sprawą jest twoje małżeństwo, ten człowiek zacny i rozumny, te dzieci, zaspokajające twój instynkt macierzyński, a to nie jest przecież najwyższe ukochanie, tego mogłabyś się wyrzec bez wielkiego targnięcia serca. Zatem, kuzynko, co, pragnąłbym wiedzieć, co jest bogiem twego życia, co jest szczytem i najwyższą pięknością?

Toninka schyliła głowę nisko. Czuła się małą, lichą i bardzo nieszczęśliwą.

— Zatem co? — naglił Paweł, wyciągając ku niej swą bladą twarz o natchnionym wyrazie.

— Nic! — szepnęła Toninka cicho.

Wyprostował się i spoglądał na nią w osłupieniu.

— Czyż tak można? — zapytał wolno.

W niej kruszyło się coś i padało w gruzy, jakieś małe chateczki drobnych wierzeń i drobnych ukochań. Przyszedł wielki dreszcz serca i wszystko runęło, ból

ból był w tem, umęczenie, lęk, nieświadomość siebie. Nie pozostawało nic, nic zupełnie.

— Dusza moja jest smutna aż do śmierci!

Przewinęły się przez myśl te słowa najwyższej udręki.

Szła Toninka przez mroczną pustynię, zawałoną gruzami glinianych lepiarek, zeschniętymi badyłami drobnych kwiatów polnych, śmieciem nędznem i bez znaczenia.

— Bo widzisz, kuzynko — zaczął znowu Paweł — jeśli życie ma swego boga, to jest piękne i wzniosłe, choćby nawet było nieszczęśliwe; cierpieć dla tego boga, nieść mu wszystko i wszystkich w ofierze jest szczęściem, mimo cierpienia ofiary. Ten bóg bywa często okrutny, krew z serca wyciska, łzami twarz skrapia, duszę skręca w mękach niewysłowionych, ale to nic, wszystko przecierpieć można dla niego, byle istniał, bo nie w cierpieniu nieszczęście ludzkie leży, ale w beczuciu, w pustce, w nicości. Przy chwilach cierpienia bywają chwile rozkoszy, wówczas dusza zatracą się w uniesieniu, omdlewa ze szczęścia, staje u kresu życia i spogląda w nieskończoność zachwyconem okiem. Za taką jedną godzinę w życiu nie żał cierpieć latami, bo ona dość promienna, by rzucić blask na czarny szlak istnienia w bólu, by szlak ten rozświetlić i uszczęśliwić.

— Co może być takim bogiem? — zapytała głuchym głosem.

— Każde wielkie ukochanie. I nie przedmiot stanowi o wielkości, ale siła uczucia, serce, które kocha.

— Czy jest coś warte takiej miłości?

— Tu niema miary, ni wagi, analiza nie zniszczy takiego kochania, gdy raz w serce zapadnie. A kochać można wszystko i wszystkich. Sztukę, ojczyznę, ideję.

— Człowieka czy można?

— I człowieka można, ale człowieka najtrudniej, w każdym człowieku tyle pospolitości, że się serce doń zrazi, nim nad wszystko pokocha. Bywa jednak, że się człowieka tak kocha nad życie, nad szczęście życia. Matka moja tak kochała, Zygmunt August — Barbarę, Akte — Nerona, ale to rzadko, bardzo rzadko.

— A ty czy mógłbyś pokochać tak kobietę?

— Ja nie. I nie tylko tak, ale nawet cokolwiek silniej, goręcej kochałbym nie chciał, nie pozwoliłbym sobie na to.

— Czemu?

— Bo moim bogiem jest muzyka, dla niej wszystkich i wszystko poświęcę. Gdybym zaś pokochał kobietę, to musiałbym część uczucia odebrać muzyce, część duszy oddać innej sprawie, rozdzielić się, rozdrobnić, a tylko, gdy się służy bóstwu całkowicie, służy mu się wiernie i dobrze, zwłaszcza takiemu bezwzględnemu bóstwu, jak sztuka, ona wymaga każdej myśli i każdego drgnienia serca, bez tego nie można zbadać jej tajników najgłębszych, odczuć najdelikatniejszych przejawów, bez tego nie można być wielkim artystą.

— Jednak, gdybyś pokochał?

— Zgniótłbym wówczas kobietę kochaną, zmiażdżył bez namysłu, by oczyścić sobie drogę do sztuki...

Jego szare oczy stały się w tej chwili tak straszne i tak wzniosłe, że Toninka zamarła z lęku i zachwytu.

— Zabiłbyś?

— Nie wiem: możebym zabił, a może poniżył, aby zabić miłość.

— A gdyby więcej była warta miłowania, niż muzyka?

— Nie! muzyka jest szczytem życia ludzkiego. Niema w niej nic pospolitego, nic złego, jest tylko wzniosłość i dobro. Muzyka jest wykwitem najcudniejszym duszy ludzkiej, jej pierwiastkiem najczystszy. Każda dusza składa się z dwu pierwiastków: jeden ziemski, powszedni, do materialnych rzeczy przyrosły, a drugi w wyżyny wzlatujący, nieśmiertelny, boski; we wszelkich dziełach ludzkich, w każdej pracy, w każdej sztuce nawet przejawiają się oba te pierwiastki, a im pierwiastku drugiego więcej, tem rzecz piękniejsza, doskonalsza. Jedna muzyka jest przejawem wyłącznie pierwiastku boskiego, jest bezwzględną doskonałością, jest absolutem, i dlatego żadna kobieta najlepsza, najpiękniejsza nawet nie może stać ponad nią i dlatego każdą zdeptałbym bez wahania, gdyby w poprzek mojej drogi stanęła.

— Gdybyś ją kochał?

— Właśnie, gdybym pokochał.

— I nie cierpiałbyś?

— Może, ale to byłoby cierpienie chwilowe, niszczyłbym przecież rzecz małą dla rzeczy największej.

— A jeśli potem przyszłyby wyrzuty sumienia i zmałyły twe uczucia dla muzyki?

— Nie, zanadto kocham moje bóstwo, zanadto

pochłania myśli me i uczucia, bym mógł żałować innej sprawy i o niej pamiętać.

— Czyż naprawdę jesteś taki okrutny?

— Tylko ludzie okrutni są silni, a tylko silni dochodzą do celu.

— Twój cel?

— Zawładnąć najgłębszymi tajnikami muzyki i umieć nimi rządzić.

— Wówczas co?

— Wówczas szczęście najwyższe dla duszy własnej.

— W porywaniu słuchaczy...

— O nie, tem gardzę. W stwarzaniu melodyi tak cudnych, o jakich nie śniło się w godzinach najśmielszych marzeń, pieśni tak podniosłych, że ducha prowadzić będą na kresy życia widomego do progów niekończoności. Rozkosz dla duszy własnej w pogrążeniu się w dźwiękach najpiękniejszych, a nie we wzruszaniu dusz cudzych.

— A jednak i to jest rozkoszą.

— To jest rozkosz dla człowieka żądnego władzy, a nie dla służebnika dźwięków. Kocham muzykę nie dla tej mocy, którą ona daje swoim wyznawcom, ale dla tej mocy, którą nad ich duszami panuje. Kocham ją nie jako środek, ale jako cel sam w sobie.

Drżał ze wzruszenia, głos mu się łamał, oczy mieniły połyskiem stali. Był w tej chwili uosobieniem siły wzniosłej i pięknej, choć strasznej. Umilkł wyczerpany, ale po twarzy przepływały mu drgnienia duszy, jak obłoki po błękitnem niebie.

Tonince zdawało się, że ją ogłuszył piorun, że jej istotą wstrząsnął dreszcz silny, i czuła się osłabłą



i zbłąkaną. Powiedziano jej, że droga, którą szła, była manowcem, biegnącym w niziny, w kierunku przeciwnym od szczytów życia, że blaski, które jej przyświecały, były ognikami gazu błotnego na przegniłych torfowiskach, że ludzie, w których wierzyła i których szanowała, byli fałszywymi prorokami i ludźmi małymi.

Osaczyły ją myśli, rodzące się i pojawiające, jak pokusa, myśli, co wkręcają się, jak wróg, który mąci spokój, myśli, co wiedzą precz i każą się rozstawać z drogami, jak sad dzieciństwa, widnokręgami.

Nadeszły dla niej chwile rozstania się z duchowym światem, pustki, zsychnania się wewnętrznego, chwile najstraszniejsze, gdy dusza zawisa w próżni, a osaczy ją świat nienawiścią.

Zbrakło jej tchu, uczuła zawrót głowy, lecz dawne wierzenia zerwały się w niej raz jeszcze, jak liście zeschnięte, wichrem podniesione, uczyniły szmer bolesny w duszy i pchnęły ją do ostatniego wysiłku, do obrony tych rzeczy, które już w niej były ruinami. Poczęła mówić szybko, jakby urażonym głosem :

— Jednakże tysiące ludzi żyje dla tych, tak przez ciebie pogardzanych mniejszych ukochań, i są to ludzie pożyteczni i szczęśliwi.

— Miljony nawet, ale ja nie uważam ich za ludzi skończonych, za ludzi na najwyższym szczeblu człowieczeństwa. Tam stoją tylko ci, którzy ukochali rzecz jedną olbrzymio, do szaleństwa. Rozumiesz, kuzynko, szaleńcy miłości. I ci są stokroć pożyteczniejsi, bo jednym swoim czynem popychają świat o dziesiątki lat naprzód, oni są silni, oni są „rozumni szaleem“. A tamci twoi, udeptywacze wążiuchnych ścieżek powszedniego

życia, tamci, jeśli nie są szkodliwi zawaleniem drogi tym szalonym, to są w każdym razie mało pożyteczni, gdyż pchają świat naprzód wolno, wolniusieńko, sekundowymi poruszeniami. To są ludzie wygodni, ludzie zadowoleni, ale nie są ani zachwycający, ani szczęśliwi. Ja ich nienawidzę, ja nimi pogardzam.

— Jednak w ich szeregach stoją ci, których kochamy.

— Z moich niema tam nikogo. Matka moja, wiesz, że dla człowieka kochanego poszła na obczyznę, w niedostatek, precz od najbliższych, od rodzinnego domu. Brat — cudowny człowiek, miłuje sprawiedliwość, jak dziadek Joachim, i czynić ją pragnie na ziemi, szalony swem uczuciem, wierzy, że czynu dokona. Rema — najbardziej uduchowiona, najdalsza od spraw powszednich istota. Oto i wszyscy kochani. O innych powiem, że was nie znam, nie wiem, jacy jesteście, czy zachwycicie moją duszę, czy was pokocham? Wy obcy, jak reszta ludzi; a kochanek, przyjaciół nie mam. Kobiety biorę dla chwilowego nastroju i rzucam, gdy dotrę w nich do powszedniości, gdy mnie zaczynają nudzić i razić. Do przyjaźni jestem zbyt dumny i skryty. Zatem tylko tych troje najdroższych, a i z nimi nie żyję zbyt blisko, bo mnie nie zawsze rozumieją, bo mnie mogą dotknąć jakimś kantem swej duszy. Biorę z nich, co jest pięknego, a reszty nie poruszam. Szczęściem, tego piękna w nich tak wiele, że zasłania wszelką szarzyznę, zwłaszcza, gdy się trzymać w pewnym oddaleniu....

Słowa te padły na duszę Toninki, jak raniące głązy, czuła się osamotniona wśród swoich ruin

i odepchnięta od wielkiego gmachu, którego zarysy mi-  
gać jej poczynały w dalekim blasku jutrznianym, wscho-  
dzącym nad szarem, pustem polem. Ten oto objawi-  
ciel nowych prawd rzekł jej: „Nie znam ciebie, nie  
wiem, czy zachwycisz moją duszę, czy cię pokocham,  
jesteś obcą, jak reszta ludzi“. Tamci, dawniej blizcy,  
stawali się jej obcy, sama odchodziła od nich, a ci  
nowi ją za obcą uważali. Gdzież pójdzie, do kogo  
się zwróci?

---

Paweł poznawał Orlińce. Wczesnym rankiem, gdy  
jeszcze rosa kryształila się na trawach, szedł z kajetem  
papieru nutowego pod pachą, z odkrytą głową, w ko-  
lorowej koszuli na sposób rosyjski. Snuł się po sadzie,  
zarośniętym przysadzistemi jabłoniemi, których roso-  
chate gałęzie kładły szerokie cienie na inurawę, prze-  
tykaną puszkami mleczu, i niknął w gąszczu olszowym  
nad stawem, gdzie były całe pola niezapominajek,  
brodził po łące, smugiem rozległym leżącej za ogro-  
dem; często zapuszczał się aż do lasu, odległego o dwie  
wiorsty od dworu; a raz przesiedział do południa  
w ruinach bronowieckich. Zawierał znajomość z ustro-  
niami, pełnemi ciszy, złotych światełek słonecznych, prze-  
sianych przez gąszcz liści, woni ostrej lub słodkiej  
ziół dzikich. Przylegał do traw puszystych i topił w ich  
wilgotnej zieleni głowę rozmarzoną, czarem rodzinnej  
ziemi pijaną. Stawał z ustami, rozchylonemi uśmiechem,  
z oczyma pełnemi zachwyty przed kwiatuśkami deli-  
katnymi, jak sen, i nieśmiały mi koniuszkami swych

czarodziejskich palców muskał pieściwie ich płatki. Zastuchiwał się w dalekich gruchaniach i pokrzykach ptactwa leśnego. Przykucnięty na mchu, śledził ciekawem spojrzeniem śmiałe wędrówki zuczków zwinnych po źdźbłach roślin. Dumął wśród rumowisk zamku pradziadów o ich dziejach górnych i pięknych. Prowadził tajemne gawędy ze świątkiem napoły spróchniałym, który od wieków czuwał pod gruszą polną nad polami orlinieckimi. W alei lipowej zapamiętywał się w słodkim rozmarzeniu, ukołysany symfonią miodnego złotego kwiecia.

Chłonał całą duszą cuda tego zakątka ziemi, który kształtował i upiękniał myśli i serca jego przodków. Dziedzicem ich się czuł we krwi i duchu. Prawdziwym synem ziemi, po której chodził poznawającymi krokami, z którą zawierał przymierze na wieczne dni.

Wracał z tych wędrówek przemoczony, osypany pyłem kwietnym, senny, milczący i szczęśliwy. Siadał do stołu z oczyma zagubionymi w przestrzeni, nieświadom tego, co się wokół działo, i jadł machinalnie, bez słowa. Naokoło niego milczano również. Czasem tylko pani Orlińska rzucała krótkie pytania rządcy lub Mazela opowiadała nowiny, wyczytane w Journalu. Rema milczała zwykle. Wanda zapadła w ponurą zadumę, która nie nawiedzała jej od czasu, gdy poczęła systematycznie pracować. Toninka pobladła, zsunęła brwi niemal w jedną linię, opuściła kąciki ust żalonym wyrazem i spoglądała w jeden punkt z takim uporem, jakby tam miało się ukazać bóstwo i wyprowadzić ją z tej niezwykłej zadumy i żalności. Stach uległ nastrojowi otoczenia i nie mącił swoją promienną wesołością

smętku innych młodych. Usta milczały, mówiły za to oczy. Wanda chyliła nisko głowę i z pod spuszczo-nych powiek wpijała rozblysłe źrenice w twarz Pawła. Ten twardy, lekceważący ją mężczyzna, o brzydkiej, lecz niezwyklej twarzy wzbudzał w niej uczucie sza-łonego gniewu, nienawiści niemal i jednocześnie za-ćmiewającej umysł żądzę. Dusza czaiła się w niej, niby tygrys do skoku, spragniony krwi i mordy. Za-ciskała pięści histerycznym kurczem, brózdząc pazno-kciami dłonie, kulila się w sobie, by pohamować drze-nie, które wstrząsało ciałem jej od stóp do głów, gdy się znalazła w pobliżu Pawła. Nocami leżała z oczyma szeroko rozwartemi, wyprężona, rozdygotana, złana zimnym potem, wsłuchana w szmery uśpionego dworu. Każdy szelest, płynący z góry ze strony, gdzie miesz-kał Paweł, każde skrzypnięcie podłogi na korytarzu, na który wychodziły drzwi jej pokoju, rozciągały członki dziewczyny, jak narzędzia tortur, i trzymały w pełnym okrutnego oczekiwania lęku, a gdy nie stało się nic i zaległa znowu zupełna cisza, z piersi Wandy rwał się jęk umęczenia. Rano wstawiała zgorączkowana, roz-drażniona, gotowa o byle co wybuchać gniewem i łza-mi. Niosła między ludzi postać zgarbioną, twarz po-nurą i oczy, przyczajone pod powiekami, a płonące nieustannym ogniem. Toninka męczyła się także, ale w niej działały się rzeczy górne, zawrotnie piękne; chwilami na serce spadało zachwycenie, dech tamujące, radosne, promienne. To było jednak tylko chwila-mi, w jakichś godzinach dobrych, wywołanych muzyką Pawła, wonią lip, cichym zachodem słońca, miesięczną poświatą. Poza tem w Tonince odbywało się rozsta-

wanie z życiem dawnem, z wierzeniami i ukochaniami, do których serce przyrosło. Opływał smutek bezbrzeżny za spokojem minionym, za jasną linią życia. Rwał się krzyk buntu przeciwko nowym siłom, które brały jej ducha w swoje posiadanie. Od przyjazdu Pawła nie pisywała do narzeczonego. Ten Karol, dawniej tak szanowany i lubiony, wydawał się jej człowiekiem dziwnie małym i szarym. Może wreszcie nie on, może w nim były strony piękne i duże, których ona nie spostrzegła. Może tylko jej uczucie dla niego spokojne, słabe, nie tłumaczące dostatecznie ofiary z całej siebie, którą chciała dla niego uczynić, rzucało ten szary ton na jego postać. Myśl o małżeństwie z Karolem, powitana radośnie ze względu na matkę, a potem usuwana skwapliwie z obawy żalu wobec rozstania się z Orlińcami, teraz narzucała się jej ciągle jako rzecz brzydka i bolesna, jako zbłąkanie z prostej drogi życia, uczynione na rzecz spraw drobnych i praktycznych. Mówiła sobie, że obowiązek nakazuje pisywać do niego, myśleć o nim zyczliwie, jak dawniej, dążyć do połączenia się z nim, i jednocześnie wybuchła pogarda dla wszelkich obowiązków wogóle, a potem wahanie, czy to właściwie jest obowiązkiem. Dała mu słowo, więc dotrzymać go winna, ale wówczas nie wiedziała o wielu rzeczach, o których dziś wie, spoglądała na życie inaczej, niż dziś spogląda, to, co było dla niej dawniej piękne i dobre, dziś jest brzydkie i złe, zatem...

Stałość, leżąca w duszy Toninki, przeciwstawiała się wątpliwościom, które ją ogarnęły, i walczyła z nimi zaciekłe aż do umęczenia.

I tak raz do zapamiętania szczęśliwa, drugi raz rozszlochana łzami żalu i niepewności, przeżyła Toninka rozdroże swego istnienia.

Chodził Paweł po Orlińcach, pogrążony w zachwycie i budowaniu strzelistego gmachu miłości dla rodzinnej strony, a za nim szły w trop dwie dusze Orlińskich pańienek. Jedna, jak smagana wichrem jesiennym, czarno-listna wierzba wykręcona; druga, jak krzew bzu majową porą, już osypujący się listowiem i puchem wonnego kwiecica, a jeszcze o zaraniu przy-mrozkiem odchodzącej zimy dręczony.

---

— Zagraj!

Cicho, jak westchnienie, padła w mrok salonu prośba Remy. Paweł stał w otwartym oknie i patrzył na ciężkie chmury, wałące się zbitym zastępem ze wschodu. W ogrodzie, który zalewał dziwny, jakby przysypany popiołem mrok, drzewa i krzewy stały, gdyby zamarłe w oczekiwaniu ważnych zdarzeń. Powietrze było parne i silnie naelektryzowane, to też napięcie nerwów w całej i tak zdenerwowanej gromadzie młodych Orlińskich doszło do najwyższego stopnia. Remy doznawała uczucia, jakgdyby całą jej istotę przygniatał ciężar powietrza, a duszę ogarniał mrok tak gęsty, że wydawał się czarną plamą w ciemnościach, zapelniających salon. Jak do wybawienia, targnęło się w niej serce do muzyki, która zwykle koła nadmierne napięcie jej nerwów, i padło błagalne słowo:

— Zagraj!

Paweł zbliżył się do fortepianu. Wzbierała w nim siła radosna, nagromadzona w ciągu kilku dni wędrówek po Orlińcach, wzięta od tych rzeczy pięknych i swoich, którym się uczuł blizkim i drogim. Nadchodząca burza zdała mu się syntezą jego uczuć, nie wiedział, czy to w przyrodzie, czy w nim samym ta burza ma wybuchnąć? Czuł nadmiar siły, którą musiał wyładować w jakimś czynie, więc szedł grać, bo muzyka była jego czynem. Położył ręce na klawiaturze i czekał chwilę, z pośród licznych, zrywających się w nim głosów wybierał ten, któremu najprzód wybuchnąć należało. I zabrzmiał krzyk radości z odnalezienia siebie w barwach, blaskach, dźwiękach, woniach rodzinnej strony. Zabrzmiał hymn pobratania, sojuszu wieczystego, pełny świadomej sobie mocy i uniesienia. Odpowiedziała mu radosną pieśnią dusza Toninki. Te dźwięki, takie nasycone mocą i weselem, stały się dla niej jakby hasłem zmartwychwstania. Zerwała się odrodzona, strząsnęła strzępy zwietrzałe dawnych swoich prawd, odziana w nową zbroicę stalową, hartowną, połyskliwą i świetną; nie było w niej już wahań ni żalów, była pewna siebie znajomość prawd nowych, zapał ku nim wielki i gotowość dania za nie życia, a nadewszystko było zawrotne szczęście, że oto stanęła na tym szczycie, gdzie tak od powszednich spraw ludzkich daleko, gdzie tak jasno i pięknie. Zrozumiała, że życie tylko wtedy jest drogocennym klejnotem, gdy się skupia koło rzeczy, nad wszystko i do szaleństwa umiłowanej, za którą słodko dać życie, dla której cierpieć nawet jest rozkoszą. Zrozumiała, że wymienianie tego



klejnotu na drobne kwoty małych ukochań jest marnotrawstwem, że go należy zachować w całości i w całości złożyć u stóp wybranego boga.

Co będzie dla niej tym bogiem, nie wiedziała jeszcze, świadomość tego leżała milcząca w rozbujanem radosną pieśnią sercu.

Zerwał się wicher w ogrodzie, zakręcił tumanami piasku w alei, zatargał drzewami. Ze strun fortepianu buchnął wicher dźwięków, poderwał tumany myśli w głowach, zatargał sercami. Z chmur z trzaskiem padały pioruny, zielonem światłem błyskawic zalewając ziemię, gromy tonów biły w dusze i olśniewały je blaskiem. Lunął deszcz rzęsy i krzepił znużoną upałem przyrodę. Polały się kaskady brzmień ożywczych na umęczone serca. Poczęło za oknami cichnąć, ukając się, przemijając, i muzyka przeszła w pianissima coraz niklejsze, delikatnusięńkie. Chmury odpłynęły, na błękit padła miesięczna poświata, drzewa i krzewy rozszemrały się dziękczynną pieśnią opadających kropel dżdzu. Paweł opuścił ręce na kolana, odrzucił głowę w tył i siedział rozjaśniony, słodki i cichy. Dusza Toninki poszła ku niemu wskroś księżycowych blasków, zalewających salę i uklękła przed nim dziękczynna i szczęśliwa.

Po tym wieczorze Paweł i Toninka całą noc spędzili na balkonie. Ona wciśnięta w kąt fotelu, on rozciągnięty na ławce. Wokół stały cicho rozkwiecione lipy, w blaskach miesięcznych gdzieś niegdzie na krzewach pod balkonem migały róże, nad łąkami za ogrodem rozlewało się morze oparów. Milczeli, jakby oczarowani tą ciszą, zasłuchani w tajemną mowę

swych dusz. Już długo tak siedzieli, gdy począł mówić Paweł miarowym głosem, jakby deklamując pieśń, która zrodziła się w jego myślach:

— Toninka to ślicznie brzmi, jakby imię łąkowego ziółka, które, skryte w gąszczu traw, żyje w ciszy i zamyśleniu. Nie jest ani barwne, ani okazałe, ale pachnie słodko i silnie, pachnie, jak miłość gorąca i słodka. Ty mi się wydajesz, Toninko, upostaciowaniem takiego ziółka, ty masz duszę głęboką i silną, ty umiałabyś tak kochać.

Toninka wyprostowała się, wyciągnęła szyję i słuchała z zapartym oddechem, jakby jej głoszono wyrok całego życia, i czyniło się w jej duszy coraz jaśniej, i pojmowała, co ma być odtąd celem jej istnienia.

— Niezmiernem ukojeniem dla człowieka jest świadomość, że go ktoś kocha wiernie i nad wszystko. Wówczas każdą klęskę życiową przeżywa łatwiej, po każdym cierpieniu uspokaja się pręcej, gdyż może ból serca swego podzielić z drugą istotą, równie kochającą i pewną, jak człowiek sam dla siebie. Jest wówczas silniejszym o jedno serce i o jeden umysł i nigdy nie czuje się osamotniony, choćby rzucony był na kraniec świata, choćby otaczał go najbardziej wrogą tłum. Taka miłość jednak, która wszystko oddaje, a niczego nie żąda, która, mimo zawody i doświadczenia, trwa niezachwianie i pójdzie za kochanym człowiekiem, choćby na szafot zbrodniarza, taka miłość zakwita raz na sto lat, jak kwiecie aloesu. Szczęśliwy, kto ją posiędzie, szczęśliwszy stokroć, kto ją daje.

• Toninka złożyła dłonie, na usta jej wypłynął

uśmiech zachwycenia: oto słyszała wyraźnie słowo po słowie pieśń swojej duszy.

— Pawle!

Szepnęła cichuteńko brzegami ust.

— Co, Toninko?

Obsunęła się na kolana i ruchem szybkim, samorzutnym złożyła mu głowę na piersiach. Ogarnęło ją szczęście niepojęte, cisza i spokój wieczności, zdało się, jakby dusza wyszła z ciała i płynęła po srebrnym szlaku w zaświaty.

Paweł począł delikatnie gładzić jej włosy, wezbrała w nim rzewność i smutek przejmujący i lęk wobec rzeczy tak wielkiej i cudnej, że dusza ludzka truchleje, by jej nie pohańbić. Ciężar odpowiedzialności za posiadanie tak cennego skarbu począł zapadać w jego serce coraz głębiej, wreszcie zmaćił je aż do dna. Zerwał się szybko, usuwając od siebie troskliwymi rękoma klęczącą Toninkę.

— Nie, nie — mówił — zabij to, póki czas, nie daj wyrosnąć temu kwiatowi, jam go niegodny, ty mnie nie znasz, ty nie wiesz, ile rzeczy brudnych i płaskich czai się w mojej duszy. Mówię ci to już dzisiaj, mówię szczerze, bo później mogłoby być zapóźno, a cierpiałybyś strasznie, gdybyś się zawiodła na mnie.

Toninka klęczała ciągle, ręce spłótła na kolanach, głowę, odurzoną szczęściem, wsparła o ścianę domu, oczy promienne wzniosła ku Pawłowi.

— Ty jesteś wielki i piękny, niema w tobie nic małego, nic brzydkiego. Kocham cię nad wszystko w świecie i jestem szczęśliwa ponad wszelką miarę.

Nigdy nie przypuszczałam, aby człowiek mógł tak silnie i radośnie czuć.

— Nie, nie, Toninko, ja nie mogę na to pozwolić, twoje słowa upokarzają mnie i przygnębiają, ja nie jestem godny takiej miłości i przede wszystkim, Toninko, cóż ja tobie za nią dam? Przecież ja nie mogę pokochać ciebie nawzajem, mówiłem ci, że poza muzyką nie istnieje dla mnie nic i nikt, godny tak wielkiej miłości, że, gdyby nawet istniał, to...

Urwał; okrutne słowa nie wypłynęły na usta, wstrzymane upojnym spojrzeniem dziewczyny.

— Pawle! — mówiła jakimś głosem nie swoim, głębokim i czystym — czyż ja chcę czego od ciebie? Kocham i ledwie żyję ze szczęścia, trochę więcej, to już byłby kres, bo serceby pękło.

— Tak mówisz dziś, w chwili uniesienia, ale jutro, pojutrze, po latach może, gdy się opamiętasz, wówczas będziesz mnie przeklinała, że ci zmarnowałem życie. Bo ja nic ci dać nie mogę! miłość — nie, zmysły — to byłoby świętokradztwo, małżeństwo — ja nie mogę pętać swej wolności obowiązkami, ja muszę mieć myśli i serce wolne, przyjaźń — czyż może być mowa o przyjaźni tam, gdzie jest miłość, wdzięczność? ja nie chcę nic komu zawdzięczać, bo to krępuje. Nie, nie, Toninko, spójrz na mnie jasno, zastanów się, zanalizuj mój charakter, a zgaśnie ten wielki płomień, który w tobie buchnął, zostanie tylko mały płomyček życzliwości i miłości siostrzanej, tego chcę od ciebie, to mi wystarczy. Pomyśl, i ja będę zadowolony, i tobie z tem będzie do-

brze. Wyjdiesz za Karola, on cię tak kocha, będziesz z nim szczęśliwa.

Toninka uśmiechała się z łagodnem politowaniem, jak do dziecka, które niedołąźnie gwarzy, i potrzasała przecząco głową. Paweł upierał się coraz silniej:

— W tej chwili nie możesz o niczem decydować, bo pod wrażeniem uczucia zatraciłaś zdrowy rozsądek, ja muszę myśleć za ciebie i wskazywać ci wszystkie strony sprawy. Wzrosłaś, Toninko, w tem przeświadczeniu, że zadaniem kobiety jest wyjść za mąż, mieć dzieci i swój dom, mimowolnie dążysz do tego, mimowolnie oczekujesz, jak żeglarz przystani, a miłość dla mnie jest to wyrzeczenie się małżeństwa, jest to całe życie samotne, bez wyraźnej pracy i celu, jest to ciągle czekanie na coś, co nigdy nie przyjdzie.

— Nie będę czekała na nic, chwila obecna jest tak cudna, że mi wystarczy.

— Dzisiaj, ale gdy ochłoniesz, Toninko, bo w każdym razie w stanie takiego napięcia trwać ciągle nie będziesz...

— Będę, to się już nie zmieni.

— Ale gdyby się zmieniło.

— Zwrócę oczy ku chwili, którą właśnie przeżywam, i rozpromienię się jej blaskiem.

— To nie na długo wystarczy.

— Wspomnienie tak wielkiego szczęścia wystarczy na całe życie. Choćby już od jutra zaczęły się szare, puste dni, ja tę miłość moją dla ciebie zawsze błogostawić będę za bezmiar szczęścia, które w tej chwili odczuwam.

— Jesteś jeszcze za młoda, by żyć wspomnieniami.

— Czy wiek można mierzyć latami? Człowiek jest młody póty, póki dąży do najwyższej chwili swego życia, gdy ją minie, już schodzi ku starości.

— Szczytem życia ludzkiego nie może być jedna chwila, ale pewien okres, trwający lata, w którym dzieją się rzeczy najważniejsze.

— Jeżeli jedna chwila jest taka silna i cudna, starczy za lata.

— Jesteś tak bogata, że chcesz odrazu wydać cały kapitał, nie rozkładając go na raty.

Począł żartować, nie mogąc dłużej znieść wysokiego nastroju chwili.

— Tak, tak, właśnie, jestem Krezus, nie wiedziałeś?

Zaśmiała się, gdyż i w niej nadmierna radość poczyniała się dopominać o śmiech i wesele.

Ogarnęła ją pustota dziecięca, mówiła rzeczy zabawne, które dawniej nigdy jej nie przychodziły na myśl, stroiła poważne miny, pełne przyczajonej swawoli, co chwila wybuchwała dźwięcznym śmiechem. Paweł dał się porwać jej nastrojowi, stał się uczniakiem z głową pełną psych figli, nieustatkowanym wietrznikiem. I śmieli się tak i gwarzyli żartobliwie długo, aż w gąszczach lasów zabrzmiały ptasie ćwierkania, księżyc pobladł, a na wschodzie kres nieba zróżował. Stróż przeszedł pod balkonem i zabębnił w okno rządcy.

— Chryste Panie! — wykrzyknęła Toninka — toż to ranek. Ładnie się prowadzimy, niema co mówić. Życzę dobrej nocy szanownemu panu.

I uniósłszy suknię z boków koniuszkami palców, złożyła przed Pawłem ukłon głęboki.

Skoczył ku niej rozbawiony, otoczył ją ramieniem, przygarnął do siebie i złożył serdeczny pocałunek na różowym policzku dziewczyny.

Podniosła ku niemu oczy i zamarła w pełnym uniesienia spojrzeniu. Chwilę pił to spojrzenie rozjaśnionym wzrokiem, lecz nagle pojął jego głąb, drgnął, odsunął Toninkę łagodnie i poszedł do swego pokoju.

---

Chodzili odtąd razem po pięknych ustroniach Orliniec. Do południa Toninka zajęta była gospodarstwem, i wówczas Paweł grał studia lub uczył się nowych utworów, potem już się nie rozłączali. Często grywał dla niej, specjalnie dla niej, te rzeczy, które lubiła i z myślą o niej.

— To jedno, co ci mogę dać — mówił.

— Skarb wielki — odpowiadała.

— Twój większy, bo dla mnie wyłącznie istniejący.

— Zapomniało kociątko, że Toninka bogata pani. Żartowała, mrużąc oczy rozkosznie.

A jemu wówczas drżały ręce, by ją chwycić w ramiona i całować te oczy radosne, te usta uśmiechnięte, to czoło promienne, i zmagał się w sobie i od-

chodził, bo żal mu było kalać chwilą zmysłowego zadowolenia tę miłość górną i cudną, której tylko równie silne uczucie było godne. Lecz dziwiło go, że w jej jasnym spojrzeniu nie spostrzegł nigdy błysków żądzy, że, będąc z nim sama, siedziała w pewnym oddaleniu, że nie szukała spotkań z jego rękoma, że zachowywała się tak, jakby w niej zmysły nie drżały, więc pewnego dnia, gdy byli we dwoje na łące za ogrodem, zapytał :

— Czy ty mnie, Toninko, nie pragniesz ?

— Jakto ?

Zapytała i wzniosła ku niemu zdziwione oczy.

— Bo widzisz, jeśli się kogoś kocha, to pragnęłoby się tulić do niego, całować jego usta, oddać mu się całą.

— Prawda — rzekła, tak być powinno — a jednak nie myślę o tem, gdy jestem z tobą, gdy na ciebie patrzę, czuję się tak szczęśliwą, że już nic więcej nie pragnę i nie wyobrażam sobie, aby mi mogło być jeszcze lepiej.

Umilkła. On się zadumał, z oczyma zatopionemi w przestrzeni, a ona chłoneła radosnym wzrokiem widok jego postaci. Po chwili rzekła :

— Może cię nudzi, Pawle, może cię drażni ?

— Co ?

Ocknął się z zamyślenia.

— To, że ja cię tak bardzo kocham i mówię ci o tem i wytwarzam miłosną atmosferę wokół ciebie, a zachowuję się, jak siostra... Bo jeżeli chcesz, Pawle, to ja będę twoja.



Patrzyła mu jasno w oczy, jakby mówiła o rzeczy tak prostej, jak oddanie kwiatu, który trzymała w dłoni.

Spojrzał na nią zdumiony, zdawało mu się, że jej nie rozumie.

— Jakto, Toninko, przecież mówiłem, że nie mogę się żenić.

Potrząsnęła niecierpliwie głową.

— Czyż ja o tem? Wcale nie, nic nie chcę od ciebie. Tylko, jeśli ciebie takie braterskie obcowanie ze mną drażni, jeśli mnie pragniesz, jeśli ci to da rozkosz i sprawi radość, to sobie mnie weź.

— Nie kocham cię.

— Wiem, ale może pragniesz. Bo widzisz, jeśli cokolwiek we mnie może ci dać chwilę dobrą, to bierz bez skrupułu, dla mnie każda radość, tobie sprawiona, będzie szczęściem.

— Jednak ty mnie nie pragniesz.

— Może tam gdzie we mnie to pragnienie ciebie tkwi, tylko za bardzo cię kocham, aby mogło przyjść do głosu. W każdym razie wszystko, co od ciebie pochodzi, jest dla mnie szczęściem, więc i to byłoby także.

— Ty chyba nie rozumiesz, Toninko, że to byłoby decydujące o całej twojej przyszłości, że pewien okres twego życia skończyłby się na zawsze.

Znów uśmiechnęła się i trzęsła niecierpliwie głową, jak dobrotliwy nauczyciel nad tępym uczniem.

— Że też ty tego pojąć nie możesz, kochany, iż właściwie cała moja przyszłość jest zdecydowana i dotychczasowy okres życia zamknięty. Skoro cię raz

pokochałam, to już jestem całkowicie twoją, rozumiesz: wolą jestem twoją, a czy ty sobie ze mnie więcej lub mniej weźmiesz, to już nic nie stanowi.

— Mogłoby to stanowić przeszkodę do małżeństwa.

Klasnęła w ręce niecierpliwie.

— Boże! Boże! co ja mam z tym człowiekiem, wybije sobie raz z głowy to małżeństwo i wszelkie inne powszednie projekciki dla mnie. Kocham pewnego nadzwyczajnego artystę, jestem z tego powodu strasznie dumna i szczęśliwa i nie dam się zdegradować do roli żony jakiegoś zacnego i rozumnego człowieka.

— To się tak mówi.

— Pawle, słuchaj!

Siadła wyprostowana, twarz jej sczerwieniła, w oczach błysnęły łzy.

Popatrzył na nią i spuścił głowę.

— Więc ty mnie aż tak kochasz?

— A tak, tak, żebyś wiedział.

Uderzyła ręką w murawę.

Zaśmiał się jadownicie i spojrział na nią.

— Słuchaj, Toninka, gdybym tak ja naprawdę wziął ciebie, a po kilku tygodniach okazało się, że...

Podniosła ramiona, wtuliła w nie głowę, jak mała ucieszona dziewczynka, i uśmiechnęła się z upragnieniem.

— Ach, Pawle, jakby to było cudnie.

— Pomyśl: skandal, oburzenie wszystkich, przesładowanie.

— Mniejsza, ale to byłoby twoje dziecko.

W oczach błysnął mu zielony płomyk zazdrości, usta wykrzywiły się zawistnie.

— Kochałabyś je więcej ode mnie.

— Niemożliwe. Kochałabym bardzo właśnie dlatego, że twoje.

— Wówczas zapomniałabyś o mnie.

— Przecież to byłby nowy łącznik z tobą.

Uśmiechnął się tklawie, położył dłoń na złożonych rękach Toninki.

— Nie, dziewczyno — rzekł — pozostań mi taka święta i czysta, jak teraz, pogardziłbym sobą, gdybym cię tknął bez miłości, gdybym cię ściągnął do jednego poziomu z temi kobietami, które miałem w swoich ramionach, a które niegodne są nawet, aby o nich myśleć jednocześnie z myślą o tobie.

— Jak chcesz, Pawle. Powiedziałam ci to, bo się bałam, czy cię nie nudzę i drażnię.

— Taka jesteś inteligentna i rozmaita i miła, że nudzić mnie nie możesz, a drażnić... no tak zapewne czasem, ale niechże i ja mam zasługę, że zapanuję nad sobą, miejże ty chociaż to ode mnie.

— Bo jeśliby kiedy, Pawle, było ci ciężko, to pamiętaj, że ja zawsze...

— No, dosyć, dosyć, Toninko, już nie mówmy o tem. Ty jesteś jakieś niebywałe, cudowne stworzenie, czasami doprawdy pojąć trudno, aż się w głowie mąci.

Uśmiechnęła się tryumfalnie.

— A pan myślał z początku: taka ot sobie pospolita dziewczyna, taka zrównoważona i spokojna, chce wyjść za pewnego pana za męża, dlatego że za-

cny i rozumny człowiek chce swoje uczucie rozmie-  
nić na drobne ukochania, chce dreptać powolutku po  
wąziuchnej, nizinnej ścieżce życia. Tak, tak, bo tak  
było, aż przyszedł pewien wielki i mądry człowiek  
i powiedział: „Moja pani, tak nie można, niech pani te  
wszystkie malutkie pojęcia wyrzuci na strych, bo  
czego innego niewarte, i niech pani sobie wyszuka  
czegoś, co pochłonie wszystkie myśli i uczucia pani,  
za co z rozkoszą cierpiałybyś i z radością życie oddała,  
inaczej, proszę pani, życie będzie szare i nudne. No  
i cóż było robić, pani się buntowała, męczyła, rozpa-  
czała, przytrzymywała dawne poglądy, byle nie ucie-  
kły, nic nie pomogło, pewnego dnia spostrzegła, że  
nie zostało z nich ani szczątka, a wkrótce potem  
okazało się, że w myśli i sercu pani osiedlił się ten  
wielki człowiek i w żaden sposób nie można go stam-  
tąd usunąć, zresztą nie trzeba, bo strasznie z nim do-  
brze. Ach, jak dobrze!

---

Dawno już Paweł nie przeżywał tak górnego na-  
stroju, dawno też nie tworzył i nie grywał tak wiele  
i pięknie. Nie mógł się tem dość nacieszyć i drżał,  
by go kto nie wytrącił z tego błęgiego stanu. Unikał  
rozmów o interesach z matką, przerywał dysputy po-  
lityczne, które Stach rad wszczynał, odgradzał się, jak  
mógł, od wszelkiej powszedniości życia.

— Nawet zmysły we mnie umilkły — myślał  
z radością — przyciały się pokorne, niby lwy, zama-  
gnetyzowane spojrzeniem pogromcy.

Każdy dostrzeżony w sobie poryw gorętszy w kierunku Toninki tłumił czempredzej, by nie zepsuć tego cudnego, przezystego stosunku. Rozkoszował się nim, jak smakosz, obiecywał sobie prześliczną korespondencyę po powrocie do Wiednia i tysiące pomysł<sup>ów</sup> muzycznych, niewyczerpanych na długie lata. Ta niezwykła miłość na tle równie niezwykłego otoczenia, jakim był dwór orliniecki, pełny pamiątek i wspomnień, i malownicza okolica, była dla niego niespodziewanym a doniosłym wypadkiem. Chciał ją wyzyskać wszechstronnie dla swoich celów artystycznych. Pieścił się nią, niby klejnotem drogocennym i ciekawym. Każdego ranka budził się z myślą, jakie też nowe wrażenie przyniesie mu dzień dzisiejszy. Każdego wieczora zastanawiał się, czy nie utracił nic ze swego skarbu, czy wywołał on w nim jak największą ilość jak najsilniejszych wzruszeń. Już teraz nie siedział przy stole milczący i chmurny, śmiały mu się oczy do promiennej dziewczyny, gwarzyły usta rzeczy wesole i miłe. Toninka odpowiadała mu radośnie spojrzeniem i słowem. Stach pławił się z lubością w tej jasnej atmosferze, która tak bardzo odpowiadała jego słonecznej duszy. Roma miała ucieszną minę kota, wygrzewającego się na słońcu. Mazela pełnymi wykwintu i finezyi bons mots ożywiała rozmowę, a pani Jadwiga obejmowała szczęśliwem spojrzeniem rozswawoloną, zaprzyjaźnioną gromadkę. Tak pragnęła, by jej chłopcy pokochali Orlińce i zdobyli sobie serca krewniaków, i oto Paweł był już w starym dworze, jak u siebie, a z jego mieszkańcami zbratał

się serdecznie. Wśród tych radosnych ludzi czarną plamą odcinała się postać Wandy. Wychudła, poczerniała, zgarbiona, z zaciętymi ustami i pełnymi ponurych blasków oczyma snuła się w odległych stronach ogrodu, wysiadywała godzinami na wzgórzu pod krzyżem wśród pól za ogrodem, przychodziła do stołu ociężała, mroczna, niby kruk z połamanymi skrzydłami. Czasem Stach próbował wciągnąć ją do ogólnej rozmowy, czasem ciotka ogarniała troskliwym spojrzeniem i pytaniem, Wanda odpowiadała niechętnie i kulila się jeszcze bardziej, więc ją zostawiano samej sobie. Ciężkie było jej życie, histerya, wzbierająca od lat kilku, ogarnęła ją gwałtownym płomieniem i dręczyła nad miarę. Zjawienie się w spokojnym dworze orlinieckim, gdzie życie płynęło tak równo, obcego mężczyzny o wybitnej indywidualności i silnym temperamencie, podniecanym miłością Toninki, skwarem letnim, wonią lip i róż, oddziaływało na zmysły Wandy, jak podcięcie biczem, rozszalały się i ponosiły ją, aż poniosły.

Pewnego wieczoru wszyscy poszli na przechadzkę drogą w stronę lasu, po bokach rozciągały się ścierniska po ściętej pszenicy, której snopy, ustawione w mendle, jeszcze były na polu. Stach pierwszy przeskoczył rów, obrzeżający drogę, i siadł pod kopą, w ślad za nim podążył Paweł i dziewczęta, wśród okrzyków i śmiechów rzucali w siebie snopami, gonili się po rżysku, swawolili. Toninka z rozrzuconymi włosami, pokraśniałą twarzą, śmiejącymi oczyma taka była powabna, że Paweł nie mógł oprzeć się pokusie

i ciągle za nią gonił, chwycił za rękę, przygarniał do siebie, pewien, iż obecność ludzi zmusi go do opanowania rozigranych zmysłów. Wanda, ożywiona świeżym powiewem nocy i ogólną wesołością, biegła wraz z innymi, rzucała snopami, wykrzykiwała i śmiała się, ale czyniła to wszystko gwałtownie, z niepohamowanym rozpędem. Ruch, wrzawa, rozbłyśnięte oczy Pawła podnieciły ją tak, że bez zastanowienia biegła za nim, zaczęła go ciągle. Tacy rozigrani, pobudzeni wrócili do domu. Toninka musiała iść do spiżarni schować miód, którego złocisty plon przyniósł ogrodnik, Paweł dał jej znać oczyma, że czekać będzie na górze, powiedział dobranoc wszystkim i pobiegł do siebie. Zziajany, spocony rzucił się na kanapę i, wyprężając ramiona, otrząsnął z siebie rozkoszne podniecenie, które go opanowało.

W ciemnej sieni została Wanda sama, pani Jadwiga poszła za Toninką, Stach i Roma patrzyli na gwiazdy przed gankiem. Otoczyła dziewczynę krwawa mgła, w głowie czuła zawrót, w piersiach brak tchu, serce targano się do bólu. Przed oczyma stanęło widmo bezsennej nocy, szalonego zmagania się z sobą, krzyków zduszonych i chłodnego ranka, który wita storturowane napięciem ciała.

— A nie, dosyć!

Zsunęła energicznie brwi, zacięła usta i rzuciła się ku schodom.

— Toninka? — zapytał Paweł, słysząc skrzyp drzwi, uniósł się na łokciu i spoglądał w mroczną głąb pokoju z radosnem oczekiwaniem. Rozkoszne dreszcze wstrzą-

sały nim ciągle, oczy zachodziły mgłą, czuł, że dziś właśnie stać się to może, wołał Toninki całą siłą rozigranej krwi i oto szła. Podniósł w górę rozpromienioną twarz, wyprężył pierś, nad nim pochyliła się Wanda. Zamarł ze zdumienia, chciał się cofnąć, lecz szyję oplotły mu jej ręce, uczuł na piersiach jej rozfalowaną pierś, na ustach jej gorące usta. Uczyniło mu się w oczach ciemno, myśli się skłębiły, nad wszystkim wziął władanie szął.

Na schodach zaszeleściły kroki Toninki, drzwi od jej pokoju stuknęły, na balkonie zabrzmiało radosne nucenie. Paweł oprzytomniał, wstrząsnął nim niepomiarowy gniew i żal. W jednej chwili uścisk Wandy przejął go wstrętem, porwał się z kanapy, odepchnął dziewczynę brutalnie i smagnął słowem:

— Precz!

Chwilę dyszał i przecierał oczy.

— Pawle! — doleciał głos Toninki z balkonu.

— Idę — odpowiedział z wolna i poszedł.

Blady był, chmurny, kąciki ust zwisły mu ku dołowi.

— Co tobie?

Zapytała z troską, ujmując jego ręce w swoje. Podniósł jej dłonie do twarzy, przesuwając niemi po czole, po rozpalonych policzkach, koił się, uciszał i milczał.

— Co kociątko, co? — pytała.

— Nic, nic. Nie mówić, nie męczyć, przejdzie, przeminie.



Umilkła, tylko oczyma bezmiernej miłości pieściła tę nad wszystko ukochaną głowę.

Wanda wlokła się po schodach obolała, jak kopnięty pies. W uszach brzmiało jej ciągle gniewne, pogardliwe: precz. W piersi wzbierało łkanie. Upadła na łóżko i przeleżała w sukni do rana bez zmrużenia powiek. Nie mogła zebrać myśli, nie mogła uświadomić sobie tysięcznych uczuć, które ją szarpały. Nazajutrz trupio blada, z sińcami pod oczyma wyszła do ogrodu, spotkała ją ciotka i przerażona jej widokiem czemprowadzej zaprowadziła do łóżka i zapowiedziała, że pośle po doktora, ale Wanda oparła się temu stanowczo. Obawiała się pytań, któreby jej zadawał, przypuszczeń, któreby czynił. Leżenie w łóżku dogadzało jej bardzo, gdyż oddalało spotkanie z Pawłem, a na myśl o nim wszystko w niej drętwiało.

Dzień ten był nieszczęśliwy dla Orliniec. Paweł nie otrząsnął się z wczorajszego wrażenia, wieczorem musiał sobie powiedzieć, że jego cudny, czysty nastrój zmacono, rankiem myśl ta wystąpiła jeszcze wyraźniej, a jednocześnie zbudziła się obawa, że świadomość o usposobieniu Wandy niepokoić go będzie odtąd ciągle, podsuwać mu myśli erotyczne, podniecać w stosunku do Toninki. Zrozumiał, że brutalnem uderzeniem uczyniono rysę w ścianie kryształowego pałacu, który wzniosł w ciągu kilku tygodni pobytu w Orlińcach, a tej rysy już niczem się nie usunie, że biedz ona będzie coraz dalej, okrążać całą budowlę, aż cudny gmach runie. Ogarnął go lęk i żal i pragnienie zachowania go chociaż takim zarysowanym,

lecz przecież silnym jeszcze. Czuł, że uciekać stąd powinien, bo gdy zostanie...

Toninka nie mogła zrozumieć, czem się dręczy Paweł. Myśl, że stanął między nimi ból jego, którego ona nie zna i nie dzieli, gnębiła ją i gniewała. Czuła też trochę żalu do kochanego człowieka, iż taił przed nią przyczynę smutku, jaki go ogarnął po raz pierwszy od chwili, gdy go pokochała.

— Czyż mnie uważa za płochą istotę, z którą tylko radość dzielić można? — myślała z urazą.

Próżno długo w noc darzyła go najgłębszemi spojrzzeniami, najśłodszymi uśmiechami, na jakie się zdobyć mogła, próżno szeptała słowa tkliwe aż do śmieśności, chmurny spać poszedł i chmurny rankiem ją powitał. Chodziła za nim przez cały dzień pełnemi troski i współczucia oczyma, czujna na każdy jego ruch, na każde słowo, uprzedzająca życzenia, byle choć trochę rozjaśnić najdroższe czoło.

Pani Jadwiga zmartwiona była chorobą Wandy, Stach również był zaniepokojony stanem siostry. Nie chciała nic jeść, leżała odwrócona twarzą do ściany, nie odpowiadała na pytania.

Poczta wieczorna zgnębiła wszystkich do reszty. Toninka dostała list od Karola, trzeci po tym, który przyszedł w dzień przyjazdu Pawła, a na który nie odpisała. Narzeczony w pełnych tkliwości i niepokoju słowach dopytywał o przyczynę jej milczenia, zapowiadał rychłe przybycie po Stacha, z którym mieli obaj jechać do Krakowa: Karol na ostatni kurs me-

dycyny, Stach przygotowywać się do zdania tamtejszej matury.

Liś ten był jakby ostrym blaskiem rzeczywistości, który poraził oczy Toninki i łyzy z nich wycisnął. Na promienną drogę jej miłości padł obcy cień. Schyliła nisko głowę i myślała, jak ciężko być szczęśliwą kosztem szczęścia innych, jak ciężko wyrządzać krzywdę, której się nie jest w możności nie wyrządzić.

Pani Jadwiga miała kartę od Tadeusza, ucieszyła się w pierwszej chwili, gdyż przeszło od miesiąca nie pisał ani słowa, lecz wnet radość jej zgasła. Pisał z Kijowa, jak zwykle krótko, niewyraźnie:

— Jestem chory, samotny, spoglądam na puste kąty izby i myślę, że człowiek jest śmiesznie nędznem stworzeniem i że do życia trzeba jednak bardzo wiele sił.

Pani Jadwiga podniosła oczy na Pawła, już powziął postanowienie.

— Pojadę do niego, mamó.

— Gdybyś go tu mógł przywieźć...

— Naturalnie, jeśli tylko stan zdrowia na to pozwoli.

— Píše sam i pismo nie jest zmienione.

— Może poprostu tylko upadek ducha. W każdym razie dobrze go tu będzie przywieźć. Orlińce wrócą mu siły i może wiarę w cel życia.

— Kiedy jedziesz?

— Nocnym pociągiem. Im prędzej, tem lepiej.

Paweł chwycił się, jak deski ratunku, tego wyjazdu, chciał go przyspieszyć, aby uniknąć długich

chwil pożegnania z Toninką, których obawiał się dla samego siebie. Ucałował tylko w sieni jej ręce przy wszystkich, gdyż pani Jadwiga tak ciągle chodziła za synem, przygotowując go do podróży, że ani chwili nie mógł zostać sam z Toninką.

Wszyscy serdecznie zegnali Pawła, pierwsze nie-miłe wrażenie, jakie wywołał w Orlińcach, zatarło się całkowicie, kochano go tutaj i lubiono bardzo. Toninka stała długo u płotu, okalającego dziedziniec, i łowiła uchem oddalający się turkot, aż utonął w lesie i zamilkł zupełnie, wówczas wolnym krokiem, pochylona, jakby ją przygniatał wielki ciężar, poszła do swego pokoju, uklękła przy łóżku, położyła na niem głowę i rozplakała się po raz pierwszy od chwili, gdy zaczęła nowe, cudowne życie.

---

Nazajutrz dostała Wanda gorączki i płakała bezustannie. Miała wrażenie wewnętrznego rozpadania, którego nie mogła opanować, i to ją niesłychanie męczyło. Pani Jadwiga posłała po doktora. Zadawał rozplakanej dziewczynie dziesiątki pytań, na które odburkiwała niewyraźnie, opukał ją starannie i obsłuchał. Wreszcie udał się z panią Jadwigą do salonu na konferencję, za nimi wsunął się niepostrzeżenie Stach. W swojej dziecięcej, czystej głowie wytłómaczył sobie stan Wandy, wynalazł nań radę i postanowił podsunąć doktorowi.

— Nerwy — mówił doktor, rozkładając bezradnie ręce — organizm wyjątkowo zdrowy i silny, tylko roz-

strój nerwowy, boję się histeryi — dodał z wahan-  
niem.

— Przepiszę środek uspokajający, zabiegi hydro-  
patyczne, ale wszystko to są paliatywy.

— Gdyby jednak coś radykalnego?

— Czy ja wiem? — zawahał się znowu — jeśli wyj-  
dzie za mąż.

Pani Jadwiga machnęła niecierpliwie ręką.

— O tem niema chwilowo mowy, nikt się o nią  
nie stara, a przecież jej nie wydam umyślnie za byle  
kogo dla zdrowia.

— No tak, zapewne. Możeby zatem jakiś bardzo  
czynny, bardzo urozmaicony tryb życia.

— O to w Orlińcach trudno. Gdyby inne czasy,  
pojechałabym z nią na kilka tygodni do Warszawy,  
zabawiłaby się, rozerwała, ale wobec dzisiejszego  
stanu kraju myśleć o tem nie można.

— Niech ją pani wyprawi zagranicę.

— Ja wyjechać na długo nie mogę: interesy ma-  
jątkowe, choroba młodszego syna, który tu lada dzień  
przyjedzie.

— Toż panna dorosła, wyprawić można samą.

— A! to nie.

— Czemu?

— Nieboszczka matka miała co do tego uprze-  
dzenia i kiedyś zaklinała mnie na wszystko, aby  
Wandy samej w świat nie puszcać.

— Pani Julianowa była kobietą chorą, nadto więc  
ostrożną, przytem, wychowana w dawnych poglądach,  
nie mogła się z nowymi pogodzić. Trudno jednak dla  
jej uprzedzeń poświęcić zdrowie córki.

Teraz przyszła pora na Stacha, cała ta rozmowa zmierzała do tego, o czym on myślał. Wysunął się z kąta i zaczął drżącym głosem, rozczzerwieniony:

— Ciociu, ja myślę, że, gdyby Wanda pojechała na uniwersytet, to odrazuby wyzdrowiała, niech ciocia sobie przypomni, jak przed wakacjami dobrze się czuła w czasie lekcji z panem Karolem. Ona tak pragnie nauki.

— Czyż doprawdy?

Doktór zwrócił się skwapliwie ku Stachowi, jakby w jego słowach pragnął znaleźć lekarstwo na chorobę Wandy.

— Ależ tak. Nieraz o tem mówiła, nieraz buntowała się, że ją trzymają w domu, nie pozwalają się kształcić.

— Niechże zatem jedzie, to istotnie może ją uratować, przynajmniej uspokoi na czas jakiś.

Pani Jadwiga wahała się.

— Wola zmarłej matki...

— Ciociu, mama wyraźnie mówiła, że nie chce, aby Wanda jechała w świat sama, gdyby jednak pojechała ze mną, pod moją opieką.

— Chłopcze drogi, czyżby ona ciebie chciała słuchać? A istotnie miewa czasem takie szalone wybryki.

— Gdyby jej się to postawiło za warunek? Wreszcie, ciociu, ja przecież jestem mężczyzną i w razie potrzeby będę się umiał zdobyć na energię i ton stanowczy.

— O ile będziesz wiedział o jej zamiarach, ale ona jest najczęściej nieobliczalna.

— Czy cioci się nie wydaje, że Wanda ma gorszą opinię, niż na nią zasługuje? Ostatecznie cóż ona czyni tak szalonego?

Pani Jadwiga kręciła głową w niepewności, jak postąpić. Stach zdobył się na ostatni krok.

— Ciociu — zawołał — ja widzę, że ciocia poprostu boi się wziąć wyjazd Wandy na swoją odpowiedzialność, niechże więc ciocia tę odpowiedzialność złoży na mnie. Ja cioci ręczę, że Wandzie włos z głowy nie spadnie, odpowiadam za to swoim honorem, swoim życiem.

Położył rękę na sercu, wznosił głowę do góry i miał tyle męskiej stanowczości w twarzy, że pani Jadwiga uległa.

— Niechże i tak będzie, skoro za nią ręczysz, a pan doktor uważa, że może to być z korzyścią dla jej zdrowia.

— Stanowczo, zwłaszcza, jeśli tego tak pragnęła. Może właśnie to jest przyczyną jej choroby, bo jakaś bezpośrednia przyczyna być musiała, jakieś zmartwienie, czy wstrząśnienie.

— Ależ tak, jestem przekonany, że to właśnie — zapewniał Stach — znam ją przecież dobrze, lepiej może, niż inni, bo ma do mnie zaufanie i zwierza mi się ze wszystkich swoich myśli i uczuć.

— Idźże więc zaraz do niej z tą nowiną, może ją uzdrowisz.

— Kto wie? Nerwowe kobiety czynią niespodzianki — przytwardził doktor.

Stach rozpromieniony wpadł do pokoju Wandy.

— No, moja pani — wołał od progu — obetrzyj łzy i raduj się, oto wybiła dla ciebie godzina wybawienia. Postanowione, że jedziesz ze mną do Krakowa na uniwersytet.

Wanda leżała twarzą do ściany, słowa brata odbiły się w jej mózgu, jak dźwięki bez znaczenia. Po chwili jednak przyszła do świadomości myśl, że wyjazd do Krakowa oddali bardziej jeszcze spotkanie z Pawłem, że nowe życie zatrze wrażenie, wywołane przez niego, że wreszcie będzie to jakaś zmiana, coś, co ją wyrwie z zębatych kół dręczących jej istotę tortur. Ożywiła się więc nagle, siadła na łóżku, zasypała Stacha pytaniami. Nazajutrz wstała blada jeszcze, osłabiona, ale rozradowana, czynna. Pani Jadwiga zadowolona była, iż usłuchała rady Stacha.

---

Z pierwszego wejrzenia Toninki, z wyrazu stanowczej powagi, rozlanego na jej twarzy, poznał Karol, że zaszło coś doniosłego między nimi, co stało się przyczyną jej milczenia, że nie można sprawy tej poruszać przy wszystkich, zacząć od serdecznych i żartobliwych wymówek. Pocałował rękę narzeczonej oficjalnie, bez tkliwości, z którą zwykł się do niej zwracać, przy kolacyi rozmawiał głównie ze Stachem i z Wandą o ich projektach krakowskich. Dopiero, gdy wszyscy udawali się na spoczynek, rzekł półgłosem do Toninki:

— Chciałbym dziś jeszcze pomówić z panią.

— Tak, trzeba — odparła — niech pan przyjdzie do mego pokoju.



Śmiało spojrzała mu w oczy, gdy stanął przed nią w jej cichym, pełnym bukietów pokoiku, w którym tyle cudnych godzin przegawędziła z Pawłem.

— Czy pani ma mi co do zarzucenia? — zapytał.

— Nie, szanuję i lubię pana po dawnemu, tylko nie mogę zostać pańską żoną, gdyż zrozumiałam, że małżeństwo bez miłości jest rzeczą brzydką i małą, a ja przecież pana nie kocham, o tem pan wiedział od początku, panie Karolu.

Stał milczący, z takim wyrazem zdumienia i bólu w twarzy, że serce w niej poczęło drżeć niespokojnie i pojęła, iż dzieje mu się krzywda, poczęła więc mówić błagalnie:

— Niech pan zrozumie, że ja sama bardzo nad tem cierpię, że zdaję sobie doskonale sprawę z krzywdy, którą wyrządzam panu, ale doprawdy inaczej być nie może. Omyliłam się wówczas, zostając pańską narzeczoną, gdyż zdawało mi się, że miłość można w sobie wyrobić na podstawie szacunku, życzliwości i przywiązania, dzisiaj wiem, iż jest to ślepa siła, której ani stworzyć, ani też zwalczyć nie można; wiem także, iż jest to cudowne zjawisko, które przeistacza życie w sprawę ważną i piękną.

— Pani pokochała innego! — jęknął, ściskając rękoma skronie.

— Tak.

— Pani zostanie jego żoną?

— Nie, nigdy.

— Czemu?

— On się żenić nie może.

— Żonaty? To niechże się rozwiedzie.

— Wolny, ale ma doniosłe posłannictwo do spełnienia, nie może więc krępować się żadnymi obowiązkami.

— Zatem on pani nie kocha?

— Nie.

— Jakto? i pani, panno Toninko, kocha człowieka, który nie jest pani wzajemnym, pani pozwala istnieć w swoim sercu uczuciu, którego on nie ocenia i nie chce, pani, taka dumna?

Roześmiała się pogardliwie.

— Czemże jest duma? Miłością własną. A czyż może istnieć miłość dla samej siebie tam, gdzie jest miłość bezwzględna, olbrzymia dla mężczyzny. Zresztą on moją miłość ocenia, on jej chce, on się nią cieszy.

— Jakto, nie dając pani wzamian nic? Ależ to jest potworny egoizm.

— O, niech pan nie mówi nic złego o nim, to człowiek niezwykły, on pojmuje, że taka wielka miłość jest bezinteresowna, że sama przez się jest szczęściem.

— Cóż jemu z niej przyjdzie?

— Znajduje siłę i pewność w tem przeświadczeniu, że jest na świecie ktoś, kto go kocha nad wszystko, że może w każdej chwili podzielić się z tą kochającą istotą swymi smutkami i radościami, gdyż ona go zrozumie i odczuje, że w chwili choroby czy nieszczęścia będzie ją miał przy sobie troskliwą i wierną, że, choćby go wszyscy opuścili, wszystko

zawiodło, ona pójdzie za nim wszędzie na dolę i niedolę.

— Tak, tak, to wygodnie, to miło, ale czy on pomyślał o tem, co da pani nawzajem? On nie będzie rozumiał i odczuwał pani smutków i radości, on nie podąży do łoża pani, gdy ją choroba zmoże, on nie pójdzie za panią wszędzie na dolę i niedolę. Jeśli pani będzie zawsze pogodna, zawsze zdrowa, zawsze otoczona życzliwymi ludźmi, to może pani swego osamotnienia w miłości nie odczuje. Ale niech pani pomyśli, panno Toninko, że i na panią mogą przyjść chwile zgnębienia, choroby, opuszczenia, że może pani znaleźć się na świecie bez jednej życzliwej duszy, wówczas co, panno Toninko? Do kogo się pani przygarnie, przed kim uzali, kto pani poda szklanke wody, kto rozjaśni mroki duszy? On nie, bo on pani nie kocha, on o panią nie dba. Dba może o pani miłość, gdy mu się do stóp ściele, jak kwiat wonny i piękny, dba o pani troskliwość, o pani uwielbienie, dba, jednym słowem, o to, co mu pani dać może, ale z chwilą, gdy mu tego w pani zabraknie, on o pani ani pomyśli, pójdzie szukać innej, któraby mu znowu z miłością w oczy patrzyła, była korną i czci pełną.

— On temu przecież nie winien, on mi nie kazał siebie kochać, nawet z początku bronił się przed tem uczuciem.

— Ale czy odszedł od pani w chwili, gdy spostrzegł, że się ono zaczyna, czy umiał powiedzieć pani wszystko, coby na stłumienie tego uczucia wpłynęło? Jeśli nie, jeśli się niem cieszył, jeśli mu był rad, jak

pani powiada, to on pani wyrządził krzywdę, panno Toninko.

— Ja też panu wyrządzam krzywdę, a jednak...

— A nie, to co innego. Ja panią kocham, pani mnie nie, no to trudno, tak bywa, to nie jest od pani zależnem. Ale pani nie powiada mi: Pamiętaj o mnie, miło mi będzie wiedzieć, że ktoś mnie kocha, że w każdej chwili znajdę w nim podporę i pociechę. Przeciwnie, pani z pewnością pragnie, bym najrychlej odszedł, zapomniał, pokochał inną i był szczęśliwy.

— No tak, rzecz prosta, dla mnie męką jest myśl, że pan w tej chwili przeze mnie cierpi.

— Bo pani jest uczciwa, a tamten...

— Nie, nie, on także.

— Jeśli tak, powinien był odejść zaraz, nie zachęcać niczem uczucia pani, nie idealizować go, nie doprowadzać pani do uniesienia, powinien był rozmówić się z panią trzeźwo i stanowczo, ale on tego nie uczynił, bo miło mu chodzić w blasku pani miłości, wyzyskiwać ją, podziwiać.

— To straszne, co pan mówi, to niemożliwe.

— To jest prawda, oczywista prawda.

— Nie, nie, tylko miłość moja jest inna, niż miłość pana, i on to zrozumiał, on wiedział, że dla mnie największą krzywdą, największem cierpieniem byłoby, gdyby odszedł, gdyby nie pozwolił się kochać, gdyby nie chciał mej miłości brać, gdyby, jednym słowem, odebrał jej sens istnienia.

— A tak, cóż właściwie pani mu da?

— Będę do niego pisywała, będę mu rozjaśniała pobyt w Orlińcach, gdy przyjedzie tutaj odpoczywać

i w każdej chwili, gdy zażąda, pośpieszę do niego.

— Gdyby jednak chciał od pani więcej, gdyby chciał wszystkiego?

— Nie chce, ale gdyby chciał...

— Czy pani nie pojmuje, że ten człowiek może panią zgubić, zmarnować, strącić panią w taką przepaść, z której niema wyjścia?

— Wszędzie, gdziekolwiek mnie losy z jego powodu wtrąca, będę szczęśliwa, bo go będę kochała. Panu się zdaje, że tylko fakty realne mogą człowiekowi dać szczęście, a przecież uczucie daje stokroć silniejsze, stokroć trwalsze.

— Może, ale ja tego nie mogę sobie wyobrazić. To jest nienormalne, to jest nadludzkie, to jest szalone.

Po głowie Toninki poczęły się snuć jakieś reminiscencye z Nietzschego, którego Paweł uwielbiał, przytaczając wybrane z dzieł jego zdania, i mimowolnie wyrzekła, jak do samej siebie:

— Dusza najmędrsza, której szaleństwo najstrodziej doradza.

Karol zaśmiał się ironicznie.

— Filozofia, poezya, majaki, ułuda.

— A jednak to jest właśnie najcudniejsze szczęście.

— Co ten człowiek z pani uczynił, panno Toninko? A była pani taką rozumną, zacną, pożyteczną jednostką.

Roześmiała się.

— A teraz jestem szalona, tak, prawda? I szczęśliwa, ach, jaka szczęśliwa! I to przez niego, dzięki

jego naukom, które były dla mnie, jak objawienie, jak promień słońca dla mojej uśpionej duszy.

— Pani dusza była rozbudzona, a teraz właśnie śpi, snem hypnotycznym, snem niezdrowym.

— Pan się myli, pan tego nie rozumie. Przedtem żyłam życiem ludzi przeciętnych, takim szarem, małym życiem, byłam może zadowolona, spokojna, ale nie byłam szczęśliwa, o nie, nawet nie miałam pojęcia o tem, co to właściwie jest szczęście, nie domyślałam się, że można tak silnie i rozkosznie czuć, że można wpadać w takie uniesienie, w którym świat cały inaczej się widzi, że można szaleć z radości, zapamiętywać się w zachwycie. Nie wiedziałam, że jest moc, która może wyczarować duszę ludzką z ciała i jeszcze za życia wieść ją w nieskończoność, poza kres rzeczywistości. Kiedyś czytałam, że haszysz daje takie niebiańskie wrażenia, a dziś wiem, że miłość wielka również dać je może, tylko, że przytem nie wyczerpuje ciała, lecz je wzmacnia, nie przygnębia duszy, lecz ją podnosi. Jest to jakby dar łaski nadprzyrodzonej, tchnienie Ducha świętego, o którym mówi religia.

Twarz Toninki tchnęła w tej chwili takim niezemskim wyrazem, takim nadludzkim szczęściem, że Karol patrzył na nią z zachwytem i lękiem i narreszcie pojął, że jego sprawa jest już zupełnie przegrana, że ta dziewczyna nie tylko nie kocha go, lecz że odeszła w dziedziny życia, do których tacy, jak on, nie mają dostępu. Pochylił głowę, rozłożył ręce i rzekł:

— Ha, trudno, drogi nasze się rozchodzą, ja nie mogę za panią podążyć, ja mam zwyczajne ludzkie nogi, a pani ma skrzydła: istotnie, trudno byłoby nam iść przez życie razem.

— Pan nie ma do mnie żalu?

— Nie, inaczej być nie mogło, ja się na pani nie poznałem, pani nie dla mnie.

— I nie myśli pan, że mi się dzieje krzywda?

— I to także nie, pani jest szczęśliwa; nie mogę wprawdzie tego szczęścia zrozumieć, ale go zazdroszczę.

— Zapomni pan o mnie?

— Nie sądzę, tylko moja miłość dla pani, miłość realna, ziemską przemienia się w jakiś kult religijny, czy może w zachwyty, jak dla dzieła sztuki, a to co innego, z tem można żyć, czuć się szczęśliwym i pokochać inną kobietę.

— Życzę panu tego z całego serca.

— Tylko, że ja nie pokocham tak, jak pani. Ale to już trudno, każdy kocha na miarę swego serca. Pani ma istotnie jakieś serce olbrzymie, poprostu przerosła sercowy. To może nie jest normalne, ani wygodne, a przede wszystkim niepraktyczne, ale to jest piękne i z tem można być szczęśliwym.

— O, tak, strasznie szczęśliwym!

Zmrużyła oczy, jak przed wielkim blaskiem, i uśmiechnęła się promiennie.

---

Karol naglił do wyjazdu, nie chciał zbolałą twarzą rzucać mroku na szczęście Toninki, a czuł, że nie-

długo będzie mógł zdobywać się na pogodny wyraz, gdyż mimo wszystko, co mówił, cierpiał bardzo. Im bardziej Toninka wydawała mu się podniosłą i niedostępną, tem ją silniej kochał. Nie mógł odczuć rodzaju jej miłości, ale go podziwiał i korzył się przed nim. Wydała mu się w czasie tej rozmowy zupełnie inną niż dawniej, jakąś nową, nieznaną, ale jeszcze godniejszą szacunku i miłości, jeszcze bardziej upragnioną. Myśl, że ta dziewczyna mogła być jego, że on mógł osiąść jej niezwykle uczucie, przyprawiała go o zawrót głowy. Trzeźwił się rozumowaniem, że przy nim pozostałaby taką, jak dawniej, że nie rozbudziłaby się, że jemuby takiej miłości nie dała. Dostał w swych rozmyślaniach nawet do usprawiedliwienia Pawła, bo, że to był on, zgadł odrazu; powiedział sobie, że, skoro jego dziełem było przeistoczenie duszy Toninki i rozbudzenie w niej tak wielkiej i cudnej miłości, to jemu się ta miłość słusznie należała, chociaż nie płacił za nią wzajemnością. Tego ostatniego nie mógł Karol zrozumieć. Podobne nieuznanie ludzkiego uczucia, podobne zapatrzenie się we własną duszę i przejęcie własnymi sprawami wydawało mu się czemś tak potwornie egoistycznym, twardym i zimnym, że porywał go gniew przeciwko temu lodowatemu człowiekowi.

Pani Jadwiga spostrzegła, że między narzeczonymi coś zaszło, ale nie nawykła do wdzierania się w cudze tajemnice, czekająca, by je powierzano jej z własnego popędu, nie pytała o nic, tylko czyniła zadość życzeniu Karola i śpieszyła z pakowaniem, tem więcej, że i Wanda chciała jak najprędzej wyje-



chać. Po pierwszych dniach radości z powodu projektowanego wyjazdu spadły na nią znowu dawne udręki, a przedewszystkiem palące wspomnienie doznanej wzdury i lęk przed spotkaniem z Pawłem. Za wszelką cenę pragnęła tego uniknąć, a przecież każdego dnia mogła przyjść od niego depesza z wiadomością, że przyjeżdża z Tadeuszem. Śpiesznie więc układała Wanda swoje rzeczy w kufrze i rwała się do wyjazdu, co tłómaczono sobie jej zwykłym zapałem do rzeczy nowych i pragnieniem rozpoczęcia studyów uniwersyteckich.

Stachowi tylko żal było odjeżdżać z Orliniec. Nigdy nie opuszczał ich na kilka miesięcy, gdyż z poblizkiego Lublina mógł przyjeżdżać co kilka tygodni na niedzielę lub galówkę do domu. Pokochał też serdecznie ciotkę, Romę, a nadewszystko przywiązany był do Toninki, którą uważał za niezwykle dobrą i rozumną istotę. Garnął się więc do wszystkich, patrzył tkliwie w oczy, obchodził wszystkie kąty w domu, w ogrodzie i w podwórzu, żegnał każdego mieszkańca wsi, każdego zawiadamiał:

— Przyjadę dopiero na Boże Narodzenie.

I jego żegnano z żalem; to jasnowłose, słodkie dziecko umiało dziwnie zdobywać serca ludzkie, uśmiechano się na jego widok, dążono za nim tęsknym wzrokiem, gdy odchodził.

Najczulej jednak żegnała go Roma, już w sieni na odjezdnem chwyciła go za ręce konwulsyjnie, wlepiła w niego swoje przenikliwe oczy z wyrazem lęku i rozpacz, potrząsała głową i szeptała bezładnie:

— Nie, nie, po co odjeżdżasz? Nie, nie, szkoda, szkoda!

Nagle zbladła, puściła jego ręce, rzekła głośno:

— Tak trzeba!

I odeszła do siebie.

Wszystkich to jej dziwne zachowanie spłoszyło. Stach nie mógł opanować łez, które mu się z pod powiek wymykały, pani Jadwiga ze ściśniętem sercem tuliła go do siebie, Toninka przygasała, a Mazela nakreśliła z dziesięć krzyżyków na czole najmłodszego ucznia, tylko Karol, zajęty myślą, by się nie zdradzić przed Toninką ze swem cierpieniem, i Wanda, zgorączkowana wyjazdem, nie zwrócili specjalnej uwagi na pożegnanie Romy ze Stachem.

---

We dwa dni później przyszedł list od Pawła. Zastał Tadeusza, wyczerpanego tyfusem, którego się nabawił w wędrownkach po zaułkach i norach miast i wsi, chwilowo był jeszcze zanadto osłabiony, aby można myśleć o przewiezieniu go, wyszukał więc Paweł dla niego wygodny pokój w domu zdrowia, gdzie pod opieką lekarską mógł prędzej wrócić do sił, a za tydzień lub dwa obiecywał przywieźć go na dalszą rekonwalescencyę do Orlińca.

— Chwilowo jest tak apatyczny — pisał — że się przeciwko moim projektom nie buntuje, czy jednak długo posiedzi w Orlińcach, nie wiem, gdyż dawny płomień w nim nie wygasł, tylko się stłumił skutkiem braku sił fizycznych.

Oczekiwano więc w Orlińcach z dnia na dzień depeszy od Pawła, a tymczasem przygotowywano pokój dla Tadeusza, dawny pokój pani Heleny, obszerny, słoneczny, świeżo wymalowany. Krzątała się w nim pani Jadwiga, codzień dorzucając jakiś szczegół, który czynił ten zakątek wygodniejszym i miłszym. Wreszcie pewnego popołudnia przyniesiono jej depeszę:

— Przyjeżdżamy wieczorem. Paweł.

Stała na środku pokoju w smudze słonecznej z papierem w dłoniach i odczytywała radosne wyrazy kilkakrotnie. We drzwiach od ogrodu ukazała się Toninka.

— Przyjeżdżają dziś wieczorem! — uwiadomiła ją czempredzej ciotka.

Toninka szczerwieniła, uśmiech szczęścia opromienił jej twarz, złożyła ręce, jak wobec cudu, i wyszeptwała tylko:

— Dzisiaj.

Pani Jadwiga patrzyła na nią przez chwilę ze zdumieniem i zrozumiała: radość błysnęła jej w oczach.

— Więc to tak, Toninko — rzekła.

Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach.

— Więc to tak — powtórzyła pani Jadwiga — to dlatego Karol... A ja myślałam: braterska przyjaźń, a wy tak. Jakże się cieszę, jak bardzo, bardzo jestem rada.

Otoczyła postać dziewczęcia ramieniem i przygarnęła do siebie.

— Nie mogłabym dla Pawła wymarzyć lepszej żony.

Toninka drgnęła i podniosła ku ciotce twarz poważną.

— Ja nie będę jego żoną, cioteczko.

— Dlaczego?

— Bo on nie powinien się żenić, nie powinien niczem się krępować, żadnych obowiązków brać na siebie.

— Człowiek bez obowiązków żyć nie może, a małżeństwo każdemu przeznaczone, zwłaszcza, gdy kto ma tak uczuciową naturę, jak Paweł. Jemu potrzebna więcej, niż komu innemu kochająca kobieta.

— To też ja go zawsze kochać będę.

— Więc zostań jego żoną, bo i jakże inaczej?

— Nie, nie, ja nie chcę mu być kulą u nogi.

— Przedewszystkiem on sam będzie pragnął, abyś została jego żoną.

— Właśnie on nie. Powiedział wyraźnie, że nie chce krępować się nikim i niczem.

— To chyba cię nie kocha.

— Nie kocha i kochać nie chce, bo, gdyby pokochał, toby mnie czempredzej porzucił, aby zapomnieć, gdyż nie chce uczuć swych rozpraszać, wszystkie przeznacza sztuce i o niej tylko myśleć pragnie. Miłość kobiety może przyjmować jako ukojenie, jako podniecie do tworzenia, ale nie jako uczucie, wymagające odpłaty i wyzbycia się wolności.

— Lubię takie majaczenia. Jeśli mężczyzna młody i zdrowy spotyka na swojej drodze dziewczynę dobrą, rozumną, która go kocha i która mu się podoba, to powinien starać się pokochać ją nawzajem i zaślubić. Taki jest mój pogląd na tę sprawę i sądzę, że każdy

rozumny człowiek go podzieli. Ale wy, nowi ludzie, artyści, przeczuleńcy, wszystko bierzecie na opak i wszystko musicie wykrzywić i zepsuć, nawet tak cudną rzecz, jak miłość.

— Właśnie dlatego, że cudna i że jej zepsuć nie chcemy, musi pozostać tak, jak jest.

— Dziecko drogie, przecież to nie ma sensu. Ty powinnaś wyjść za mąż, mieć dzieci, w tem leży szczęście kobiety.

— Mogę i bez tego Pawła kochać i być bardzo szczęśliwą.

— Trzeba przecież dlaczegoś żyć.

— Będę żyła dla jego miłości.

— Czyli, że chcesz dla niego zmarnować życie, bo człowiek nie jest stworzony do uczuć tylko, ale i do czynów dla wybranego celu.

— Może będę miała sposobność i do czynów. Jeśli zechce, będę do niego pisywała listy, żeby miał wokół siebie ciągle atmosferę miłości, będę mu umielała pobyt w Orlińcach.

— To są drobiazgi, człowiek powinien mieć życie wypełnione pracą, konieczną pracą, której rzucić nie może, która go trzyma na ziemi.

— Pracy chyba nie brak, choćby i tu, w Orlińcach.

— Ale to praca uboczna, która nie może pochłoniąć myśli i uczuć ludzkich. Bo widzisz, wtedy człowiekowi jest dobrze na świecie, jeśli jego praca łączy się z jego miłością, jeśli, jednym słowem, pracuje dla tych, których kocha.

— Zapewne, to może być zasadą, ale życie jest tak skomplikowane, że muszą w niem być wyjątki. Paweł nie jest zwyczajnym człowiekiem, więc do niego wyjątek zastosować trzeba.

— Przypuśćmy, że masz słuszość, chociaż nie jestem tego pewna, ale to rozstrzyga sprawę tylko dla niego, nie zaś dla ciebie.

— Skoro pokochałam nadzwyczajnego człowieka, to i do siebie muszę stosować wyjątek od zasady.

— Wszystko można wyrozumować, ale serce idzie swoją drogą i dopomina się o swoje prawa.

— Moje serce zadowolone z tej drogi, po której dąży, tyle w niem szczęścia.

— Dziś może, ale później, o później, napewno źle ci będzie, Toninko.

— Kto może wiedzieć, co mu przyszłość przyniesie?

— To nikogo jednak nie upoważnia do psucia swego losu dobrowolnie.

— Ja nie psuję, cioteczko, nie, taka jestem szczęśliwa i z tego, że go pokochałam, i z tego, że on mojej miłości nie odepchnął, że chce z niej brać to, co mu radość dać może.

Pani Jadwiga nagle pobladła, odsunęła siostrzenicę od siebie i popatrzyła na nią z niepokojem.

— Słuchaj, Toninko, czyżbyście wy chcieli?... Nie, na to nie pozwolę nigdy, to byłoby dla ciebie zbyt wielką krzywdą, a ja krzywdzić sierot nikomu nie pozwolę, zwłaszcza swemu synowi.

Toninka zaczerwieniła się, mówiła o tej sprawie tak swobodnie z Pawłem, a dotknięcie jej przez

ciotkę zabolalo i zawstydzilo ją bardzo. Zaprzeczyła więc żywo :

— Nie, nie, niech cioteczka będzie spokojna, on tego nie chce; on chce tylko mego uczucia i właśnie pragnie, aby pozostało górne, uduchowione.

— Czyż ten chłopak nie rozumie, że w ten sposób skazuje ciebie na życie kalekie? Każdy człowiek normalny powinien żyć całą pełnią swych zasobów tak moralnych, jak i fizycznych, inaczej marnuje się, popełnia grzech przeciwko samemu sobie, jak te napół obłąkane zakonnice, więdnące za kratą klasztorną.

— Jednakże setki ludzi żyją zaledwie częścią swych zasobów.

— Tak, ale to z winy niepomysłnych warunków i wówczas mogą się uważać za nieszczęśliwych, mogą mieć pretensję do losu. Żeby jednak ktoś dobrowolnie na to się skazywał i jeszcze nazywał takie życie szczęściem, wybaczyć, ale to już jest szaleństwem.

— Drugi raz już to słyszę: drugi raz odpowiem słowami Nietzschego: „Dusza najmędrsza, której szaleństwo najśłodziej doradza“.

— Co ty z Nietzschem? waryat był i dlatego waryackie zasady głosił, a waryatów powinno się ubezłasnowalniać i za nich życie im układać, gdy je zepsuć chcą.

Toninka złożyła ręce.

— Cioteczko, na miłość Boską, niech tylko cioteczka Pawłowi nic nie mówi, niech na niego nacisku nie wywiera, bo to mogłoby zepsuć moje szczęście.

Tyle było strachu i błagania w jej głosie i twarzy, że pani Jadwiga z wahaniem na nią popatrzyła.

— Ha! — rzekła wreszcie — czyńcie, jak chcecie, jesteście pełnoletni i powinniście lepiej wiedzieć, co dla was jest szczęściem. Tylko o jednym pamiętaj, Toninko, że na tamto stanowczo nie pozwalam, bo to byłoby krzywdą nienaprawioną, i zaklinam cię na wszystkie świętości, na pamięć twojej matki, abyś do tego nie dopuściła.

Toninka schyliła głowę.

— No, Toninko?

— On nie chce, ciociu — odparła wymijająco.

Weszła Mazela i zasypała panią Jadwigę tysiącem drobnych pytań na temat Tadeusza, o którego przyjeździe już się dowiedziała. Czy zawsze taki piękny, jak był dzieckiem? Czy zawsze taki poważny, łagodny i milczący? Czy będzie leżał w łóżku? Czy długo zabawi? Potem kręciła się po pokoju z żywością, możliwą w tym wieku tylko u Francuzek, poprawiała małemi rękoma, utrzymywanemi, jak pieści-dełka, porozstawiane w pokoju meble, drobiazgi, bukiety. Ułożyła wdzięcznie fałdy firanek, nabiła poduszki, obciągnęła prześcieradło. Nappełniła cały pokój szelestem jedwabnej halki, wonią delikatnych perfum, pyłem pudru, którym obficie zsypywała przywiedłą cerę. Istne wcielenie kobiecej ruchliwości, drobiazgowości i wdzięku, którego nawet lata zniszczyć nie mogły.

---

Znowu była jesień, turkotała młockarnia, żółtkłe liście płynęły z drzew, na jarzębinie za ogrodem gwa-



rzyły stada gilów, od czasu do czasu z błękitu spadał klangor odlatujących żórawi, cicho było w Orlińcach i spokojnie.

Znowu na wyźwirowanym placyku wśród kwietnika, w największym słońcu, stał długi fotel na kółkach, tylko, że w nim teraz leżał człowiek młody, życiu jeszcze przynależny, o życiu marzący, chwilowo jeno niemocą z jego szranków usunięty. Leżał wychudzony, blady, z twarzą słodką, uduchowioną i smutną, niby jakiś rabi z palestyńskiej ziemi, ludowi naukę miłości i wyrzeczenia się własnej istoty głoszący. Leżał i dumał, nie mówił z własnej chęci nic, odpowiadał tylko krótko i zawsze jednakowo na pytania otaczających.

— Boli cię co?

— Nie.

— Dobrze ci?

— Za dobrze.

— Może sobie czego życzysz?

— Dziękuję, niczego.

— Cóż ci właściwie jest?

— Sił nie mam.

Siedzieli przy nim: matka, Roma, Toninka, Paweł, często zaglądała Mazela, gawędzili, przymuszali się do swobody i wesołości, on nie brał udziału ani w ich rozmowie, ani w śmiechu. Zdawał się tylko ciałem być między nimi, a duchem błędzić gdzieś daleko. Spoglądali na niego, jak na kogoś bardzo kochanego, lecz bardzo dalekiego, wydawał im się lepszy i wyższy od nich, mimo że nigdy nie mówił o sobie, nigdy nic dla siebie nie żądał. Jemu zawsze

było za dobrze i jeśli się smucił, to nad losem tych, którym było źle. Najmniejsza krzywda, najmniejszy ból duszy cierpieniem spadał na jego sprawiedliwe serce.

Kiedyś usłyszał w głębi ogrodu płacz dziecka; siedzieli przy nim Paweł i Toninka, zajęci rozmową, chwilę nadśluchiwał, czoło mu się zmarszczyło, oczy stały się blizkie i świadome, spojrział kilkakrotnie na Toninkę, jakby chciał zwrócić jej uwagę, że tam, gdzieś w ogrodzie, małej, bezbronnej istocie krzywda się dzieje, wreszcie rzekł nieśmiało:

— Przepraszam cię bardzo, Toninko, czybyś nie chciała zobaczyć, dlaczego to dziecko płacze?

Toninka pobiegła natychmiast, przed domem ogrodnika znalazła trzyletniego malca, którego matka zostawiła samego, idąc w pole. Dziecko na widok znajomej panienki uspokoiło się natychmiast. Toninka poprowadziła je do Tadeusza. Coś jakby cień uśmiechu zadrgało na jego twarzy, gdy ujrzał przed sobą małą, umorusaną istotkę, z oczyma jeszcze łez pełnemi, wyciągnął rękę i gładzić począł konopiastą główkę z wyrazem niewymownej słodyczy. Dziecko roztworzyło szeroko buzię i spoglądało w milczeniu na obcego pana, wreszcie ukucnęło na piasku, przytuliło głowę do nóg chorego, owiniętych szalem, i po chwili zasnęło ufne, jak przy boku matki.

— Jaki on dobry! — myślała Toninka.

Każdy doznawał tego wrażenia na widok Tadeusza.

— Ten chory pan to istny jamioł — mówiono w kuchni; a przecież leżał beczynny i milczący, są-

dzili więc tylko na podstawie wrażenia, które w nich wywoływała twarz chorego, a może emanowała z niego ta dobroć, pociągająca serca ludzkie.

Innym znów razem na kwietniku zbierano nasiona, czynił to ogrodnik Franciszek, przy pomocy starej baby, Puchałki, komornicy. Tadeusz przyglądał się jej uważnie, wreszcie, gdy podeszła do rabaty tuż przy jego fotelu, zapytał:

— Co wam w nogi?

Zwróciła ku niemu uśmiechniętą twarz, poprawiła chustkę na głowie i odparła z rezygnacją:

— Wiadomo, spuchnięte.

— Ale z czego?

— Ba tociem nie młódka, na starych to tam różne choróbska się walą.

— Na chorobę można znaleźć radę.

— W starości to już ta nic nie pomoże.

— Trzeba iść do doktora, używać lekarstwa.

— E, paniczu złocisty, tyle ta kramu z takim starem babskiem.

— Właśnie, młodemu chorobę łatwiej znieść, bo silniejszy, a staremu ciężej, i tak słaby; skoro przytem pracować musi, to już mu całkiem źle.

— Pewnikiem, że źle, ale cóż, człowiek bidny w betach się wylegiwać nie może, jeno chorować do ostatka, boby na zebry musiał iść albo z głodu zamrzeć.

— Tak, niesprawiedliwości i niedoli dużo na świecie, aleć nie trzeba się jej poddawać, trzeba sobie ze wszystkich sił los poprawiać. Ot, i wy chorzy je-

steście, trzeba się więc leczyć. Pracujecie dla pani, niechże wam pani da na doktora i na lekarstwo.

— Pewnie, że da, bo miłosierna pani, tylko jej nie chce takom słabością turbować.

— Tu miłosierdzie nie ma nic do rzeczy, wam się doktor i lekarstwo od pani należy, i śmiało tego powinniście żądać, o pani turbacyę się nie kłopotując.

Baba się stropiła.

— Gdzieby to ja śmiała bardzo się dziedzicze stawiać!

— Jak komu krzywda, to powinien śmieć, a nie głowę spuszczać i cierpieć, bo tem sobie doli nie poprawi. Idźcież zaraz po robocie do pani i powiedzcie o swojej chorobie, już ja panią zawczasu uprzedzę.

Schyliła się do jego ręki, usunął ją szybko.

— Niechże panic nie gardzi — dopominała się.

— Co znowu, tylko to ja was raczej powinienem w rękę pocałować, bom mężczyzna i młody, a wy kobieta i stara.

— Gdzie zaś kto widział, żeby pany baby wiejskie po rękach całowały — obruszyła się, a wieczorem opowiadała po całej wsi, że chory panicz istny święty, jeno troszeczkę musi głupi.

Tadeusz tego dnia pierwszy raz, nie pytany, odezwał się do matki. Mówił nieśmiało, bo chociaż innym radził, aby się ostro dopominali swoich praw, sam nie umiał stanowczo żądać niczego ani dla siebie, ani dla innych, cierpiał nad tem, wyrzucał sobie brak odwagi cywilnej, nie mógł jednak przełamać

nieśmiałości, która wynikała z jego nadmiernej dobroci, wywołana obawą dotknięcia kogoś, choćby ten ktoś krzywdził innych.

— Mamo, prosił tego dnia — całując ręce matki — trzeba zwracać uwagę na zdrowie pracowników, bo oni zbyt są nieśmiali i zamało kulturalni, aby umieli dbać o siebie. Widziałem w ogrodzie starą kobietę, pracowała cały dzień, przykucnięta na ziemi, a ma nogi popuchnięte tak, że ledwie chodzi, i każde zgięcie ich sprawia jej ból; należy ją posłać do doktora i leczyć, a następnie dawać zajęcie takie, przy którym nie potrzebowałaby zginać nóg i klęczeć na wilgotnej ziemi.

Pani Jadwiga zafrasowała się tą uwagą, dbała o służbę, zajmowała się chorymi we wsi, sądziła, że spełnia wszystkie swe obowiązki względem pracowników, spostrzeżenie więc syna uczyniło jej przykrość, gdyż było dowodem, że on niedawno, bawiący w Orlińcach, przykuty słabością do fotelu, lepiej widzi niedolę mieszkańców wsi i silniej ją odczuwa, niż ona, obcując z nimi ciągle i od dzieciństwa do nich przywiązana. Zapewniła syna, że uczyni zadość jego żądaniu, ale czuła się dotkniętą w swym honorze dobrej pani.

---

Paweł i Toninka znów przeżywali piękne dni. Brutalne uniesienie, wywołane przez Wandę, zatarało się w duszy Pawła zupełnie, cisza jesieni, dobroć Tadeusza, spokój dworu orlinieckiego, wszystko to od-

działało na niego kojąco, nastrajało myśli jego i uczucia na ton wysoki i czysty. Chodził za Toninką po Orlińcach, jak za swym dobrym duchem, jak za istotą nieziemską, którą można czcić, ale nigdy nie pragnąć. Nawet noce, spędzane na balkonie, pozostawiały go spokojnym. Dobrze mu było w tej kryształowej atmosferze, i nie kwapił się do wyjazdu. Dopiero list Stacha przypomniał mu, że studia wiedeńskie czekają. Stęskniony chłopczyzna skarżył się, że mu bez Orlinec i bez wszystkich swoich pusto, prosił o częste wiadomości i „żeby kto mógł do Krakowa zajrzeć. Może Paweł w drodze do Wiednia, takby było miło zobaczyć kogoś z Orlinec“.

— Prawda, że to jechać trzeba — rzekł wówczas Paweł.

— Wstąpisz do nich? — zapytała matka prosząco.

Liczba mnoga przypomniała mu Wandę, zaważał się:

— Nie wiem, zawsze to z drogi.

— Wstąp, wstąp — nalegała Toninka — zrób to dla Stacha.

Lubił tego chłopca i przytem jemu zawdzięczał wyjazd Wandy z Orlinec, należała mu się nagroda. Zresztą w mieście łatwo uniknąć z nią spotkania w cztery oczy, może uda się nawet wcale jej nie widzieć. Zwrócił się do Toninki uprzejmie:

— Owszem, chętnie, skoro mu to uczyni przyjemność.

Pani Jadwiga uśmiechnęła się znacząco na tę skwapliwość w wypełnieniu prośby Toninki, nie była

o swe dzieci zazdrosna, a mimo zapewnień dziewczyny, pieściła się nadzieją, że prędzej czy później Paweł pokocha ją dość silnie, by się dla niej wyzbyć swych uprzedzeń do małżeństwa.

Począł się więc znów Paweł przygotowywać do wyjazdu; ciężko mu było porzucać pokochane Orlińce, ciężko rozstawać się z Toninką. Miał wyjechać rannym pociągiem. Wieczorem, gdy się znaleźli po raz ostatni na swoim balkonie, zaproponował jej, by tę noc spędzili na nim bezsennie.

— Niewiadomo, kiedy się znowu zobaczymy i w jakich warunkach, wyzyskajmy więc ostatnie chwile, jakie nam pozostają.

Była zachwycona tym pomysłem, toż i tak spaćby nie mogła.

Usadowili się, jak zwykle, ona wtulona w fotel, on rozciągnięty na ławce, ale rozmowa im się nie kleiła, smutek rozstania przygnębiał myśli.

Jak im będzie zdala od siebie? Czy rozłąka ciał nie stworzy rozłąki dusz? Czy będą umieli snuć dalej w listach tę niteczkę serdecznego porozumienia, która się między nimi nawiązała? Kiedy się spotkają? Czy znajdą się wówczas tak blizkimi sobie, jak są dzisiaj? Czy życie nie roztworzy przepaści lub nie narzuci głazów między nimi? Czy przeznaczone im przeżyć jeszcze kiedy taki cudny szmat czasu, jak ten, który pozostawał za nimi? Czy też to może jedyne święto podniosłe i czyste, jakiego im los udzielił?

Snuły się te pytania po głowach obojga, głównie zaś jego, bo Toninka, bardziej uczuciem uniesiona,

łatwiej też w promienną przyszłość wierzyła. Rzuciła od czasu do czasu słowa wątpliwości i niepokoju, a ona przeciwstawiała im jasne plany, cudne nadzieje.

Powoli, powoli swą potężną szczęściem duszą umiała wyczarować nastrój radosny i ufny. Przestał się Paweł mroczyć, począł żartować, pieścić się i przekomarzać z dziecięcą pustotą. I tak im zleciała ta ostatnia noc aż do świtu.

— Patrz, dnieje! — wykrzyknął, wskazując spłoniony wschód. Wiesz co, chodźmy do ogrodu pożegnać lipy, które czuwały przy nas, niby stróże wierne, w ciągu naszych cudnych nocy, pożegnać róże pod balkonem, pożegnać łąkę, na którą tylekroć biegły nasze rozjaśnione szczęściem oczy.

Poszli, trzymając się za ręce, jak dzieci, w mroku jesiennego poranka wstępowali pod konary lip, kładli ręce na splekanej korze odwiecznych pni.

— Do widzenia, do widzenia — mówił Paweł, napoły żartobliwy, na poły wzruszony — wspominajcie mile, czekajcie powrotu.

Podchodzili do każdego krzewu róży z kolei, pochylali się nad pełnymi zapachu kwiatami, wokół których szklity się, niby łzy, kropelki rosy, osiadłe na namotanych pasmach babiego lata.

— Patrz, róże płaczą za mną — powiedział, dotykając palcami mokrych gałązek.

Toninkę ogarnęło przemocne roztkliwienie, na rzęsach zwisły jej łzy i opadły pomiędzy róże.

— I ty płaczesz, i ty?

Wzniósła ku niemu zwilżone oczy.



— O Pawle, jak mi smutno, jeszcze nigdy nie doznawałam tak wielkiego ściśnięcia serca, ale w tem niema nic goryczy, i to jest także szczęście.

— Czy będziesz mnie dobrze wspominała, czy nie będziesz miała do mnie urazy?

Uśmiechnęła się z uniesieniem i złożyła ręce, jak do modlitwy.

— Ty nie masz pojęcia, Pawle, jak ja ci jestem wdzięczna za to, żeś się urodził, że żyjesz, że ja cię znam i że cię tak strasznie kocham.

— I ja ci jestem wdzięczny, Toninko, że przez ciebie mogę wierzyć w dobroć, czystość i siłę serca ludzkiego.

Poszli ku łące. Leżała, spowita w mgły. Zatrzymali się na jej skraju, trzymając się za ręce.

— I tu morze łez — szepnął, ogarniając szerokim ruchem ręki białe tumany.

Nagle z za widnokregu strzeliły pierwsze promienie słońca i przeświectliły różano skłębione opary.

— Patrz, jutrznia w łzach, nadzieja słonecznego dnia — zawołała.

— Słońce mnie żegna, ze słonecznem wspomnieniem pójdę w świat.

Dzwonek na podwórzu wołał do przebudzenia i pracy, to im przypomniało, że wracać trzeba, poszli ku domowi różani i mocni.

---

Snuły się dni w Orlińcach równe, jak paciorki różańca, praca się kończyła, wszystko układało się do

zimowego snu, a na szerokim świecie huczało coraz bardziej, zdawało się, piorun padnie i zgruchocze gmach zmurszały, lub słońce rozedrze chmury i nowy dzień zabłyśnie.

Tadeusz gorączkowo chwycił gazety, przebiegał je oczyma od brzegu do brzegu i odkładał ze zniechęceniem. Lecz pewnego dnia rumieńce zapału wypłynęły mu na twarz, a w oczach zapłonęła nadzieja. Przywieziono z Lublina wiadomość o strajku kolejowym, a w kilka dni później na szpaltach miejscowej gazety ukazał się najwyższy manifest. Tadeusz począł mówić: i jemu ten słaby promyk, wlał w serce trochę nadziei.

— Byle tylko ująć teraz sprawę w energiczne ręce, byle wyzyskać sytuację. Stosunki są niezdecydowane, należy je pchnąć na właściwą drogę.

Co dnia teraz miejscowa gazeta przynosiła doniosłe wieści z Warszawy i z Cesarstwa. Plotka podwajała je i przekręcała potwornie, rozgorączkowując umysły. W Orlińcach doszło do takiego naprężenia, że pani Jadwiga jeździła sama do Lublina po wiadomości, gdy wracała, wybiegali na jej spotkanie wszyscy, pierwszy zjawiał się Tadeusz, który w oczekiwaniu spędzał godziny przy oknie w jadalnym i o kiju włókł się do sieni, gnany niecierpliwością, ludzący się, że może i dla jego ukochanych, szarych, pokrzywdzonych tłumów zabłyśnie dzień zmartwychwstania.

— Być zdrowym, módz tam jechać — powtarzał z upragnieniem, słuchając opowiadań matki.

Zapomnieli o Pawle, o Wandzie i Stachu, nie spostrzegli nawet, że bezczynność pociągów pozbawia ich listów od nieobecnych. Żyli echem rzeczy wielkich, ogólnych, zapominali o sprawach drobnych, własnych. Toninka pierwszy raz od poznania Pawła budziła się z myślą nie o nim, lecz o tem, jakie dzień dzisiejszy przyniesie wieści ze świata. Roma sięgała po gazety, czego dotychczas nie czyniła nigdy. Gorące tchnienie owionęło wszystkich i porwało ich myśli na szerokie gościńce ludzkości.

Już trzeci tydzień żyli przejęci sprawami ogólnemi, gdy pewnej nocy pani Jadwiga obudziła się nagle, jakby pod wrażeniem silnego wstrząśnienia, zdawało jej się, że jakieś ręce szarpnęły ją i posadziły na łóżku, czoło miała zroszone potem, serce rozdygotane, przycisnęła je dłońmi i nasłuchiwała. Wtem rozpaczliwy jęk Romy zmroził ją strachem, w jednej chwili była u drzwi córki, za nią biegł ze świecą Tadeusz, który spał w pokoju obok. Roma siedziała na łóżku z trupio-bładą twarzą, wykrzywioną konwulsyjnym skurczem przerażenia, oczy miała utkwione w jeden punkt z wyrazem nieludzkiej rozpacz, ręce wyciągnięte przed siebie ruchem chwytającym.

Pani Jadwiga ujęła ją za te wyprężone ręce, przygarnęła całą jej postać ku sobie, przytuliła silnie, jakby chciała ochronić przed nieznaną siłą, dręczącą nieszczęsną dziewczynę.

Roma ukryła twarz na piersiach matki i trzęsa się febrycznie, a po chwili opadła na poduszki wyczerpana, bezwładna.

W tej chwili na progu stanęła Toninka ze świecą w dłoni, okryta tylko szalem, z oczyma pełnemi łez i twarzą wzburzoną.

— Ciociu, co się stało? — zawołała z lękiem.

— Nie wiem, coś Romci, jakieś nerwowe wstrząśnienie, jakiś przestrah.

— Nie, nie, to w całym domu, huk słyszałam, obudziłam się, jakby mnie kto szarpnął.

— Ja to samo — dorzucił Tadeusz.

Pani Jadwiga drgnęła.

Roma otworzyła oczy, źrenice miała wysoko podbiegnięte.

— Skończył — rzekła bezdźwięcznie.

— Co ty mówisz? — zapytała pani Jadwiga, pochylając się nad nią.

Milczała, a z oczu pociekły jej łzy.

— Przynieść krople laurowe — zwróciła się pani Jadwiga do Toninki.

Dziewczyna spojrzała prosząco na Tadeusza, zrozumiał i poszedł za nią, bała się być samą. Zaraz za progiem zaczęła:

— Obudziłam się, jakby szarpnięta, i nim się zorientowałam, co się dzieje, usłyszałam huk, bez namysłu zapaliłam świecę i zbiegłam, tak się trzęsłam, że ledwie nie spadłam ze schodów.

— Mnie również obudziło wstrząśnienie, zapaliłem świecę, i właśnie w tej chwili Roma krzyknęła.

— Boże! Boże! co to jest! — szeptała Toninka, drżącemi rękoma przestawiając flaszeczki w aptece.

— Moznaby przypuszczać, że ktoś strzelił koło domu, i to nas obudziło, ale zachowanie Romy prze-

czy temu, była wyraźnie przerażona czemś niezwykłym, a ona nigdy się nie myli w przeczuciach.

Wrócili z lekarstwem do pokoju Romy, która ciągle płakała. Po kroplach uspokoiła się trochę, ale zasnąć nie mogła, matka pozostała przy niej, młodzi wyszli do drugiego pokoju.

— Za nic w świecie nie poszłabym teraz do siebie — rzekła Toninka.

— Posiedź u mnie, ja też spać nie będę, zanadto mnie to zajście wzruszyło.

— Dobrze, ale idź do łóżka, bo się znowu rozchorujesz.

Posłuchał jej rozkazu, gdyż drżał tak, że nie mógł stać bez oparcia. Ona otuliła się szalem, przykucnęła na kanapie, i tak przepędzili resztę nocy.

Nazajutrz byli wszyscy spłoszeni i milczący, Roma pozostała w łóżku, a Tadeusz nie ruszał się z fotelu. Siedzieli przy obiedzie, gdy naraz Toninka rzekła wolno, wyciągając głowę w stronę okna:

— Idzie posłaniec z telegramem.

Zbladła bardzo, ale spokojnie wstała i poszła ku drzwiom, pani Jadwiga podążyła za nią. W kuchni spotkały posłańca. Telegram był z Krakowa:

*Stach chory przyjechać natychmiast*

*Karol.*

— Niech Walenty zaprzęga! — zwróciła się pani Jadwiga do pokojówki — jadę natychmiast.

— A ja, ciociu? — zapytała Toninka.

— Jedna z nas musi zostać przy Romie i Tadeuszu. Lepiej zaś, abym ja jechała, droga końmi jest

trudna i niepewna. Niewiadomo też, co na miejscu wypadnie.

— Ale ciocia natychmiast zatelegrafuje.

— Naturalnie.

Po wyjeździe pani Jadwigi ponura cisza zapanaowała we dworze. Roma wstała nazajutrz, ale była apatyczna, całymi dniami siedziała przy oknie i wpatrywała się w ogród, odarty z liści i zieleni, szary, pusty. Tadeusz dostał gorączki i leżał w łóżku. Toninka snuła się koło gospodarstwa, obsługiwała chorego, a co chwila podchodziła do okien, wypatrując, czy nie zamajaczeje na drodze postać posłańca z telegramem. Trzeba było czekać dni kilka na wiadomość od pani Jadwigi, a tymczasem przywieziono z Lublina nowinę, że pociągi ruszyły, wkrótce zaś potem wybuchnął strajk pocztowo-telegraficzny. Toninka już nie wyglądała przez okno, za to w pewnych godzinach dnia nadśluchiwała turkotu. Tadeusz zwlókł się po tygodniu z łóżka i siedział w gabinecie przy kominku, na którym trzaskał ogień z polan sosnowych, rozpraszający mrok i chłód późnej jesieni. Płynęły dni za dniami, i z Krakowa nie było żadnej wieści, Toninka coraz silniej zaciskała usta i coraz bliżej zsuwała brwi, Mazela kładła bezustannie kabałę, za każdym razem z westchnieniem zgarniając roje czarnych kart. Nareszcie pewnego wieczora, gdy siedzieli we czworo w gabinecie, powietrzem targnął dźwięk trąbki pocztowej.

— Jada! — krzyknęła Toninka, chwyciła lampę i wypadła do sieni, rozdygotanemi rękoma odsuwała odporne zasuwę, odkręcała klucze, wyszarpywała łań-

cuchy, nareszcie pchnęła ciężkie drzwi i wyszła na ganek. Uderzył w nią wicher i deszcz. Od bramy, z ciemności, przy klapaniu kopyt końskich po błocie, nadjeżdżał zwolna powóz pocztowy. Zatrzymał się przed gankiem, ręka w czarnej rękawiczce odpięła fartuch i z pod budy wysunęła się głowa pani Jadwigi, osłonięta krepowym welonem. Ręce Toninki opadły, serce zamarło, w głowie zerwał się huragan myśli bezładnych. Pani Jadwiga wysiadła z powozu i zwróciła się do niego, pomagając wsiąść drugiej osobie. W smudze światła ukazała się postać Wandy, również osłonięta krepeą. Pani Jadwiga otoczyła siostrzenicę ramieniem i wprowadziła ją na ganek. Toninka bezwiednie cofnęła się do sieni. Weszły za nią. Mazela na ich widok załamała ręce i krzyknęła:

— Il est mort!

Wówczas Wanda szarpnęła się w tył, jak przed ciosem.

— Taisez vous! — szepnęła pani Jadwiga i machnęła niecierpliwie ręką w stronę Francuzki.

— Do łóżka, zaraz do łóżka — mówiła, prowadząc Wandę przez sień. Toninka ujęła siostrę z drugiej strony i powiodły ją w głąb mieszkania do pokoju pani Jadwigi, tu opuściły staniającą się dziewczynę na kanapkę, i pani Jadwiga poczęła ją rozbiierać, a Toninka słała łóżko ciotki. Po chwili ułożono Wandę i otulono kołdrami, gdyż drżała febrycznie.

— Zaraz ci przyślę herbaty — rzekła pani Jadwiga, poczem zwróciła się do pokojówki: Niech Marcelka posiedzi przy panience i nie odchodzi ani

na chwilę, jakby panienka czego chciała, to proszę zadzwonić.

Skierowała się ku drzwiom, a za nią Toninka. W gabinecie czekali: Mazela, Roma i Tadeusz. Pani Jadwiga zamknęła drzwi, zawiśli na jej ustach oczyma pełnemi trwogi i pytania.

— Odebrał sobie życie! — rzekła sucho.

Milczeli.

Brwi jej drgnęły wysiłkiem woli:

— Wanda jest w odmiennym stanie.

Toninka wzniosła dłonie do skroni, Mazela zalała rękę.

Na twarz pani Jadwigi wybił się wyraz okropnej męki, musiała mówić, nie mogła, pasowała się z sobą, wreszcie wyrzuciła ostatnie:

— Przez Pawła!

Tadeusz schylił głowę nisko, Tonince opadły ręce, oczy rozszerzyły się, usta rozwarły, jak do krzyku.

— Toninko, na miły Bóg! — zawołała pani Jadwiga, podbiegła do dziewczyny, targnęła ją za ramiona.

Toninka zamknęła oczy, jęknęła, jak rozbity dzwon, i obsunęła się na ziemię.

— — — — —  
Wszystko stało się tak zwyczajnie. Paweł, przejeżdżając przez Kraków, nie zastał w domu Stacha, za to nadeszła Wanda z prośbą do brata o pomoc w jakimś wypracowaniu. Widok kuzyna oddziaływał na nią wstrząsająco, czerwieniła się i bladła, zarzucała



szę go chaotycznymi pytaniami o Orlińce, o rodzinę, drżała, jak w febrze, wreszcie podeszła do niego i oplotła mu szyję rękoma. W pokoiku było gorąco i duszno, Paweł miał nerwy, rozstrojone wyjazdem z Orliniec, podróżą, czekaniem na Stacha, nie cofnął ust, nie odepchnął Wandy.

Po chwili nadszedł Stach, powitał Pawła radośnie, Wanda siedziała milcząca.

W kilka tygodni później Stach zastał Wandę w łóżku, była blada, zapłakana, powiedziała mu wszystko. Nie czynił jej żadnych uwag, ani wymówek, tylko przypominał sobie słowo po słowie rozmowę z ciotką.

— Ja ręczę cioci, że Wandzie włos z głowy nie spadnie, odpowiadam za to swoim honorem, swoim życiem.

I oto nie dopilnował, zabrakło dla niego miejsca na ziemi. Poszedł do domu, a w nocy zabrzmiał cichy trzask browninga w jego studenckim pokoiku. Nazajutrz gospodyni zawiadomiła o wypadku Karola, wysłał telegram do Orliniec i poszedł do Wandy. Zastał ją jeszcze w łóżku, począł mówić oględnie, zgałda resztę, wpadła w szal, oskarżała się najobelżyszemi słowami, tłukła głową o ścianę, rzuciła się do okna, ledwie ją powstrzymał, wreszcie dostała tężca, z którego długo nie mógł jej ocucić. W nocy chciała się wieszać, lecz koleżanka, mieszkająca przez ścianę, usłyszała szmer i przeszkodziła w porę. Odtąd nie zostawiano jej samej ani na chwilę. Wstała z łóżka, chciała iść do brata, nie puszczono jej, wyrwała się, szarpała zamknięte na klucz drzwi, myślano, że zwa-

ryuje. Potem opadła z sił i umilkła, nie chciała jeść, nie chciała kłaść się do łóżka, siedziała z głową opartą na stole, z oczyma tępemi; taką ją zastała pani Jadwiga i taką przywiozła do Orliniec. Raz tylko w przedpokoju drgnęła wobec słów Mazeli, jak przed oskarżeniem. Po kilku dniach przyszła gorączka, majaczenie, zaburzenia mózgu. Silny organizm zwyciężył chorobę, wrócił apetyt i sen. W dwa tygodnie po przyjeździe wstała z łóżka i przyszła do gabinetu. Owinięta szalem, siadła przed kominkiem w pobliżu Tadeusza i codziennie już tam siadywała, blada, z zaciętymi ustami, ponurym błyskiem w oczach, przygarbiona.

---

Tonince było teraz tak źle na świecie, że ją chwilami orgniało pragnienie pójścia w ślady Stacha.

Krzętała się ciągle koło gospodarstwa, doglądała chorej siostry, starała się ani chwili nie pozostawać bezczynną, bo wówczas zaczynała myśleć. A myśli jej wykrzywiały się, jak potworne oblicza z powieści Wiktora Hugo, były urągliwe, skaczące, plugawe, niby stado rozhulanych opryszków. Nad głęboki smutek po śmierci Stacha, nad tragiczną groźbę wobec stanu Wandy wybijał się krzyk zawiedzionego serca, które tak górnie, tak bezwzględnie kochało i zostało tak brutalnie wrzucone w przepaść rozczarowania.

Toninka nie znała szczegółów wypadku i znać ich nie chciała, wiedziała o nim tylko z trzech zdań, wypowiedzianych pierwszego wieczora przez panią

Jadwigę. Nie zapytała siebie: jak się to stało? dlaczego Paweł tak postąpił? Wiedziała, że z jego winy Stach odebrał sobie życie, a Wanda została zniesławioną. Krzywdy było nad miarę. Wiedziała, że uczynił to zaraz po wyjeździe z Orliniec, jeszcze przeniknięty wrażeniem cudnych godzin pożegnania. To nie mogło jej się pomieścić w głowie, było nadto potworne.

Pani Jadwiga, nie pytana przez Toninkę, nie mówiła więcej o tem co zaszło, nie chciała rozdrażniać rany, nie chciała potępiać bardziej Wandy, a usprawiedliwiać Pawła.

Męczyła się więc Toninka ogólnikową znajomością faktu, bez zanalizowania jego szczegółów, któreby mogły wyświecić stanowisko Pawła. Nie zastanawiała się ani nad wypadkiem, ani nad swemi uczuciami, cierpiała ślepo, starała się nie myśleć i tak spychała dzień po dniu. Dopiero zasłyszana niechcący rozmowa Tadeusza z Wandą kazała jej zajrzeć w głąb swego cierpienia, rozłożyć je na pojedyncze czynniki, przyrzec się każdemu z kolei i przeprowadzić rozumowanie na temat swych uczuć. W pokoju pani Jadwigi stała szafa ze starą bielizną. Pewnego popołudnia Toninka, wykonawszy codzienne zajęcia gospodarskie, zabrała się do układania w szafie, aby nie pozostawać beczynnie. Drzwi do gabinetu były otwarte, przed kominkiem, jak zwykle, siedzieli Tadeusz i Wanda. Dotychczas nie mówili do siebie nic. Tadeusz przyglądał się z pod oka zapatrzonej ponuro w ogień, złamanej nieszczęściem dziewczynie i chłonał swą czułą duszą ogrom jej cierpienia. Wzbierało

w nim pragnienie przemówienia do niej, wiania otuchy w jej upadłe serce, obudzenia w niem chęci do dalszego życia, rozjaśnienia ogarniających je mroków. Zdawało mu się jednak, że każde słowo zapytania będzie dla niej obelgą, każde słowo pociechy niedorzecznem gwarzeniem, nie dorastającym do poziomu jej bólu, milczał więc i męczył się tem milczeniem, bo znów budziła się w nim myśl, że ona może go posądzić o pogardę. Drobnе wydarzenie przyszło mu z pomocą w tem wahaniu. Siedzieli przy ogniu, na który nakładzono grubo rąbanych polan sosnowych, jedno z tych polan zsunęło się na brzeg kominka i zasypało żarzącymi węglami podłogę. Wanda pochyliła się i poczęła je rękoma wrzucać w ogień.

Tadeusz chwycił ją za ramię i zawołał:

— Przestań, poparzysz się!

— Co mi tam! — mruknęła desperacko.

— Powinnaś teraz podwójnie dbać o swe zdrowie — odparł jak mógł najserdeczniej i uśmiechnął się do niej mile.

Żachnęła się gwałtownie.

Dotknęło go niezmiernie uczucie żalu, położył jej rękę na kolanach i rzekł prosząco:

— No nie, czemu? Nie chciałem ci zrobić przykrości. Tylko myślę, że przecież dziecko: to wielkie szczęście, o które należy dbać.

— Nienawidzę go! — wybuchnęła.

Zamilkł, dziwnie miał czułe serce dla dzieci, jak dla wszystkiego, co słabe i niedołążne, lecz wnet żal nad tą nieszczęśliwą kobietą wziął górę, za wszelką

cenę pragnął pogodzić ją z losem, począł więc mówić wolno, z perswazyą:

— Chwilowo jesteś jeszcze pod wrażeniem okropnego wypadku, trudno ci też może zdobyć się na bezstronny sąd o twojej obecnej sytuacji społecznej, i dlatego masz serce przepełnione buntem i goryczą. Skoro jednak pierwszy żal przeminie, skoro pojmiesz, że nie sankcyja kościelna i społeczna, ale uczucie uprawnia stosunek mężczyzny do kobiety...

— Uczucie — przerwała mu gwałtownie — szalę chyba! Ja przecież Pawła nienawidzę. Nienawidzę go tem bardziej, że nie on pierwszy wyciągnął do mnie ramiona, nie on mnie zapragnął, że się tylko nie cofnął, zatem wina jest po mojej stronie. Ja, ja sama muszę dźwigać cały ciężar odpowiedzialności i za śmierć Stacha, i za swoją hańbę. To jest właśnie straszne, że mam złamane życie i że sama jestem temu winną, jemu nie mogę pluć w oczy, chociaż go tak nienawidzę. Raz tu w Orlińcach wzgardził mną, odepchnął, a tam dla chwilowego kaprysu, czy żeby się ode mnie wreszcie uwolnić, nie oparł mi się. Pomyśl, jaka to męka mieć życie złamane, zgubić najdroższego brata przez chwilę szału, dlatego tylko, że tamten był znudzony, czy podrażniony. Bo żeby kochał, żeby pragnął, ale tak z łaski. Boże! Boże! to nie do zniesienia, hańba nie tylko wobec ludzi, ale wobec samej siebie!

Tadeusz patrzył się z niezmierną litością na szarpiącą się ze swą niedolą kobietę, w tej chwili dopiero dowiadywał się, jak jej tragedia była nikczemnie szara, jak nie było w niej ani krzty piękna. I nie wiedział, co jej mówić, za jaką nitkę myśli chwycić,

gdyż wszystkie były splątane, niewyraźne, w jaką strunę uczucia trącić, taki z nich rwał się krzyk rozdźwięczny i ponury.

— Tak — rzekł wreszcie — ale to się już stało, trzeba dalej żyć, a żyć w nienawiści do innych i do samej siebie nie sposób. Nie można tarzać się na dnie przepaści w wieczystym mroku, trzeba wyjść na świat, pod słońce, trzeba wynaleźć w duszy promyk jakiś, dobre uczucie, ukochanie, któreby pozwoliło trwać i dążyć w górę. Powiedz sobie: dosyć rozpaczy, dosyć rozpamiętywania przeżytych chwil, koniec im. Zastanów się nad swą duszą, nad życiem, które ci podjąć trzeba, wypełnij je pracą, dobrą myślą, czystem uczuciem, a usprawiedliwisz się w oczach własnych, odzyskasz szacunek dla siebie, spokój, może jeszcze będziesz szczęśliwą.

— Kiedy w mojej duszy niema nic jasnego i nic dobrego — ciemność i nienawiść. Wiesz, czego ja teraz najgoręcej pragnę?

Podniosła ku niemu twarz, wykrzywioną złowieszczym uśmiechem, z oczyma pełnemi tak zajadłych błysków, że Tadeusz struchlał i zapytał cicho:

— No, czegoż?

— Żeby Pawła spotkało jakieś wielkie nieszczęście, nie śmierć, bo to kres, ale na przykład, na przykład... — szukała w myśli, dysząc ciężko.

— Na przykład, żeby ogłuchł, albo połamał ręce, wówczas byłby stracony w taką otchłań rozpaczy, w jakiej ja jestem. Wówczas możebym go przestała nienawidzieć za to, że, raz mną wzgardziwszy, potem niedbałym odruchem złamał mi życie.

Była w tej chwili tak straszna w uniesieniu niewiści, że Tadeusz zbladł i oczyma zalękłemi patrzył na nią.

— A tak, tak! — powtarzała — oto, czego ja pragnę, o czem marzę dniem i nocą, i ty mi mówisz o wyjściu na słońce, o ukochaniu, o szacunku dla samej siebie!

Siedziała wyprostowana, wpatrzona w ogień, okropna.

— Bo jeszcze pomyśl — zaczęła znowu — to dziecko, o które mi każesz dbać, przecież to klątwa na całe życie, wieczne przypomnienie spełnionej ohydy, przypomnienie doznanej wzgardy i pohańbienia i tej ofiarnej, tej przerastającej swą wzniosłością podłe wydarzenie śmierci Stacha. Pomyśl, ile razy to dziecko na mnie spojrzy, tyle razy szarpnie mną przypomnienie, tyle razy ujrzę Stacha, którego ja, ja zamordowałam swoim szaleństwem, swoją zwierzęcością, ja najpodlejsza, najbardziej pogardy godna istota na świecie.

Opadła twarzą na ręce i trzęsła się w spazmie rozpaczcy i żalu.

Tadeuszowi znów zabiło serce litością, gładził zwichrzoną głowę Wandy i szeptał:

— No, cicho, cicho, nie rozpaczaj, nie giń samochcąc; póki człowiek żyje, póty ma możliwość odkupienia win, otrząśnięcia ze zła, pójścia drogą prostą, tylko trzeba chcieć, szczerze chcieć, mocno chcieć, z całej duszy!

Mówił coraz głośniejszym głosem, unosił się, zamieniał cały w wolę podniesienia z upadku zrotpaczonej dziewczyny,

a ona uspokajała się, cichła czy pod dotknięciem jego dobrych rąk, czy pod wpływem silnych słów, aż ucichła zupełnie i siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, rozmyślającą nad tem, że trzeba żyć i jak się do tego wziąć.

Toninka przez cały czas tej rozmowy klęczała przed otwartą szafą, zasłuchana, oniemiała, przejęta zgrozą. W jednej tylko chwili wyprostowała się, jakby chciała wstać i biedz, a na twarz jej uderzył wyraz trwogi, gdy Wanda złożyła Pawłowi. Wnet jednak opadła, przywalona ogromem cierpienia Wandy, wstrząśnięta do głębi żalem nad jej cierpieniem. To, o czem słyszała, było potworniejsze, brzydsze od wyobrażenia, a właściwie nieuświadomionego poczucia o wypadku, a jednak, gdy w gabinecie zapanowała cisza, Toninka wstała, jakby skrzepiona, i pobiegła do swego pokoju wypłakać pierwsze łzy, w których było trochę słodyczy, nieznanego jej jeszcze pochodzenia.

Tak niezmiernie samolubne jest serce kobiety, która kocha.

Tego wieczora przed zaśnięciem Toninka pozwoliła sobie na nieśmiałe spojrzenie w głąb swych uczuć. W pierwszej chwili cofnęła się strwożona, ale wnet dotykała znowu delikatnych kwiatków, na które spadło tyle śmiecia i gruzu. Nie śmiała jeszcze rozpocząć dzieła oczyszczenia, ale już z zapartym oddechem śledziła, czy kwiaty jeszcze żyją, czy nie bardzo zgniecione, broń Boże! połamane. Zawstydziała się jednak swych poczynań i całą myślą pobiegła w stronę siostry, której trzeba ulżyć ciężaru, dopomódz w otrząśnięciu się z rozpacz. W tej skwapliwości siostrzanej



było nieco wdzięczności za to, że ta nieszczęsna bardziej zawiniła, że krzywda, wyrządzona jej przez Pawła, zmniejszała się znacznie, że dzięki temu można było spoglądać w głąb serca, czy kwiaty żyją, i obiecywać sobie cicho, cichuteńko opylenie ich, oblanie łzami tkliwemi, przywrócenie do życia i rozwoju.

Nazajutrz pierwszy raz oczekiwała Toninka wieści z Lublina, czy nie ruszyły poczty, pierwszy raz przebiegła jej przez głowę myśl, że od czasu, jak się zaczęły ważne wypadki dziejowe, nie było listu od Pawła, choć dawniej pisywał często do matki i do niej. Cudne były te listy, promienne, czasem tęskne, a zawsze takie kochane. Z pewnością pisał i teraz, tylko przerwanie komunikacyi zatrzymało je w drodze.

Może to i dobrze.

Niepodobieństwem było myśleć i mówić o Pawle wśród tych wszystkich bolesnych wydarzeń, których on był jednym ze sprawców.

Tak, lepiej, że znikł na chwilę zupełnie z widowni i ze sfery myśli mieszkańców dworu orlinieckiego.

Lecz teraz...

Nie, nie, jeszcze za wcześnie, jeszcze nie pora.

---

Pani Jadwiga weszła do pokoju Toninki.

— Chciałam z tobą pomówić, Toninko.

Dziewczyna podniosła na ciotkę zdziwione oczy. Głos mówiącej drżał; było to coś tak nadzwyczajnego u tej hartownej kobiety, że Toninka przeczuła odrazu

sprawę bolesną i ważną. Podsunęła ciotce fotel, sama usiadła obok na taburecie.

— Słucham cioci.

Pani Jadwiga ujęła jej rękę tkliwym ruchem i zapytała.

— Przedewszystkiem, czy jesteś już dość spokojna, aby mózdz poruszyć tę okropną historję?

Toninka pobladła, opanowała się jednak natychmiast.

— Tak, ciociu, sądzę, że, gdy mówić o tem koniecznie trzeba, to jestem już na to dość spokojna.

— Mówić trzeba, nie sposób przecież pozostawiać rzeczy tak, jak są.

— Skoro nie można nic zmienić?

— Zmienić tego, co się stało, nie można, można tylko złagodzić fakt nadaniem mu innych pozorów.

— Nie rozumiem cioci.

— Chodzi mi o stan Wandy i o skandal, jaki z tego powodu wstrząsnął opinią.

— Sądzę, że opinia mało nas obchodzi wobec nieszczęścia, jakie na nas spadło.

— Trzeba rzeczy brać realnie: nasze cierpienie złagodnieje z czasem, a opinia opinią pozostanie i za-  
wiśnie klątwą nad dzieckiem.

— Cóż na to można poradzić, rzecz nie jest do odrobienia?

— Ale do załagodzenia...

Zawiesiła głos, nie mogła widocznie rzucić decydującego słowa.

— Ja ciągle cioci nie rozumiem.

— Czyż tak, Toninko? A jednak sprawa jest prosta: gdy dziecko będzie miało prawego ojca, opinia przycichnie i prześladować go nie będzie.

— Ciocia sądzi, że...

Podniosła na panią Jadwigę oczy przerażone, pojmowała: chciano narzucić wolnemu ptakowi nienawistne obowiązki, opętać go nimi, może połamać mu skrzydła.

Pani Jadwiga pochyliła głowę przed spojrzeniem siostrzenicy, zmieszała się.

— Ja wiem, Toninko, że obawiasz się dla niego takiego obrotu rzeczy, że się za niego buntować będziesz. I przytem on przecież twój, ty go kochasz, ty masz większe prawo do niego, niż Wanda, a jednak nie chciałaś krępować jego wolności, chociaż właściwie byłabyś mu podporą i zachętą w pracy, i dlatego strasznie ci się wydawać musi, że on, który obawiał się kobiety kochającej, miałby wziąć wrogą i tak trudną, jak Wanda. Pojmuję to i dlatego, nim rozmówiłam się z Wandą, nim napisałam do niego, przyszedłam pierwaj zapytać ciebie, co myślisz o tem, czy nie stawiasz temu oporu ze względu na swoje prawa?

— O moich prawach mowy tu być nie może; bo one są silniejsze, niż wola ludzka, niż względy światowe, i nikt mi ich nie zabierze. Kocham go więcej, niż ktokolwiek na świecie i zawsze kochać go będę, to moje jedyne prawo. Wolności jego nie chcę, możecie czynić z nią, co się wam podoba, strzeżcie się tylko, by mu życia nie złamać, bo to byłoby dopełnieniem nieszczęścia, które i tak jest dość wielkie.

W głosie jej brzmiała nuta wroga, a w oczach błyszczał płomień groźby, jak w spojrzeniu lwicy, która broni swych małych.

Pani Jadwiga załamała rękę.

— Na miłość Boską, Toninko, mówisz tak, jakbym ja mu chciała życie złamać, a przecież to jest mój syn, moje wielkie ukochanie.

— Tak, ale w cioci umilkł głos miłości macierzyńskiej wobec głosu obowiązków światowych. Ciocia gotowa uwiązać mu u nóg kamień, byle pozorom moralności stało się zadość.

— Zrozum, że mi chodzi o krzywdę Wandy, która przecież jest sierotą, zleconą mojej opiece. Żle wywiązałam się z obowiązku i winnam to choć trochę naprawić, zwłaszcza, że skrzywdził ją jeden z moich.

— Krzywdy krzywdą się nie nagradza, tem więcej, że tu właściwie nic się nie poprawi. Czy przez małżeństwo czyn Wandy będzie uświęcony? Czy zniknie z jej duszy pogarda, jaką ma dla samej siebie?

— Sądzę, że tak, gdyż Paweł z człowieka, który ją miał przelotnie, stanie się towarzyszem życia całego, uprawnionym do stosunku miłosnego. Poczucie obecnego zbliżenia będzie mogła przenieść na tamten fakt i przez to go cokolwiek usprawiedliwić.

— Ależ ciociu, czyż może być mowa o stosunku miłosnym dwojga ludzi, którzy się nienawidzą?

— Skoro jednak był?

— Raz, w uniesieniu szału, to jest wstrętne, to jest poniżające, ale to można wytłómaczyć zamroczeniem chwilowem świadomości. Byłoby jednak rzeczą

wysoce niemoralną, poprostu nie dającą się pomyśleć, zmuszanie tych dwojga ludzi do ciągłego powtarzania tego brzydkiego faktu dlatego tylko, że mieli nie-szczęście raz go popełnić.

— Wy, młodzi, tak jakoś dziwnie te rzeczy bierzecie. Małżeństwo to jest małżeństwo, moja droga, to wspólne wędrowanie przez życie w doli i niedoli, pocieszanie się i wspieranie w chwilach ciężkich, radowanie w chwilach dobrych. Takie pożycie wyrabia solidarność, przywiązanie, uszlachetnia ludzi i ich stosunek.

— Czy ciocia istotnie wyobraża sobie takie pożycie między Pawłem a Wandą, których dzieli krzywda, wstyd, nienawiść?

— To wszystko ustąpi, gdy się połączą.

— Ależ nie, przeciwnie, w ciągłym obcowaniu przypominać się będzie i rozdzielać ich nieustannie.

— Ty nie zdajesz sobie sprawy z potęgi małżeństwa.

— Czyż ciocia wierzy w siłę błogosławiącą sakramentu?

— To nie, ale poczucie łączności, wspólnych obowiązków względem dziecka.

— Którego się nie pragnie, które jest karą za chwilę zapomnienia, a gdyby poczucie łączności, moja ciociu, było istotnie tak silne, nie mielibyśmy wcale złych małżeństw, ani rozwodów.

— Dawniej było ich niewiele, dopiero dziś się rozmnożyły dzięki waszym nowym teoryom, które nie uznają solidarności małżeńskiej, a wierność poczytują za poniżenie.

— Wierność jest bardzo piękna, gdy pochodzi z miłości, ale gdy ją narzuca obowiązek, i to podjęty pod przymusem, wówczas jest rzeczą małą i brzydką i lepiej się zeń otrząsnąć.

— Obowiązki każdy sam sobie stwarza, winien więc być odpowiedzialnym za ich wypełnianie, niezależnie od tego, czy je stworzył pod wpływem miłości, czy pod wpływem szału. Człowiek nie powinien się zapominać, a gdy się zapomni, powinien mieć tyle godności, by przyjąć na siebie następstwa swego zapomnienia. Tak być powinno, inaczej ludzie popełnialiby tysiące występków pod pozorem szaleństwa, i świat istniećby nie mógł. Ludzi niższej moralności państwo karze za występki, ludzie, którzy mają pretensje do wysokiej kultury, winni sami wyznaczać sobie karę, gdy postąpią wbrew moralności.

— Za chwilę zapomnienia małżeństwo, kara dożywotnia, czyż to nie nazbyt surowy wyrok? Wreszcie małżeństwo jako kara byłoby ciąglem nieszczęściem, a ciocia chyba nie chce nieszczęścia ani dla Pawła, ani dla Wandy.

— Człowiek wówczas tylko może się nazwać szczęśliwym, gdy jest w zgodzie z samym sobą. Paweł i Wanda w tej chwili są w rozterce duchowej, gdy jednak zamiast nienawiści powezmą dla siebie życzliwość, aby usprawiedliwić swoje połączenie, wówczas uspokoją się i będą mogli znaleźć szczęście w wychowaniu dziecka, które jest owocem ich połączenia.

— Paweł będzie musiał oderwać część swego życia od sztuki i poświęcić ją temu dziecku, a to zwichnie mu los.

— Poświęci rzecz mniejszą dla większej, bo czyż człowiek może mieć większe zadanie, niż stworzenie i wychowanie nowego człowieka?

— Są ludzie, którzy mają ważniejszą misję do spełnienia, służbę dla całej ludzkości, a tymi są ludzie genialni. Im wolno sprawy innych podporządkowywać własnym, aby dojść do celu, który jest olbrzymi.

— Można przecież pracować jednocześnie dla ludzkości i dla własnej rodziny.

— Może być, iż są tacy, którym jedno w drugim nie przeszkadza, ale Paweł inaczej o sobie myśli, chyba zaś sam siebie najlepiej zna, a my nie mamy prawa nie wierzyć mu i narzucać swego zdania.

Pani Jadwiga siedziała chwilę milcząca, jakby przekonana, a po twarzy jej przechodziły błyski radosne, że oto sprzeciwiano się surowym jej poglądom i nie dano ich w czyn wprowadzić, że Paweł nie poniesie kary za chwilę zapomnienia i może kiedyś Toninka... To było najgorętsze pragnienie pani Jadwigi, przytłumione na chwilę wypadkiem, a teraz pod wpływem słów siostrzenicy odżywające.

Lecz wnet poczucie odpowiedzialności za Wandę, której nie dopilnowała, stłumiło wahanie i słodkie nadzieje. Stach usunął się ze świata, a ona... Nie, nie, należy Wandzie krzywdę wynagrodzić.

-- Jednakże pomyśl — zaczęła znowu — że Paweł jest moim synem, a Wanda sierotą, której ja zobowiązałam się strzedz i nie dopełniłam zobowiązania.

— Ach, więc cioci chodzi o usprawiedliwienie się wobec własnego sumienia. Ciocia dla swego spokoju chce tych dwoje unieszczęśliwić do reszty.

Pani Jadwiga osłupiała, to były słowa śmiałe, surowe i słuszne. Uczyniło się jej naraz w głowie jasno.

— Może masz i rację — rzekła zwolna — bo mnie istotnie ciężko z tą myślą.

— Trzeba coś zrzucić na odpowiedzialność losu. Złożyło się nieszczęśliwie, że Wanda uczyniła to w Krakowie, bo przecież mogła uczynić tutaj, właściwie nawet z tego, co mówiła do Tadeusza, wynika, że pierwszy raz zaczepiła Pawła jeszcze w Orlińcach, tylko on wówczas ją odepchnął. Zatem ani Stach, ani ciocia nie mogli być odpowiedzialni za ten wypadek, odpowiedzialna jest przede wszystkim Wanda, a następnie, choć mniej znacznie, Paweł. Śmierć Stacha była porywem pięknym, ale nie usprawiedliwionym, a wyrzuty sumienia cioci są bezpodstawne. Nie wyjazd do Krakowa, tylko chorobliwy temperament Wandy jest przyczyną tego, co się stało. Wreszcie po co tu wyszukiwać winnych, po co obciążać sumienia ludzkie? Stało się nieszczęście i koniec. Wszyscy z tego powodu cierpimy, nie powinniśmy więc rozdzielać się wzajemnem obwinianiem, przeciwnie, powinniśmy w zbliżeniu się do siebie znaleźć ukojenie i wzmocnienie.

— To też ja właśnie chcę zbliżyć Pawła i Wandę.

— Nie można nikogo zbliżać gwałtem. Gdyby oni sami tego zapragnęli, to co innego, ale ciocia nie ma prawa tego od nich wymagać.



— Im to na myśl nie przyjdzie, wiesz, jakimi są oboje egoistami.

— Tem bardziej łączenie ich byłoby złe.

— Zatem co czynić?

— Nic, zostawić ich samym sobie, tylko serdecznością dać uczuć Wandzie, że może podnieść się ze swego upadku i żyć normalnie. Zresztą, zdaje się, że Tadeusz już począł torować sobie drogę do jej duszy, pozwólmy mu działać, on samym wpływem swojej dobroci może cudów dokazać. Nie przeszkadzajmy mu więc wprowadzaniem na widownię jakichś pospolitych, światowych względów.

— Jednakże dziecku może być z tego powodu źle na świecie.

— Tymczasem chodzi o Wandę, a dla dziecka może się jeszcze dać coś uczynić, zobaczymy później. Zresztą, wychowamy je tak, aby nie przywiązywało znaczenia do pozorów rzeczy, tylko ujmowało ich treść.

— Treść niepiękna.

— Wanda starannem wychowaniem dziecka i poświęceniem mu całego życia będzie mogła względem niego odkupić swą winę, a stanowisko Pawła wytłómaczymy mu, ucząc go czić rzeczy wielkie.

— Jak ty dziwnie z wysoka spoglądasz na świat, aż się w głowie mąci, a jednak trzeba ci przyznać słuszność.

— To Paweł nauczył mnie tego! — powiedziała ze szczęsnem wzruszeniem.

— Tylko, że ty żyjesz zgodnie ze słowami, a on...

— Jemu, ciociu, trzeba wiele wybaczyć, bo jako artysta żyje nadmiernie nerwami, a to się mści. On może nieraz w uniesieniu kogoś skrzywdzić, ale cóż to znaczy wobec ogromu dobra, jakie światu daje. Przytem on z pewnością cierpi nad wyrządzoną krzywdą i tem ją okupuje.

— Ty w swej bezgranicznej miłości gotowaś jeszcze napisać do niego list pocieszający.

Toninka spojrzała na ciotkę uważnie, i naraz twarz jej rozjaśniła się pełnym tkliwości uśmiechem.

— A prawda, że też ja o tem nie pomyślałam. Czekałam na list od niego i miałam zamiar odpisać znowu, a on, biedak, pewnie już wie o wypadku i jego przyczynie i męczy się bardzo, a ja chciałam powiększyć jego mękę słowami wymówki. I to się nazywa miłość? Człowiek nigdy nie wyzbędzie się egoizmu, nigdy dostatecznie nie odczuje drugiej duszy, choćby mu była najdroższą.

— Toninko, czy ty seryo mówisz?

— Jakżeby inaczej, wszak istotnie zawiniłam względem niego...

— Toninko, a krzywda, którą on wam uczynił?

— Czyż chciał skrzywdzić? Zapomniał się i za to taka straszna pokuta, takie ciężkie poczucie odpowiedzialności. Wszak on cierpi bardziej, niż ja, a ja mu chciałam czynić wymówki? Pocieszyć go trzeba, ukoić, to mój obowiązek i moje prawo.

Pani Jadwiga spoglądała na nią ze zdumieniem i myślała, że taka kobieta nie może być ciężarem i przeszkodą najbardziej przeczulonemu geniuszowi.

---

List Toninki do Pawła był arcydziełem miłości.

W najdelikatniejszych słowach donosiła mu o tem, co zaszło; uprzedzała perswazyą i ukojeniem wyrzuty, któreby mógł sobie z tego powodu czynić; z najgłębszą czcią dla zmarłego brata tłómaczyła bezzasadność jego szlachetnego porywu; łagodziła przypuszczalny niepokój o stan duszy Wandy, rozjaśniając jak najbardziej barwy, którymi malowała żal jej i głęboki smutek, który nastąpił po rozpaczy pod wpływem rozmów z Tadeuszem; zapewniała, że właściwie przyczyną wszystkiego był chorobliwy stan Wandy, za który ona nie może być całkowicie odpowiedzialną, że zatem nikogo winić nie można, tylko los zawistny. Tyle powpłatywała między hiobowe wieści tkliwych nazw, serdecznych wykrzykników, że list ten mógł jednocześnie pocieszyć, dotykając boleśnie Pawła. Jakże był jej za niego wdzięcznym, bo właśnie na dni kilka przed otrzymaniem go dowiedział się od znajomych o przyczynie śmierci Stacha, którą mu przyniosły gazety. Zerwał się w nim wściekły gniew przeciwko historycznej dziewczynie, która swą zaczepką pchnęła go do czynu brzydkiego, lecz, jak sądził, drobnego, a tak straszne pociągającego za sobą następstwa. Nie zastanawiał się, że ona przecież musi cierpieć okropnie, że cierpieć dalej będzie, że właściwie ma życie złamane. Złorzeczył jej w swym bezgranicznym egoizmie, tylko swoje przykre położenie mając na oku. Chwilami nawet w najciemniejszych zakątkach duszy odzywał się gniew przeciwko donkiszoterji Stacha, tak nie dopasowanej do szarzyzny, marności zdarzenia. Miotał się w gniewie, nie znajdując w sobie ani

odrobiny jakiegoś dobrego uczucia, i to mu było również wstrętnem. Obracał sprawę na wszystkie strony, i zewsząd wydawała mu się ohydna. Mnóstwo szarych wniosków obsiadło mu myśl. Przypuszczał, że przede wszystkim otrzyma groźny list matki, wzywający go do zaślubienia dziewczyny, że dalej każą mu ją zabrać z sobą do Wiednia, aby łagodził „miłością“ wybuchy jej histeryi, że mu nie pozwolą długie lata pokazywać się z żoną w Orlińcach, aby nie drażnić opinii publicznej, wreszcie nad wszystkie wypełzła jedna bolesna myśl, że Toninka jasno spojrzy na grube strony jego charakteru i otrząśnie się z olbrzymiej miłości, która mu tyle światła rzucała na drogę życia i tyle wzniosłych budziła w nim myśli i uczuć. To przypuszczenie doprowadziło go do ostateczności, zamknął się w swoim pokoju i płakał gorzkiemi łzami gniewu i nienawiści. Przez kilka dni nie mógł jeść, spać, a o graniu nawet mowy być nie mogło.

I oto pewnego ranka przyniesiono mu kopertę, zaadresowaną znajomem kobiecym pismem, które samem ukazaniem się swoim budziło w nim tyle wesela i dobroci. Ze strachem ujął kopertę w palce i nie mógł się zdecydować na jej otwarcie, był pewien, że w niej znajdzie list pełen tragizmu i łez, albo może pełen wyniosłego chłodu i pogardy, ani przez chwilę nie wątpił, że jest to właśnie ostateczne zerwanie złotej nici stosunku z Toninką. Zaklął nareszcie wściekle i rozerwał kopertę. Padły mu na duszę słowa tak cudne, że w pierwszej chwili nie pojęte, przecierał oczy, trząsł głową, zdawało mu się, że jakiś czarowny majak oplątał mu myśli, lecz wreszcie zrozumiał i wów-

czas łyzy uniesienia, łyzy bezgranicznej wdzięczności  
połały mu się po twarzy.

Po raz pierwszy odczuł, jak niezmiernie doniosłą  
sprawą jest posiadanie na swej drodze takiej niezwy-  
kłej kobiety, która przez pryzmat swej cudnej duszy  
każe widzieć piękne i szczytne strony najboleśniej-  
szych wydarzeń, i pojął to także, iż, gdyby ona była  
z nim zawsze, chwile powszednie stałyby się rzadko-  
ścią w jego życiu. Wyobrażał ją sobie w Wiedniu,  
czekającą na niego w kawalerskim pokoiku, z uśmie-  
chem wesołym i słowem dobrem. W godzinach zmierz-  
chu wtulałaby się w kął otomany, a on, natchniony  
jej obecnością, grałby długo, długo i pięknie. Roz-  
marzył się na dobre, przeżywał słodkie chwile z To-  
ninką i zerwała się w nim wielka do niej tęsknota,  
niosła go pragnieniem do orlinieckiego dworu. Nagle  
drgnął, stanęła mu przed oczyma zmieniona, ponura  
postać Wandy, pełne niechęci twarze otoczenia, uczył  
atmosferę wrogą i potępiającą. Zgasły złote marzenia,  
dusza skurczyła się boleśnie, jakby pod naciskiem  
szorstkiej ręki. Zrozumiał, że Orlińce są dla niego  
bądź co bądź wykreślone na czas pewien z programu  
życia, że wiele, wiele miesięcy upłynie, zanim ujrzy  
Toninkę i spędzi z nią kilka rozkosznych tygodni,  
jak tego lata. Myśli posiadania jej na zawsze wyrzekł  
się chwilowo, gdyż z poza niej wyzierała twarz  
skrzywdzonej Wandy.

---

Co dnia wschodziło teraz nad Orlińcami nie przy-  
słonięte chmurami słońce, grało barwami tęczy w so-

plach lodu, zwisających u gontowego dachu na dworze, czyniło brylanty na oszroniałych gałęziach drzew ogrodowych, rzucało smugi złociste wskroś lustrzanej tafli lodowej na stawie, wywabiało na śnieżne podścielisko długie, modre cienie od wszelkich wystających nad powierzchnią ziemi przedmiotów, czasu swojej wędrówki po kresach błękitnego sklepienia. Powietrze było czyste, jędrne i ostre, budziło w piersiach ludzkich chęć ruchu, czynu, imania się rzeczy trudnych. Oddychał niem głęboko Tadeusz, odnajdując w tym mroźnym powiewie dawne siły, dawny zapal i dawną wiarę w działanie tych, między którymi pracował przed chorobą. Zrywało się w nim pragnienie rzucenia starego dworu, wywczasu, ludzi kochanych i pójścia z powrotem w opuszczone szeregi. Trochę go jeszcze trzymało rozpoczęte dzieło odrodzenia duszy Wandy, ale i to rychły, a pomyślny wróżyło wynik. Dziewczyna pod wpływem długich i poufnych z nim rozmów i wywołanych niemi rozmyślań otrząsnęła się z bezgranicznej rozpacz, z nienawiści, ze zwątpienia we własną wartość, uwierzyła, że jeszcze jest przed nią szmat życia, które urządzić może wedle swojej woli, że jeszcze nie zagasła dla niej nadzieja szczęścia, byle tylko poznała samą siebie, odkryła źródła szalonych porywów i nauczyła się nimi umiejętnie kierować.

— Z namiętnej i porywczej nie przerobisz się na łagodną i zrównoważoną, ale możesz wrzące w tobie siły wyładować w sposób pożyteczny. Z takich gorących niewiast bywają doskonałe działaczki, gdybyś poznała i pokochała naszą ideę, mogłabyś

w pracy dla niej znaleźć ujście dla swej energii i szczęście dla duszy.

— To mów mi o niej.

— Dam ci na początek kilka książek, które ci wskażą cele i zasady naszego ruchu. Gdy się zapoznasz ze sprawą w najogólniejszych zarysach, mówić ci będę o metodach działania u nas, o dziejach naszych trudów, o organizacyi poszczególnych grup, a potem, potem, gdy się przekonam, że i umysłem, i sercem jesteś nasza i że dostatecznie dojrzałaś duchowo, aby można liczyć na ciebie, wprowadzę cię do naszych szeregów i rozpoczniesz pracę.

Wanda zasłuchała się w jego słowa, jak w melodyę wybawienia, lecz nagle szarpnęła się gwałtownie, a twarz jej wykrzywił zawistny uśmiech.

— Tak, nauczaj, mów, obiecuj, zapewne piękne to wszystko, ale nie dla mnie, bo cóż ja uczynię z tem? — strzepnęła niecierpliwie ręką wzdłuż swojej postaci.

— Jedno drugiemu nie przeszkadza.

— Jakto nie? A jakżeż jabym się mogła wziąć do jakiegokolwiek pracy konspiracyjnej z takim znakiem szczególnym i jak trudzić się w obecnym stanie zdrowia?

— Czy wyobrażasz sobie, Wando, że kilka tygodni wystarczy, abyś wyrobiła się duchowo, zapoznała z naszą ideą, przetrawiła ją umysłem, przywarła do niej sercem, abyś, jednym słowem, była dostatecznie przygotowana na pójście między nas? o nie, miesiące upłyną, może lata, nim odważę się wprowadzić cię tam, a może nigdy nie dojrzejesz dostatecznie. Nam

trzeba ludzi o umysłach głębokich, charakterach niezłomnych, napływ obecny płytkich, niedołącznych dzieci dyskredytuje ruch, wykoślawia go, a ja ręki do podobnego zaśmieciania partyi nie przyłożę. Jeśli cię w jej szeregi wprowadzę, to tylko wówczas, gdy będę pewien, że stałaś się człowiekiem rozumnym, odpowiedzialnym za siebie, a nie histeryczną kobietą, o chaosie w głowie i samolubstwie w sercu, jaką dzisiaj jesteś.

— Nie wierzysz we mnie?

— Gdybym nie wierzył, tobym wcale z tobą tej ważnej sprawy nie poruszał, ale właśnie dostrzegam w twojej duszy pewne zadatki na dzielną istotę, jeśli tylko zechcesz wziąć się w kluby i sumiennie nad sobą popracować.

— Inaczej dotąd ze mną mówiłaś.

— Tak, pieścizotliwie, kojąco, bo byłaś umęczona, złamana, chora duchem, ale zdaje mi się, że już zaczynasz wracać do zdrowia, że już czas hartować cię, a nie rozpieszczać.

— Jeszcze mi bardzo ciężko na świecie.

— Boś słaba, wyrób w sobie moc, a większe ciężary z łatwością dźwigać będziesz. Niemało ich wkłada na barki praca partyjna; jeśli chcesz ją podjąć, musisz się wprzód zahartować.

— Co mi pomoże zahartowanie, skoro i tak na szersze pole pracy wyjść nie będę mogła, dziecko mnie przez długie lata zatrzyma w Orlińcach!

— Alboż ty potrafisz wychować dziecko! to zbyt delikatna, zbyt trudna praca dla ciebie, winnaś ją złożyć w ręce odpowiedniejsze, matki mojej lub Toninki.



One stworzone są do urabiania słabych duszyczek dziecięcych, do pielęgnowania małych ciałek. Dzieci to kwiaty, wymagają gorącego, promiennego słońca z serc kochających, delikatnych starań rąk czujnych, chłodnych powiewów rozsądku. Ty możesz być dzielną pracownicą, ale w dziedzinie spraw ogólniejszych, grubszych, gdzie więcej siłą i zapałem dokonać można, niż sercem i rozważą. Dlatego sądzę, że dziecku będzie lepiej, gdy je zostawisz w Orlińcach pod opieką babki i ciotki, a sama pójdziesz w świat pracować dla ogółu!

— O, z największą chęcią, nie będę przecież dziecka kochała.

— Więc jednak dusza twoja jeszcze w takim mroku, a sądziłem, że już roztąjała w ciepłe uczucie lepszych. Zrozum, że ja ci nie radzę porzucić dziecka dlatego, iż ci ono będzie obojętne, lecz właśnie z wielkiej dla niego miłości, tak wielkiej, że aż bezinteresownej, skłaniającej cię do wyrzeczenia się rozkoszy wychowania go ze względu na jego dobro. Nie chcę, abyś przekładała pracę dla społeczeństwa nad obowiązki macierzyństwa, lecz byś podejmowała pierwsze przez poczucie braku uzdolnienia do sumiennego spełniania drugich. To tylko byłoby naturalne i dobre.

— Nie wiem, nie wyobrażam sobie, abym mogła coś więcej, prócz niechęci, czuć dla tego dziecka.

— Tak, tak, Wando, daleko jeszcze jesteś na drodze do udoskonalenia, a szkoda, bo chciałbym, wyjeżdżając, być spokojnym o ciebie.

— Jakto, ty wyjeżdżasz? — krzyknęła z przestraszeniem.

— Dość lenistwa, pora do pracy, jużem dosyć silny.

Patrzyła w niego z osłupieniem, a potem ukryła twarz w dłoniach i schyliła ją desperacko.

— Wando, co ty?

Trzęsła się od płaczu.

— Co ja pocznę bez ciebie, co pocznę, nieszczęsna? Obsunę się znowu w przepaść, zginę bezpowrotnie. Po cóżeś mnie podnosił z upadku, by w połowie drogi porzucić bezsilną, po coś mnie ruszał? Trzeba było zostawić w rozpacz, byłabym wówczas bez wahania skończyła z sobą i już byłoby po męce, a teraz znowu szamotanie się z sobą, zrywanie do życia, by wreszcie obsunąć się zupełnie i przepaść! Nie prosiłam cię, byś mi ukazywał światło, nie chciałam twojej opieki, po cóżeś mi ją narzucił, by rychło cofnąć, po co? po co?

Podniosła ku niemu twarz, łzami zalaną, bezradną, nieszczęsną. Patrzył na nią z żalem, i poczucie odpowiedzialności za jej przyszłość zerwało się w jego duszy. Tak, nie może rzucać tej kobiety, która, ledwie wyprowadzona z mroku przez niego, nie ma jeszcze dość siły, by iść dalej sama drogą prostą, winien dalej prowadzić swoje dzieło, aż do końca. Zdecydował się odrazu. Położył dłoń na załamanych rękach Wandy i rzekł uroczyście:

— Słuchaj, Wando, obiecuję ci, że póty nie odejdę, póki sama nie uznasz, że pora zostawić cię własnym siłom.

Twarz Wandy zajaśniała wdzięcznością, drżącemi rękoma chwyciła rękę Tadeusza i podniosła ją do ust.

— Ty jesteś mój zbawca, mój bóg — rzekła.

Wyrwał jej rękę zmieszany i zaśmiał się dla uspokojenia rozegzaltowanej dziewczyny.

— Oj, kobieto, kobieto, jeszcze ci daleko do zimnego rozsądku, w głowie się pali wciąż. Chodźże ją ochłodzić na świat Boży. Tak jasno, tak rzeźwo na świecie, szkoda siedzieć w dusznym pokoju przy ogniu.

Poczęła drzeć i kurczyć się.

— Nie, nie — prosiła — nie ruszaj mnie stąd, boję się, nie chcę, poza domem mogę kogo spotkać, spojrzą na mnie ciekawe, szyderskie oczy, naigrawać się będą z mego stanu, nie zniosę tego, nie przeżyję.

— Ależ, kobieto, nie można być taką słabą, tchórzliwą, raz przecie trzeba się zdobyć na odwagę spojrzenia ludziom w oczy, bo, prędzej czy później, czeka cię to nieodwołalnie. Nie możesz przesiedzieć pół roku w tym pokoju zdala od świata.

Drżała ciągle.

— No, słuchaj, Wando — podjął znowu — jeśli nie zdobędziesz się na ten śmiały krok, gotów jestem pomyśleć, że omyliłem się w sądzie o tobie, że już nic nie jesteś warta, że daremnie pozostaję dla ciebie w Orlińcach, bo z ciebie nic nigdy nie będzie, a w takim razie...

Podniosła na niego pełne lękliwego pytania oczy:

— Odjechałbyś?

— Rzecz prosta.

— Chcesz koniecznie, abym wyszła?

— Koniecznie.

— To pójdę.

Otuleni w futra, brodzili w głębokim śniegu, zapadali się po kolana, pomagali sobie wzajemnie w wygrzebywaniu się z zasp, sypał im się na głowy lśniący szron z drzew, wdzięczyły się iskierki: śnieżne, blask rozjaśniał oczy, mroźne powietrze szczypało twarze i stroiło je w kwiaty rumieńców, piersi oddychały głęboko, mocno, krew szybko krążyła. Milczeli z początku, lecz później uczuli radość istnienia, siłę młodości, rozweselili się i rozgwarzyli. Wanda zapomniała o swoim stanie i wędrowała ochoczo, wykrzykiwała z zachwytem na widok zimowych czarów ogrodu, wyprostowała swą wielką postać, tyle tygodni przygiętą do ziemi ciężarem nieszczęścia, wzniosła do góry głowę, tak długo schyloną wstydem. Znać było, że się w niej budzi wiara w siebie i pragnienie nowego życia. Tadeusz wiódł za nią rozjaśnionym i tklwym wzrokiem, jak matka, której ukochane dziecko wraca do życia po ciężkiej chorobie, poczyna chodzić, gwarzyć, otrząsa z siebie mroki śmierci.

---

Tadeusz postanowił nie opuszczać Wandy, póki nie wyprowadzi jej na równą drogę, uważał jednak, że nie ma prawa dla niej wyrzekać się pracy społecznej, chcąc więc pogodzić jedno z drugim, napisał do swych towarzyszy partyjnych z prośbą o wskazanie mu działaczy miejscowych, którym mógłby ofiarować swe usługi z warunkiem, że mu pozwolą nie opuszczać Orliniec lub przynajmniej często je odwiedzać. Przysłano mu adres komitetu warszawskiego,

udał się doń natychmiast, przyjęto go z otwartemi rękoma, czasy były gorące, ludzi brakowało, zwłaszcza doświadczonych i znających stosunki partyi rosyjskich, na których poparcie liczono. Tadeusz został odrazu wciągnięty w wir pracy, poznano się na jego zdolnościach krasomówczych i sile hypnotycznej, którą wywierał na otoczenie, i używano go głównie do działalności agitacyjnej. Skutkiem tego nie mógł stale pozostawać w Orlińcach, przerzucał się z jednego końca kraju w drugi, rozdmuchawszy zarzewie idei w jednym miejscu, śpieszył w inne, niosąc płomień ukochania sprawy i przeświadczenia o jej słuszności. Co dni kilka wpadał do Orliniec, rozmawiał z Wandą, uspokajał wybuchy rozpacz, którym jeszcze czasem ulegała, dodawał ufności, krzepił siły i śpieszył dalej. Na spoczynek czasu nie miał, jeśli zjawiał się w Orlińcach, to tylko ze względu na Wandę, gdyż widział, że bez jego pomocy jeszcze się nie podźwignie. Uważał to za jeden ze swych obowiązków społecznych i dlatego bez skrupułu przybywał pod dach rodzinny. Zresztą oddał się już cały swemu dziełu, o niem tylko myślał, niem żył. W oczach płonął mu dawny ogień zapału, rysy twarzy rozciągnęły się wyrazem mocy, postać wyprostowała i nabrała ruchów sprawnych, śmiałych, nawet głos dźwięczał czyściej, silniej. Spoglądano na niego w Orlińcach z uwielbieniem, lecz innym, niż poprzednio. Nie był to już bóg-pocieszyciel, kładący kojące dłonie na smutnych i grzesznych głowach, lecz bóg-wojownik, budzący w sercach rozgłosną pieśń czynu.

W ciągu zimy działał głównie w miastach i osadach fabrycznych, skoro jednak od pól pociągnął pierwszy podmuch ciepły i w błękitach rozdzwoniły się skowronki, Tadeusz wyruszył na wieś. Zbliżał się czas gorączkowych robót wiosennych, odpowiednia pora na strajki rolne. Pierwszym krokiem Tadeusza w tej dziedzinie była rozmowa z matką, nie chciał, by stosunki w rodzinnym majątku pozostawały w sprzeczności z głoszonemi przez niego zasadami, nie chciał wywoływać rozdzwiewku między matką a służbą, postawił więc kategoryczne żądania, ułożone przez komitet warszawski, i domagał się wypełnienia ich w Orlińcach. Pani Jadwiga, gotowa dać życie za zgodę z dziećmi, bez wahania przyjęła żądanie syna, zwołała wszystkich pracowników i obwieściła im polepszenie warunków bytu, tłumacząc swój krok względem na podniesienie się cen wszelkich produktów z powodu strajków miejskich. Czyn jej wywołał uznanie całej wsi i serdeczną podziękę.

— Te nasze orlińskie państwo to zawsze ludzkie — chwalili jedni.

— Wiadomo — odpowiadali drudzy.

Tadeusz z czystem sumieniem mógł rozpocząć agitację po chatach. Zaczął od wsi, sąsiadujących z Orlińcami, a potem szedł dalej i dalej. Dobrze mu było wędrować wskróż rozmiękłych pól, po drogach, szklących się kałużami, po wygonach grzązkich. W rowach żółciły się kaczeńce, w błękitach drżała pieśń skowrończa, na drzewach pękały liściane pąki, cała przyroda dyszała wiosną, odrodzeniem, nabieraniem świeżych sił, sposobieniem się do wielkich po-

czyniań. W sercu Tadeusza wzbierała też moc i radość, bo oto niósł pod niskie, do ziemi przysiadłe strzechy, w mrok dusznych, wilgotnych izb promyk nadziei lepszego jutra, bunt przeciw złemu dzisiaj, poczucie własnych sił i chęć do walki o dolę. W tępych spojrzezeniach budził iskry świadomości swego „ja“ i przynależnej mu części w dorobku kulturalnym, prostował pokornie zgarbione karki i szacunek dla samych siebie rzucał w lękliwe serca. Gdy siedział na stole w zapchanej ludźmi izbie, lub na drabinie w stodole i słowami pełnymi przekonania malował słuchaczom szarą ich dolę obecną, a jasną przyszlą, ogarniał go tak wielki zapał, taki poryw szczęścia, jakby ta wróżona lepsza dola już czekała za progiem, i jego zapał udzielał się otaczającym, podnosili głowy, wpierali nogi mocno w klepisko, zasuwali ręce za pasy i toczyli wokół oczyma groźnie i hardo. Takimi ich lubił widzieć, tych przypadłych zazwyczaj do ziemi, przygastych, leniwych w myślach, uczuciach i czynach, i zdało mu się, że już wydzwania na zegarze dziejowym godzina odrodzenia świata przez lud rozumny, prawy i silny.

Nieraz cieniem padł mu na duszę widok sieroty drobniuchnej, w szmaty okutanej, z witką w zsiniałej od chłodu łapinie, przysiadłej w rowie na straży krowy gospodarskiej, skubiącej pierwsze strzałki zielonej runi. Nieraz serce drgnęło mu boleśnie, uderzone językiem schorowanej istoty ludzkiej, oblażłej brudem i robactwem na wpół przegniłym barłogu w kącie izby czy ciemnej komory.

Nieraz gonił smutnemi oczyma za utyłaną w błocie postacią chłopą, który, upiwszy się w miasteczku, zygzakiem toczy się między opłotki, pada w kałużę, wstaje, klnie, pośpiewuje zachrypłym głosem i toczy się dalej zwierzęciu podobny.

Nieraz od tych rzeczy dzikich i złych mroczyła jego ufna dusza, lecz wnet budził się w niej głos wierzący: „To ostatki ciemnoty i upadku, to pozostałości niedoli, rychły temu koniec, blizki dzień zmartwychwstania“.

Prostował się w sobie i w tych smutnych obrazach znajdował bodziec do gorętszej pracy.

Przyszła chwila, gdy płomień objął kraj cały i praca agitatorska stała się mniej ważną, za to w odpowiedzi na prześladowanie partya postanowiła wykonać szereg zamachów na życie ważnych osobistości rządowych; do tego dzieła użyto ludzi najsilniejszych, najodpowiedniejszych, w ich szeregi wliczono Tadeusza. Nawykły do subordynacyi nie cofnął się, lecz w duszy jego zawrzała walka, zerwały się wątpliwości i zachwiały bezwzględną wiarę w doskonałość postępków partyi.

Z męką w sercu szedł ciągnąć losy przed każdym postanowionym zamachem i z ulgą odchodził wolny, lecz czy na długo, czy dnia pewnego nie każą mu pójść i zabić skrycie?

Chmurny, zgnębiony, wracał do Orliniec, spotykały go życzliwe i niespokojne oczy, kochające serca, gotowe ból jego podzielić, żalu wysłuchać, radą służyć, pomoc nieść, lecz on, nawykły w życiu konspiracyjnym nie mówić o sobie ni sprawie nic, milczał



i szarpał się w cichości, z trwogą czekając dnia fatalnego.

Wanda prędzej niż inni dojrzała smutek Tadeusza i goręcej niż inni pragnęła poznać jego przyczynę, podzielić lub ukoić ból, nie śmiała jednak pytać, była przyzwyczajona, że nie opowiadał o swych sprawach, chciała też, marząc o pracy przy jego boku, dać mu tą dyskrecją dowód wyrobienia duchowego, do którego już doszła. Nie śmiała pytać, ale śmiała myśleć i wysnuła wniosek, że niepowodzenia w działaniu są przyczyną smutku Tadeusza.

— Wątpi w swoje siły, w pożytek podjętej pracy, należy mu ukazać świetne owoce działalności jego w innym kierunku, a rozjaśni się trochę.

I zaczęła mówić mu o sobie, o zmianie poglądów i uczuć pod jego wpływem.

— Już teraz nigdy nie rozpaczam, nie buntuję się przeciw ludziom lub rzeczom, wiem, że losy moje są głównie zależne ode mnie. Jeśli będę silna, władająca sobą, nie złamię mnie największe przeciwności. Pojęłam, że szczęście zależne jest od uczuć, które panują w mem sercu, jeśli moje uczucia są złe, to i mnie źle, jeśli dobre, i mnie dobrze, wyrobiłam w sobie uczucia dobre i jestem szczęśliwa, już nie uprzedzam się do nikogo, nie nienawidzę, wybaczam i kocham. Wstydzę się swojej przeszłości, ale odwróciłam się od niej, idę przed siebie, zapatrzona w przyszłość, silna i pełna dalszych postanowień. Pragnęłabym zobaczyć Pawła, powiedzieć mu, że nie mam do niego urazy, że to była moja wina, i przekonać go, że dziś

jestem inna, panująca nad swymi porywami, godna szacunku.

Uśmiechnął się do niej zachęcająco i wdzięcznie, a w niej serce wezbrało szczęściem pod ciepłym tego uśmiechu i gotowało się do najlepszych uczuć, do najgodniejszych porywów, byle rozjaśnić tę twarz uwielbianą.

— Czuję już ruchy dziecka — mówiła dalej, a żywy rumieniec okraślił jej policzki — sprawia mi to niewysłowioną rozkosz, ta myśl, że daję życie nowemu człowiekowi, że jestem odpowiedzialna już dziś nie tylko za jego ciało, ale i za duszę, którą przyniesie z sobą na świat, napełnia mnie uczuciem niesłuchanej powagi i wdzięczności dla losu, że mi powierzył tak doniosłą sprawę. Staram się, aby moje myśli były teraz najczystsze, a uczucia najśłodsze, gdyż sądzę, że to odbije się w duszy dziecka.

Zapatrzyła się w przestrzeń, jakby rysując w myśli obraz tego spodziewanego dziecka, a po chwili podjęła:

— Chciałabym, aby było tak dobre, jak ty, i chyba będzie, bo jestem tak przeniknięta twoją dobrocią, że doznaję uczucia, jakby jakieś światło rozjaśniało wszystkie zakątki mej duszy.

Wyraz postanowienia wypłynął na twarz Tadeusza, ujął rękę Wandy i rzekł:

— Słuchaj, Wando, czy już dziś mógłbym odejść spokojny, że nie zbłądzisz z tej drogi, po której idziesz, że już ciebie nie złamie żaden cios, że jesteś człowiekiem skryształizowanym, twardym, świadomym siebie i za siebie odpowiedzialnym?

Zamarło w niej serce.

— Jakto, więc on chce odejść?

Zerwało się pragnienie przeszkodzenia temu za jakąbądź cenę, choćby kosztem dobrej opinii o niej, choćby kosztem zawodu z jej strony, lecz wnet stanęła przed oczyma smutna twarz dni ostatnich i nadpłynęło pragnienie rozjaśnienia jej znowu za wszelką cenę, choćby rozstania. Może mu praca tutaj nie dogadza, może wśród dawnych towarzyszy, na dawnym polu działania odzyskałby wiarę w siebie i promiennosc duszy, jeśli tak, niech jedzie, choćby najdalej i na jak najdłużej, choćby na zawsze. Dygotało w niej serce od męki, lecz i płonęła żądzą ofiary dla tego człowieka, który ją wywiódł z mroku i nauczył żyć. Tak, niech jedzie, jeśli tego pragnie, niech jedzie spokojny o nią, bo ona już go nie zawiedzie, już jest dość silna. Więc podniosła ku niemu prześwietlone uniesieniem oczy i rzekła:

— Tak, Tadeuszu, już twoja praca nade mną skończona, już teraz pójdę o własnych siłach. Uratowałeś mi życie, odkryłeś tajemnicę szczęścia, nigdy ci tego nie zapomnę, i ja, i moje dziecko będziemy wspominali twoje imię z wdzięcznością i uwielbieniem.

— Więc mógłbym, Wando, gdyby tak wypadło, gdybym musiał...

Budziła się w nim myśl nowa i przerażała go swoim zuchwalstwem, lecz radowała serce. Oni już tacy byli, ci Orlińscy, nie znali ślepego posłuszeństwa, umieli tylko chodzić prostymi ścieżkami, choćby wiodły do przepaści; gdy się droga krzywić починаła, bunt zrywał się w ich duszach, i wydeptywali

sobie własny, prościuteński szlak nawet za cenę życia. Nie znali kompromisów ni wątpliwych sytuacji. Dla nich istniało tylko „tak“ lub „nie“. Słowa pośredniego nie było.

Ledwie się zrodziła myśl w głowie Tadeusza, już dojrzała, i, uwolniony przez Wandę z obowiązku istnienia dla niej, wybierał drogę, na której wiedział, że prędzej czy później czeka go kres. Chylił się już nad otwartym grobem, a na twarz jego padał spokój śmierci i pogoda wieczności. Ucisnął rękę Wandy.

— Uwalniasz mnie, prawda, mogę odejść każdej chwili? Obiecuj mi jeszcze jedno, że, choćbyś odszedł na zawsze, nie będziesz rozpaczała i pójdziesz dalej drogą udoskonalenia.

Błada była, jak płótno, ale mówiła spokojnie :

— Obiecuję ci, Tadeuszu, już nic mnie nie zachwieje.

— Dziękuję ci.

Podniósł jej rękę do ust, nie wrywała mu jej, czuła, że jest tego pocałunku godną.

---

Minął rozkwiecony maj, nadszedł znojny, rozwijającymi się płodami czerwiec. Tadeusz pracował ciągle, przebiegał kraj z końca w koniec, lecz wiedział dobrze, iż wyników swojej pracy oglądać nie będzie. Wydał sam na siebie wyrok, a los wyciągnięty miał tylko wyznaczyć termin. Nadśluchiwał czujnym uchem wieści o dokonywanych zamachach; po każdym dążył podług wskazania do Warszawy ciągnąc gałki na nową kaźń. Ta, której mu każą dokonać, będzie hasłem jego śmierci. Odmówi jej wykonania, a wówczas...

Powzięte postanowienie wróciło mu wiarę w siebie, przyjeżdżał do Orliniec pogodny, jak dawniej, tylko na kochane kobiety spoglądał dłużej, niby podróżny przed odjazdem, czuł swoją tymczasowość między nimi i starał się ułożyć ich stosunek tak, by po jego odejściu zbliżyły się do siebie i w tem znalazły pociechę i siłę, wskazywał im ciągle cel życia, którym powinno się dla nich stać dziecko Wandy. Ona sama, jakby przeczuwając jego myśl, zapytała raz:

— Czy sądzisz, Tadeuszu, że jednak nie będę umiała wychowywać dziecka, że lepiej, gdy je zostawię w Orlińcach, a sama pójdę pracować z wami?

— Więc pragnęłabyś z niem zostać?

— O tak, z całego serca, jeśli jednak sądzisz, że nie powinnam?

— Nie, już tak nie sądzę, przeszłaś wszelkie moje oczekiwania, zmieniłaś się szybciej i głębiej, niż się spodziewałem, a zatem twoja opieka może być dla dziecka pożyteczna, niech ono ma cię przy sobie, niech wie, że na matkę zawsze liczyć może. Jednak główny kierunek wychowania, stałe trudy koło dziecka oddaj lepiej Tonince, ty, choć się bardzo zmieniłaś, zachowałaś jednak charakter wybuchowy, nierówny, a to wielka wada dla wychowawcy: dziecko powinno mieć ciągle jednakową atmosferę wokół siebie, powinno uważać osobę, wychowującą je, za doskonałość, a więc nie znać jej słabości, powinno jej ufać bezwzględnie, zwłaszcza, póki jest małe i rządzi się wrażeniem, a nie sądem. Ty, raz chmurna, drugi raz promienna, łatwo wybuchająca gniewem i wesołością, mogłabyś w ciągłym obcowaniu z niem zachwiać swój autorytet, lepiej więc, jeśli będziesz się trzymała w pewnym oddaleniu i tylko w chwilach dobrych zbliżała się do niego. Dalej poza kwestyą duszy dziecka jest jeszcze kwestya jego ciała, której w wychowaniu pominąć nie można, otóż sądzę, że i tu Toninka, praktyczna, rozważna, lepiej wywiązywałaby się z obowiązku, niż ty. Zatem podzielcie się dzieckiem, niech ono będzie waszym wspólnym celem ukochań, myśli i trudów. Toninka niech przestaje

z niem ciągle, a ty wpływaj na nie w swych dobrych chwilach.

— Więc jednak sądzisz, że mogą być tutaj pożyteczną, pożyteczniejszą, niż między wami?

— Z pewnością, z pewnością — potwierdził skwapliwie, i cień przeszedł mu przez twarz. — Między nami, Wando, między nami mogą być tylko stalowi ludzie, którzy nawet wobec grozy śmierci umieją wybierać między dobrem a złem.

— Czyż w waszej pracy nie wszystko jest dobre?

— O tak, staje człowiek czasem na takim rozdrożu...

Popatrzyła na niego uważnie.

— Ty byłeś niedawno na rozdrożu, prawda?

Drgnął.

— Nie mówmy o tem. Cokolwiekby się zdarzyło, ja zawsze umiałbym wybrać drogę prostą, zgodną ze swoim przekonaniem.

Umilkł, a ona patrzyła na niego pełnemi trwogą oczyma, uczuł to i zapragnął zwrócić jej myśli w kierunku sprawy najważniejszej, w kierunku dziecka.

— Zatem, Wando, rzecz ułożona, twoje dziecko będzie miało dwie matczki, prawda?

— My się tak rozporządzamy Toninką, a może ona nie zechce?

— Chodźmyż zapytać ją o to.

Wstał i podał rękę Wandzie, oparła się na niej ciężko, by uczuć to ramię troskliwe, wspierające jej kroki, którego nie miała posiadać stale nigdy. Tak dobrze jest czuć się choć przez chwileczkę słabą, małą kobietką, otoczoną męską opieką i siłą. Poszli

przez sień, po schodach na górę, do pokoiku Toninki, siedziała z robotą na balkonie. Spędzała tu wszystkie wolne chwile i przesuwała bezustannie w myśli, jak paciorki różańca, wspomnienia chwil, przeżytych z Pawłem, przypominała sobie niemal dosłownie każdą prowadzoną z nim rozmowę, przeżywała chwile szczęsnych uniesień, widziała oczyma duszy jego postać, jego twarz, wyraz jej w różnych godzinach ich obcowania, śmiała się ze swawoli dziecięcej, która ich ogarniała, oblewała łzami bolesne czasy po śmierci Stacha, witała radosnym krzykiem serca dzień usprawiedliwienia i podjęcia dalszego wątku uczuć i myśli. Często wyjmowała z biurka listy, których otrzymała wiele, choć w nierównych odstępach czasu. Bywało, że poczta przynosiła jej codzień kochane pismo, lecz bywało także, iż kilka tygodni oczekiwała i tęskniła napróżno. Rozkładała listy przed sobą, jak drogocenne klejnoty, i cieszyła się samym ich widokiem, treść każdego umiała niemal na pamięć, wiedziała, na której stronie i w którym wierszu są słowa najmilsze i ulubione, takie odczytywała w chwilach, gdy się czuła spokojniejszą, w gorętszych wyciskały jej łzy nadmiarem szczęścia. Ciągle i bez przerwy miała tem uczuciem wypełnione życie po brzegi. Od pewnego czasu przedmiotem jej miłosnej troskliwości stało się to, co było częścią Pawła, co ciągle o nim przypominało: oczekiwane dziecko Wandy. Chodziły oczy Toninki za siostrą uważne i czujne, dostrzegające każdą najmniejszą zmianę w jej postaci czy twarzy, strzegące od popchnięcia, czy potrącenia. Ręce pracowały dla dzieciny, szyjąc



małeńkie koszulki, kaftaniki, poszeweczki, zdobiąc je haftami, falbanami. Dla własnego dziecka nie mogłaby się zdobyć na staranniejszy dobór materiałów i form, na piękniejsze garniowania, na większą staranność w wykonaniu, bo też to miało być dziecko nad wszystko umiłowanego człowieka, a więc najukochańsze pod słońcem. Wyobrażała sobie, z jakim szczęściem będzie spoglądała na tę małą istotkę, śledziła jej rozwój, chwytła rysy podobieństwa do ojca, rozkochiwała się we właściwościach jego charakteru. Czekala z takim upragnieniem na to dziecko, tyle oddawała mu myśli i uczuć, że chwilami doznawała wrażenia, jakby to było jej własne dziecko, z jej krwi i ducha poczęte, a tylko na wyżywienie w okresie przedżyciowym w innem ciele kobiecem złożone. Gdyby jej ktoś powiedział, że Wanda jest mu bliższa i bardziej jego matką, niż ona, nie uwierzyłaby, uważała ją tylko za piastunkę, i ogarniało ją zniecierpliwienie gdy w pierwszych miesiącach Wanda niechętnie odnosiła się do niego; mimowolnie przechodziła jej przez myśl pretensya do losu, że tę najukochańszą istotę, ten klejnot bezcenny, złożył w niegodnem łonie, którego usposobienie wrogie może szarpnąć nerwy i skazić duszę maleństwa. Była następnie wdzięczna siostrze, że się zmieniła, że okazuje zajęcie i miłość dziecku. Cieszyła się jej dobrym wyglądem, pogodnem usposobieniem, uważnem zachowaniem. Kiedyś napisała do Pawła:

— Twemu dziecku jest lepiej. Wanda zdrowa i wesola, nie masz pojęcia, jak mnie to uszczęśliwia.

Paweł zachnął się na te słowa, ale po chwili zastanowienia zrozumiał ich słodką dla siebie treść i już się nie lękał, by dziecko zabrało mu serce Toninki, czuł, że będzie ono między nim a nią nowym i stałym węzłem, że będzie wcielonym celem jej życia, upostaciowaniem miłości dla wybranego człowieka. Począł się odtąd zajmować dzieckiem, którego poczęcie tyle w nim wywołało wstrętu i gniewu, w każdym liście zapytywał o zdrowie Wandy i z większem jeszcze upragnieniem myślał o przyjeździe do Orliniec, czego mu dotychczas nikt nie proponował. Oprócz tęsknoty do Toninki, do matki i brata, do upodobanych kątów, ciągnęła go teraz jeszcze chęć poznania swego dziecka, dla którego uczuł nagle szacunek i coś jakby trochę tliwości. Wydawało mu się, że ono swą godnością człowieka nadaje powagę drobnemu zdarzeniu krakowskiemu, że wynosi na jakiś piedestał jego i Wandę, jako twórców nowego życia. Często o zmierzchu, siedząc przy fortepianie, pogrążony w marzeniach, niechący wydobywał ze strun melodyę kołysanki, która uparcie dźwięczała mu w głowie. Odruchowo wytwarzał w sobie dostojny i słodki nastrój ojcostwa.

Tak więc cała rodzina kupiła się myślą i uczuciami około dziecka, które miało stanowić jej dalsze istnienie.

Tadeusz i Wanda uśmiechnęli się do małych ubranek, rozłożonych na stoliku Toninki.

— Szyjesz dla mego dziecka? — wykrzyknęła Wanda.

Toninka doznała lekkiego skurczu serca wobec tych słów, zaznaczających prawo własności Wandy.

— Tak, chyba to nic dziwnego — odpowiedziała sucho.

— Więc troszczysz się już o nie naprzód, to doskonale — podjął Tadeusz — bo my właśnie przychodzimy do ciebie w sprawie tej małej osoby. Wanda chce cię prosić, abys podzieliła z nią trudy wychowawcze, gdyż lepiej z pewnością z nich się wywiążesz, niż ona.

Toninka popatrzyła na nich ze zdziwieniem, Wanda spłonęła.

— Nie myśl, że dlatego cię o to proszę, iż nie chcę zajmować się mojem dzieckiem. O nie! kocham je już dzisiaj i z radością trudzić się dla niego będę, tylko Tadeusz uważa, że ja ze swoim brakiem praktyczności i spokoju nie odpowiem dość godnie obowiązkom matki, że ty, taka skrzętna, pracowita i łagodna, lepiej będziesz umiała obchodzić się z dzieckiem. I dlatego ze względu na jego dobro chciałam cię prosić, abys zajęła się niem także, nie wiem tylko, czy zechcesz?

Toninka zrozumiała.

— Czy zechcę? Ależ naturalnie, przecież ja już dziś żyję tem maleństwem i żyć dla niego pragnę zawsze. Wszak to najdroższe dla mnie dziecko!

Twarz jej wyrażała największe napięcie uczucia. Tadeusz spoglądał na nią i skupiał wspomnienia z czasu, spędzonego w Orlińcach, przypomniawszy sobie ciągle obcowanie Pawła z Toninką przed jego wyjazdem do Wiednia, listy, które do niej pisywał, i zrozumiał jej unie-

sienie. Zatrzepotało mu się serce radośnie, że oto spełnia się jego marzenie i dziecko łączy te kobiety serdecznym węzłem, staje się dla obu najważniejszym celem życia. Ujął rękę Toninki i powiedział:

— To doskonale, będziecie obie matkami tej kruszyny, ale sądzę, że ty więcej trudów weźmiesz na siebie, bo taka już twoja natura.

Toninka bała się, by te słowa nie uraziły Wandy.

— W każdym razie — rzekła — obowiązki Wandy będą ważniejsze i bardziej macierzyńskie, mnie więc odstąp, Wando, pośledniejsze. Ja będę je kąpała, przy niem sypiała, a gdy głód poczuje, przyniosę je tobie, byś spełniła najważniejszy obowiązek matki w pierwszym roku życia dziecka i nakarmiła je, a potem, potem zobaczymy, jakoś to się ułoży, będzie to przecież cel naszego życia najważniejszy, oddamy mu więc najlepsze części swych istot.

Długo gwarzyli na balkonie o dziecku, stare lipy słuchały radośnie tej wieści o nowym dziedzicu Orliniec.

Cały czerwiec w starym dworze nie mówiono o niczem, jak tylko o spodziewanem maleństwie. Pani Jadwiga, Mazela i Toninka szyły, haftowały, dziergały. Rosły stopy dziecięcej bielizny w mahoniowej komodzie, ustawionej pod ścianą pokoju Wandy, która teraz zajęła dawny pokój matki i Tadeusza, by dziecko chowało się w słońcu, pokój sąsiedni pani Jadwigi oddano Tonince, gdyż miała brać do siebie na noc. W najzacisznym kątku pokoju Wandy czekało łóżeczko z białą siatką, był już i wózek z niebieskimi firaneczkami na gumowych kołach, a w po-

koju Toninki nikłowa wanienska na nogach. Kilka razy dziennie świat kobiecy dworu krzątał się koło dziecięcych mebelków, mierząc wielkość materacyków, poduszeczek, kołderek, kapek. Czekano, jak na dziedzica tronu, nikt nie myślał o tem, że to będzie dziecko nieprawe, że wywoła swem przyjściem oburzenie opinii, pamiętano tylko, że to będzie dziecko Orlińskich, krew z ich krwi, kość z kości i duch z ducha, znowu jakiś obłąkaniec idei, „motyl cudnoskrzydły rodu człowieka, kwiat cudowny w rubasznem pustkowiu“.

Liczyli dni z niecierpliwością, doglądali Wandy czujnie, niby pszczoły swą królową, czekali na chwilę narodzin, jak na wydarzenie w ich życiu najważniejsze. Aż przyszedł list z Wiednia, trochę nieśmiały, trochę pokorny, w którym Paweł prosił, aby i jemu pozwolono być z nimi, pod dachem rodzinnym w tej ważnej chwili. Toninka bez słowa podała list Wandzie, a jej twarz rozjaśniła się radosnym uśmiechem.

— Niechże przyjeżdża jak najprędzej, cieszę się, że i on dziecku rad. Jedyłą chmurą na mojem obecnem szczęściu była myśl, że on, ojciec tego maleństwa, z niechęcią myśli o jego narodzinach. Jak dobrze, że się myliłam.

Przyjechał Paweł, witał wszystkich ze wzruszeniem, cichy i złagodniały, rękę Wandy ucałował z szacunkiem, widział w niej matkę swego dziecka i zapomniał o histerycznej dziewczynie, która mu się natrętnie na szyję rzucała, czuł, że to dziś już inna kobieta.

W weselnym i poważnym nastroju czekali Orlińscy na przybycie swego potomka, aż pewnej lipcowej

nocy, gdy stare lipy osypały się złotem, pachnącem słodko kwieciem, gdy księżyc srebrzył tumany nad łąką, wśród starych, modrzewiowych ścian zabrzmiał bezradny, rozpaczliwy krzyk dziecka. Buntował się przeciwko życiu, kopał ręce babki, wykrzywił się na uśmiechy ciotki ten mały Orliński.

Wanda zapytała słabiuchno :

— Co jest?

— Syn.

— Syn! — powtórzyła nabrzmiałym dumą głosem, a po chwili dodała :

— Stach.

Już dawno postanowiła, że na pamiątkę tamtego, który tego poczęcie życiem przyplacił, da mu imię Stach.

Wykąpano małego Stacha, owinięto go w pieluszki, utulono w wózku i wywieziono do pokoju Toninki. Tutaj przyszli go poznawać mężczyźni. Tadeusz uśmiechał się z rozrzewnieniem do bezradnej istotki, Paweł zmarszczył czoło i spoglądał poważnie na czerwoną, maluchną buzię, która wciąż krzywiła się z niezadowoleniem, i dumął coś i postanawiał.

— Takiego drobiazgu krzywdzić nie można, nie — myślał — trzeba temu ustąpić drogę życia prostą i łatwą; i tak obcy dość mu na nią cierni i głązów naciskają, my winniśmy chronić go od złego.

Następnych dni ciągle to rozważał, lecz chwilami, gdy mu w drodze stanęła Toninka, gdy się lipy przy balkonie słodko rozpachniały, ogarniał go bunt przeciw nakazowi sumienia i pragnienie osobistego szczęścia z tą przejasną kobietą przy boku. Lecz gdy się

pochylił nad kołyską, gdy usłyszał wśród ścian domu kwilenie dziecięce, gdy mu Toninka mówić zaczęła z rozbłysłymi oczyma o tej jego kruszynie własnej, wówczas hartowało się postanowienie i gotów był mówić głośno swoim, co zamierzył.

Dziesiątego dnia Wanda wyszła po raz pierwszy do ogrodu, usadzono ją w cieniu lip na długim fotelu, obok przytoczono wózek, osłonięty tiulem, pod którym spał jej chłopczyzna. Siedziała samotna, Tadeusz tego dnia rano wyjechał, panie były zajęte w domu, niania sprzątała jej pokój, Paweł dojrzał z balkonu Wandę i zbiegł do niej. Widzieli się po raz pierwszy od urodzenia dziecka i po raz pierwszy na cztery oczy od chwili przyjazdu Pawła. Wanda uśmiechnęła się do niego i, wyciągając rękę na powitanie, zapytała:

— Jakżeż ci się podoba syn?

Pochylił się nad wózkiem.

— Pyszny malec.

Siadł na ławce obok, wsparł łokcie na rozsuniętych kolanach, schylił głowę, był zmieszany, chciał mówić, a nie mógł znaleźć odpowiednich słów, wreszcie bąknął:

— Pora pomyśleć o jego losie.

Zaśmiała się wesoło.

— Cokolwiek zawczasie, jeszcze nie zdradza wybitnych zdolności w żadnym kierunku.

— Nie o tem mówię. Chciałem tylko... — urwał.

Patrzyła na niego zdziwiona.

— Chciałem — podjął — uregulować jego stanowisko społeczne.

— Co przez to rozumiesz ?

Zaczął mówić szybko, jakby po tem pierwszym wyraźnem słowie chciał czem prędzej resztę wyrzucić z siebie :

— Tak, jak jest, zostać nie może, ludzieby mu dokuczali, to wreszcie krzywda dla ciebie, chciałbym więc, Wando, abyś została moją żoną.

Odetchnął z ulgą i umilkł.

Ona zaczerwieniła się, złożyła ręce i dyszała ciężko, jakby zmęczona usłyszaną propozycją, lecz po chwili mówić zaczęła stanowczo i poważnie :

— Dziękuję ci, Pawle, postępujesz, jak prawdziwie szlachetny człowiek, ale nie zastanawiasz się, że czyn taki z naszej strony byłby kłamstwem, a nasze postęпки względem dziecka powinny być wypełnione prawdą.

— Dlaczego kłamstwem, czyż nie jesteśmy jego rodzicami ?

— Tak, ale nie jesteśmy i nie będziemy mężem i żoną. Ja ciebie nie kocham, i ty mnie również, ani żyć, ani obcować z sobą nie pragniemy, gdyż byłoby to dla nas przykre i ciężkie, zatem po co te pozory małżeństwa ? Czyż moglibyśmy z przekonaniem ślubować sobie miłość, wiarę, uczciwość i nierozstawanie się aż do śmierci, gdy nic z tego nie czujemy i nic nie mamy zamiaru spełnić ? Nie, Pawle, skorośmy się już wznieśli dość wysoko, by sobie wzajemnie przebaczyć, by cieszyć się z urodzenia dziecka i pragnąć poświęcenia mu życia, to nie obniżajmy się teraz wypełnianiem konwencyonalnych formułek światowych, w których nie byłoby istotnej treści. Wychowamy



nasze dziecko tak, by się nie wstydziło swojej pozycji socyalnej, by umiało pokazać dumną twarz pogardzie ludzkiej, nauczymy je, że szczęście człowiek nosi sam w sobie, a nie ludzie mu je dają. Tak, Pawle, nasz syn będzie silny, dobry i rozumny, nie potrzebujemy zatem ułatwiać mu życia za cenę kłamstwa.

Zerwało się w nim nagle pragnienie posiadania praw nie tylko istotnych, lecz i nominalnych do swego dziecka, chciał, by ono wiedziało, że jemu zawdzięcza życie, rzekł więc:

— Przyznaję, Wando, że całkowite prawo decydowania o losie dziecka spoczywa w twoich rękach, bo ty cierpiałaś przez nie moralnie i fizycznie, tyś trudziła się niem tyle miesięcy, ty je teraz karmisz i ty je wychowywać będziesz, w każdym razie jednak ja powołałem je do życia, ja czuję swoją przynależność do niego i pragnąłbym, aby ono wiedziało o tem.

— Dziękuję ci, Pawle, ułatwiasz mi niezmiernie zadanie. Z bólem myślałam, że na pytanie dziecka o ojca odpowiadać będę musiała wymijająco, że kiedyś może ono z żalem poskarży się na swoje połowiczne sieroctwo, teraz zdejmujesz ze mnie ten ciężar i bądź pewien, że z radością to przyjmuje. Będę dziecku mówiła o tobie, nauczę je szacunku i miłości dla ciebie, witać cię będzie, przybywającego do Orlic, z radością.

— Tak, bardzo, bardzo będę ci wdzięczny, ale to jeszcze nie wszystko, jabym chciał, aby moje ojcostwo było wyraźnie określone, napisane. Bo widzisz, w metrykach takich dzieci pisze się: „nieznanego

ojca“, a to przecież byłoby kłamstwo bardzo dla mnie bolesne, i syn, gdy dorośnie, mógłby mieć do mnie żal, przypuszczać, że się go chciałem wyprzeć.

— Ach, jeśli chodzi o metrykę, to pisz sobie, co chcesz, byłem i ja tam była.

— Więc się zgadzasz, więc przyznajesz mi to prawo?

— Ależ naturalnie.

Ucałował jej rękę, wstał i pochylił się nad dzieckiem.

— Słuchaj, synuś, napisze się, żeś ty i mój — rzekł z dumą i radością.

W dwa tygodnie później Tadeusz i Toninka ponieśli małego Stacha do chrztu, zostawali więc także jego rodzicami, duchem byli nimi bardziej, niż tamtych dwoje. Proboszcz bronowiecki krzywił się przy pisaniu metryki i coś bąkał o zgorzeniu, o konieczności naprawienia błędu, uspokojenia opinii publicznej, lecz Wanda powiedziała mu kilka słów tak jasnych i stanowczych, że zamilkł i już niczem nie miał lodowatej surowości, którą się otoczył.

---

Wszystkim było teraz ogromnie dobrze w Orlińcach, obiedwie mateczki krzątały się koło dziecka, co chwila biegnąc po radę do babci, Mazela z pośpiechem robiła na drutach bawełniane butki, aby malec nie był zmuszony do bosych wędrowek, gdy nadejdzie dlań pora oparcia nóg o ziemię. Paweł śmiał się do dziecka, nasłuchiwał, w jakim tonie ono krzyczy,

a wieczorami wygrywał przepiękne melode, których motywem były dziecięce szczebioty i sprawy. Tadeusz siadywał w najmroczniejszym kącie salonu i obejmował kochającym spojrzeniem te najbliższe osoby, zęgnął się z niemi w myśli, odchodził od nich coraz bardziej. Tylko Roma była smutna i zalękniona wśród tej ogólnej szczęśliwości, rozszerzonemi żrenicami wpatrywała się w Tadeusza, a potem szła do niego, siadała bliziotko i tuliła się, jakby chcąc wchłonać jak najwięcej spokoju i dobroci.

W końcu sierpnia gazety przyniosły wiadomość o zamachu na życie jednego z wybitniejszych dostojników rządowych w Warszawie, w Orlińcach komentowano ten wypadek wszechstronnie, wywiązała się dyskusya na temat etyki skrytobójstwa. Tadeusz milczał, on już powiedział w swej duszy decydujące słowo.

Toninka trzęsła głową :

— Nie, nie, nie umiem umotywować dobrze swej odrazy, ale skrytobójstwo szkodzi podług mnie sprawie, rzuca plamy na rzecz czystą.

Naraz Roma krzyknęła przeraźliwie, pani Jadwiga zerwała się z miejsca, przybiegła do niej, poczęła tulić, uspokajać, dziewczyna utkwiała oczy przerażone w przestrzeń, drżała na całym cieie, Toninka pobiegła po krople laurowe, Paweł uspokajał siostrę najczulszemi słowami, a Tadeusz, korzystając z ogólnego zamieszania, wymknął się z domu, już była pora na niego.

---

— List z Warszawy do ciotki, jakieś obce pismo.

Toninka położyła przed ciotką szarą kopertę, zaadresowaną energicznie, męskim pismem. Pani Jadwiga wydobyła z niej arkusik papieru, na którym tylko kilka słów było skreślonych:

— Zabrać zwłoki Tadeusza Orlińskiego z prosektoryum i nie badać przyczyny śmierci.

Przeczytała raz, drugi, dziesiąty i nic nie rozumiała, wreszcie podała papier Tonince. Dziewczyna zdrętwiała, lecz po chwili rzekła uspokajająco:

— To jakieś okropne nieporozumienie.

Pani Jadwiga wciąż siedziała milcząca.

— Trzeba iść po Pawła, trzeba coś radzić — podjęła Toninka.

— Trzeba jechać — szepnęła, jak przez sen, pani Jadwiga, wstała ciężko i poszła do swego pokoju.

Toninka pobiegła szukać Pawła, siedział pod lipami obok Wandy i dziecka. Kiwnęła nań zdaleka. Przeczytał i uwierzył, twarz mu się skurczyła nienawiścią.

— Odpowiedzą mi za jego życie.

— Więc ty sądzisz, że to prawda?

— Czyż można wątpić?

— Jednak, póki się nie przekonamy...

— Tak, tak — chwycił się jej powątpiewania, jak deski ratunku — należy się przedewszystkiem przekonać. Jadę natychmiast. Gdzie matka?

— Wybiera się do drogi.

— Zatem już wie?

— Ona pierwsza ten list otworzyła.

— I wierzy?

— Nie wiem, jest jak błędna.

— Idę do niej, a ty zajmij się Wandą, należy ją potrochu przygotować, nagła wiadomość mogłaby nią okropnie wstrząsnąć, a tu chodzi o dziecko.

Toninka spojrzała zdumiona.

— On pierwszy pomyślał o dziecku!

Zbliżyła się do siostry.

— Słuchaj, Wando... — zaczęła i głos jej się złamał.

Wanda chwyciła ją konwulsyjnie za rękę.

— Toninko, co się stało? Ty masz taką dziwną twarz.

Toninka starała się opanować dławiące łkanie.

— Spokojnie, Wando, nie unos się, pamiętaj o dziecku.

Ale Wanda już utraciła panowanie nad sobą, szarpnęła Toninkę za rękę.

— Mów, co się stało, mów!

I nagle, jakby pod wpływem jasnowidzenia, pobladła trupio, zwinęła się i ukryła twarz w dłoniach. W piersiach jej zrywał się szal rozpacz, zawyła przeciągle. Toninka już była zupełnie silna, otoczyła siostrę rękoma.

— Wando, zlituj się, Wando!

Podniosła ku niej twarz obłąkaną i wyrzucała ze ściśniętego gardła z ostrym świstem, szepczące słowa:

— Tadeusz, prawda, Tadeusz? Odszedł na zawsze!

— Jeszcze nic pewnego, to może być omyłka, plotka, w obecnych czasach dzieją się takie dziwne rzeczy.

— Nie, nie, on mi mówił, on mnie uprzedzał dawno.

— O czym?

— Że odejdzie.

— Więc sądzisz, że to znowu sam?

— Jakto?

Mierzyły się oczyma, pragnąc wydrzeć sobie wzajemnie przerażone myśli.

— Nie żyje! — krzyknęła Wanda i upadła w głąb fotelu, zasłaniając oczy.

— Jeszcze nic pewnego — próbowała Toninka perswadować.

Wanda wyprostowała się nagle.

— Skąd ta wiadomość?

— Toninka podała jej list, czytała go długo, ze zmarszczonem czołem, a po chwili zaczęła mówić wolno, jakby sobie z trudnością przypominała:

— Pytał: czy mógłby odejść spokojny o mnie, gdyby mu tak wypadło, gdyby musiał, a ja powiedziałam, że jestem już dość silna, że może odejść.

Siedziała przez moment cicha i naraz krzyknęła:

— Boże! com ja uczyniła? Trzeba go było zatrzymać, powiedzieć, że nigdy, nigdy!

Zaniósła się jękiem tak przeraźliwym, że usłyszał go Paweł i nadbiegł załęczniony.

— Cicho, Wando, cicho — uspakajał ją — panuj nad sobą. Rozchorujesz się i co będzie z dzieckiem?

— Nic mnie dziecko nie obchodzi, nic, nic! Ja nie mogę żyć bez Tadeusza, nie mogę, nie mogę, zginę, przypadnę, oszaleję, a! a! a!

Przeszła w jeden, nieustający krzyk, aż tak z otwartymi szeroko ustami zeszywniała i opadła na fotel. Trzeba ją było długo cucić i rozcierać, zanim przyszła do przytomności, ale wówczas znowu wpadła w rozpacz, rwała włosy, tupała nogami, jęczała i krzyczała wyrazy, od których krew w żyłach zamarała. Toninka nie wiedziała już, co z nią robić, a nie miała nikogo do pomocy. Pani Jadwiga z Pawłem wyjechali do Warszawy. Paweł zdążył jeszcze przed wyjazdem szepnąć Tonince:

— Pilnuj dziecka, nie daj go jej dzisiaj karmić.

Mazela zabrała przerażoną Romę i wprowadziła ją w głąb ogrodu zdała od wrzasków Wandy, a potem zamknęła się z nią na górze. Całą noc przesiedziała Toninka przy siostrze, musiała się z nią mocować, bo chciała rozbić głowę o ścianę.

Nazajutrz przyszedł telegram od Pawła.

— *Przyjeżdżamy czwartek wieczór. Eksportacya zaraz, pogrzeb piątek. Przygotować wszystko.*

*Paweł.*

Toninka osadziła przy Wandzie pokojówkę, a sama pojechała do proboszcza. Znowu robił trudności.

— Niewiadomo, jaką śmiercią nieboszczyk zginął. Kościół nie może tolerować takich rzeczy, zwłaszcza, że o nieboszczyku krążyły niepochlebne wieści, podobno trudnił się robotą przewrotną. Nigdy też nie widziałem go w kościele.

— Niech ksiądz proboszcz nie zapomina, że to w przeciągu roku już druga śmierć tragiczna w naszej rodzinie, jesteśmy przybici nieszczęściem.

— To też to właśnie, druga śmierć niechrześcijańska i ten skandal z dzieckiem, cała okolica trzęsie się od zgorzzenia, a ja, jako jej opiekun moralny, winienem...

— Zatem ksiądz proboszcz odmawia swego udziału w pogrzebie?

— Ach nie, broń Boże! Ja tylko chciałem zwrócić uwagę, napomnieć...

— Nadto jesteśmy nieszczęśliwi, byśmy mogli słuchać napomnień.

— Kto nie żyje z Bogiem, ten nie może zaznać szczęścia ni spokoju. Ta tragiczna śmierć to wyraźny palec Boży, skoro pierwsza was nie opamiętała.

Toninka czuła, że jej wkrótce zbraknie cierpliwości, wstała i zbierała się do wyjścia.

— Więc kiedy pogrzeb? — zapytał pośpiesznie proboszcz.

— W piątek rano, a eksportacya w czwartek z wieczornego pociągu.

— Stawię się niechybnie. A pamiętała pani o otwarciu grobu?

— Polecę rządcy, aby zamówił mularza.

— Przypominam o lekarzu powiatowym.



— Dziękuję, pamiętam te formalności z pogrzebu dziadków i ojca.

— Tak, tak, często grób Orlińskich bywa otwierany.

— Istotnie, nieszczęście nas nie oszczędza, ale może być ksiądz proboszcz pewien, że i ze szczęściem dobrze się znamy.

— Szczęście bez Boga krótko trwa.

— Szczęście prawdziwe przetrwa wszystkie próby i żyć będzie wiecznie.

Rozłożył ręce:

— Ja Boży sługa, takiego szczęścia nie znam i nie pojmuję.

— Tak, często człowiekowi łatwiej zrozumieć śpiew ptasząt, niż myśli innego człowieka.

— A jednak jesteśmy wszyscy dziećmi jednego Boga i gdybyśmy chcieli o tam pamiętać, w Jego naukach znaleźlibyśmy drogę porozumienia.

— Każdy Jego słowa inaczej sobie tłómaczy, wedle własnej duszy.

— Cisi i pokornego serca nie kuszą się o zrozumienie tego, co dla ich umysłów nie jest dostępne, lecz słuchają wskazówek ludzi mądrych i duchem świętym obdarzonych.

— My, Orlińscy, nie jesteśmy cisi i pokornego serca.

— A tak, i ta pycha was gubi.

— Sądzę, że raczej serce.

— Pycha jest zwykle zaślepiona, nie uznaje siebie, lecz w inne stroi się nazwy.

— Jednakże, mimo zaślepienia, ta pycha wiodła nas zawsze drogami prostemi.

— Drogi, które odwodzą od Boga, są drogami szatana.

— Nie, to są drogi Boga lepszego i wznioślejszego, niż ten Bóg, w imię którego wy dręczycie ludzi napomnieniami w godzinie nieszczęścia.

— Serca ludzi nieszczęśliwych miękną i podatne są skrusze.

— Należy je więc koić i umacniać, a nie gnębić.

— Bóg do sprawiedliwych wyciąga ręce w godzinie próby, występnych karci.

— Mój Bóg ulituje się nad najwystępniejszym, gdy ten pod cierpieniem upada.

— Bóg musi być surowy, gdyż bez obawy kary ludzie popadliby w otchłań grzechu.

— Człowiek prawdziwy w poczuciu własnego sumienia znajduje hamulec dla grzechów, a nie w obawie kary.

— Oto szatańska pycha waszego rodu mówi przez panią, zawsze tacy byliście.

— I zawsze będziemy — powiedziała Toninka z mocą i skierowała się ku drzwiom. Proboszcz w milczeniu odprowadził ją do powozu i długo biegł zadumanem okiem za niknącą w tumanach kurzu głową dziewczyny, wreszcie strzepnął niecierpliwie ręką.

— At, zostawić ich w spokoju! Twardy ród! — rzekł i wszedł do plebanii.

Gdy Toninka weszła do pokoju Wandy, ta czem prędzej zapytała:

— Dokąd jeździłaś?

— Do proboszcza.

— Kiedy pogrzeb?

— W piątek, a w czwartek wieczorem eksportacya z pociągu do kościoła bronowieckiego.

— Trzeba kwiatów, dużo, dużo kwiatów — wykrzyknęła Wanda i spuściła nogi z łózka.

— Co robisz? — przestraszyła się Toninka.

— Ubieram się i idę do ogrodnika. Trzeba przywieźć zieleni z lasu, nazwijać girland i wieńców, ubrać kościół, przygotować godnie na jego przybycie. On był sam, jak kwiat, cudny, niechże więc wśród kwiatów i zieleni spoczywa.

Toninka знаła te histeryczno-poetyczne wybuchy siostry, uspokoiła się więc i tylko rzekła do pokojówki:

— Niech Marcelka idzie z młodą panią — tak służba nazywała Wandę od powrotu jej z Krakowa.

Tego wieczora Toninka pierwszy raz od wyjazdu Pawła podała dziecko Wandzie do karmienia.

---

Gdy panie z Orlinec weszły na peron, ujrzały widok niezwykły: wzdłuż toru przed stacją i hen dalej aż za pompą i platformą na towary ciągnął się tłum chłopów i robotników, wielu trzymało wieńce z zieleni i bukiety kwiecia. Modrzyły się w tym szarym tłumie pęki bławatków, krwawiły maki polne, kraśniały pyszną purpurą georginie, płonęły ogniste nasturcye, wszelkie kwiecie łąkowe i wyrosłe w ogródkach koło chat zniesiono tu dzisiaj ku czci tego, który bratem był roboczego ludu.

Dopiero w tej chwili zrozumiwały panie Orlińskie, jak szeroka była praca tego cichego człowieka, którą one, najbliższe, znały tylko z jego częstych wycieczek z domu. Już noc zapadła, i światło księżycy mieniło się na powierzchni wygładzonych szyn, gdy z ciemnego wnętrza wagonu wyniesiono czarną, metalową trumnę, wnet posypały się na nią wieńce zielone i barwiste, wnet ujęły ją ręce orlińskich chłopów.

— My poniesiemy naszego panicza — powiedzieli trzymającym trumnę tragarzom kolejowym i ponieśli go wśród pól, osrebrzonych miesięczną poświatą, wśród łąk, spowitych w mgły. Gdy jednym omdlewały ramiona, podsuwali się inni, a ciągle w pogotowiu były setki. Próżno jechała przybrana girlandami platforma, nie chcieli złożyć na niej zwłok swego panicza.

— Trudził się dla nas tyle razy, niechże my się potrudzimy dla niego choć raz.

Szli alejami lipowemi, wioskami opustoszałemi, gdyż wszyscy mieszkańcy dążyli za trumną, aż weszli do kościoła, z którego wnętrza migały ku nim powitalnie jarzące płomienie świec, złożyli na wysokim

katafalku śmiertelne szczątki wojownika idei, pokryli wieko trumny zielenią i kwieciami, westchnąwszy o wieczny dla ducha jego odpoczynek, wrócili pod swoje niskie strzechy z sercem rozkołysanem pieśnią, którą on w niem wzbudził.

Nazajutrz znowu tłumy, na pola w sąsiednich wioskach nie wyszedł dnia tego ani jeden pracownik: chowali swojego wodza. Obywatele zżymali się i świecili nieobecnością na pogrzebie tego wywrotowca, proboszcz spełniał swoje czynności szybko i chłodno, nad grobem nie przemówił nikt, za to posypały się grudki ziemi, tysiączną rzucając ręką, popłynęły jęki i łzy obfite, na płytę mogilną padł stos wieńców i bukietów.

Panie Orlińskie były jak zastygłe z bólu, nawet Wanda, przejęta dostojną powagą uroczystości, opanowywała zrywającą się w niej burzę. Paweł przez czas bytności w Warszawie i przy obrządkach pogrzebowych trzymał się dobrze, ale po powrocie z cmentarza uczuł tak niesłychane przygnębienie, że czem prędzej począł się sposobić do wyjazdu; nazajutrz w dworze orlinieckim zostały same kobiety, skupione przy wózku małego Stacha.

---

Szyby, pokryte szronem na cal grubo, po bładem niebie przesuwają się bokiem, nisko nad widnokretem mdłe słońce, domy, zabudowania gospodarskie, drzewa, krzewy, płoty, wszystko, co wystawia jakąś powierzchnię, odkrytą na działanie mrozu, pokryte jest szklistym osadem szronu. Zajęcie snują się w pobliżu

siedzib ludzkich, nawet sarny wychodzą z lasu i podsuwają się aż do stodół, wrony przycichły, kuropatwy zamarzają całemi stadami, choć się tulą pod stogiem, wróble, śmieciuchy i inna drobnica spada sztywna z pod dachów i drzew po długiej, srogiej nocy styczniowej.

Rozszalała się zima tego roku, nasypała śniegu co niemiara, a teraz ściska mrozem niebywałym. Trzszczą dachy, pękają z hukiem drewniane ściany dworu orlinieckiego, pokoi dogrzać nie można. Zamknęły panie część mieszkania i kupią się w kilku pokojach od południowej strony wokoło dziecka. W salonie przepała się tylko trochę przez wzgląd na fortepian, nie siedzi tam jednak nikt, bo chłód wieje z szeroko rozsuniętych, obwieszonych portretami antenatów ścian, nawet kwiaty przeniesiono do cieplejszych pokojów, tylko Wanda spędza tutaj długie godziny, obwinięta szalem, skulona, ze wzniesionemi ramionami i zwieszoną głową chodzi wzdłuż, tam i z powrotem, tam i z powrotem, wciąż, wciąż.

Uspokoila się pozornie rychło po śmierci Tadeusza, wróciła do powszedniego życia, czyta, rozmyśla karmi dziecko, gdy Toninka je poda, ale nie przesia duje przy niem, jak dawniej, nie zagląda do wózka. Czuje, jak w głębi jej duszy skupia się i czai dawne szaleństwo. Od chwili, gdy odszedł Tadeusz, gdy przestała czuć w swej duszy kojące odbicie jego dobroci zaczęło w niej wszystko mrocznieć po dawnemu i prężyć się do wybuchu. Panuje nad sobą, zaciska pięść, stara się zajmować myśli czytaniem poważnych książek, wszystko daremnie. W długie zimowe noce siad

na krawędzi jej łóżka bezsenność i kładzie rękę na zmęczonem myślami czole, a potem drugą przysuwa do serca i poczyną je szarpać z początku lekko, potem mocniej, coraz mocniej, aż się rozkołysze uderzeniami silnemi, jak tętent stada rozhlukanych ruma-ków. Wanda głuchnie od tego huku, i zdaje się jej, że wszyscy słyszeć go muszą. Lecz nie, w sąsiednim pokoju śpi spokojnie Toninka i równiuchno oddycha dziecko. Wanda poprzez huk swego serca wyławia z ciszy domu ten oddech słaby i nadśłuchuje trwożnie, czy się nie zmąci, nie przerwie kwileniem żalosem, bo wówczas zaczyna się dla niej męka nieznośna, musi niezmiernym wysiłkiem woli wyrwać się z odrętwienia, musi podnieść ciężką głowę z poduszek, dzwignąć bezwładne ciało z pościeli, musi wyciągnąć po dziecko opadające ręce, musi włożyć w zgłodniałe usteczka obolałą pierś, musi wykonać tyle poruszeń, wyłożyć na to tyle siły woli, a Wanda jest zupełnie bez woli, leżałaby tak godzinami, jak głąz, choć znowu bezsenność dręczy ją aż do szarego, późnego świtu.

Bywają noce inne. Całą istotę ogarnia dziwny niepokój, nogi prężą się, ręce drżą, piersi oddychają głęboko, aż do bólu, czoło okrywa perlisty pot, zdaje się, że, gdyby jakieś narzędzia tortur chwyciły za ręce i nogi i rozciągnęły ciało tak mocno, aż stawy rozsunałyby się z trzaskiem, wówczas nastąpiłaby chwila uspokojenia. Więc zrywa się Wanda z łóżka, wypręża swoje wielkie ciało i biega bosemi stopami po pokoju. Chłodne dotknięcie podłogi przyprawia ją o rozkoszne dreszcze, rzuciłaby się chętnie całym ciałem na tę twardą i zimną podłogę i tarzała po niej i roz-

gniałała bolące piersi i przytulała rozdygotane nogi. Całą siłą woli wstrzymuje się od tego, ale chłodne pocałunki podłogi, muskające stopy, ciągną ją na jej czekające łono, podchodzi więc do drzwi od ogrodu i tuli rozpalone czoło do zamarzniętych szyb i stoi długo, długo, aż chłód obejmie jej nogi, przejdzie po całym ciele, znieczuli piersi i w końcu uczyni z niej rzecz zimną i nie czującą; wówczas idzie do łóżka, pada na nie, jak zwarzony mrozem kwiat, otula się kołdrą i zasypia twardo, ale nazajutrz wstaje bezsilna, apatyczna, karmi dziecko machinalnie, błądzi bezmyślnie oczyma po kartach książki, a następnej nocy z trwogą nadśluchuje, czy dziecko nie zapłacze, bo wówczas trzeba wykonać nadludzki wysiłek i nakarmić je.

Noce są najgorsze, ale i dnie bywają męką dla Wandy. Gdy spadnie na nią bezwład, wtula się w kąć kanapy w gabinecie koło kominka i siedzi tam z nie czytaną książką na kolanach całymi dniami. Gdy szaleństwo chwyci ją w swoje szpony owija się szalem i biega do umęczenia po chłodnej, mrocznej sali, biega, biega, aż nogom sił zabraknie, aż myśli się zmacą i znużenie ogarnie całą istotę.

I teraz oto biega, szarpie się z sobą, i nagle ogarnia ją myśl, że, gdyby on tu był, gdyby spojrzął na nią swemi jasnemi oczyma, ujął za rękę ciepłemi dłońmi i przemówił kilka dobrych słów, wnet przycichłaby w niej ta burza, wnet wygładziła się powierzchnia duszy, jak pogodna toń jeziora. Był dla niej nie kochankiem, nie upragnionym człowiekiem, którego twarz chyli się w bezsenne noce nad rozwar-



temi tęsknotą oczyma, którego płomienne usta śnią się w snach gorączkowych i namiętnych. Nie, był lekarzem jej umęczonej wieczną burzą duszy, słodkim koicielem rozdygotanego serca, słońcem, oświetlającym najmroczniejsze przepaście myśli. Był jej aniołem opiekuńczym, patronem przenajświętszym.

Gdyby żył, gdyby co czas jakiś obcował z nią swym górnym duchem, i ona żyłaby mogła w szczęściu, w spokoju, w pracy. A tak cóż się z nią stanie?

Nigdy nie zazna ciszy, nigdy nie będzie mogła wieść istnienia czynnego i pożytecznego, jak inni ludzie, nigdy nie zakosztuje odrobiny szczęścia.

Nigdy, tak, nigdy, to już kres, to już się spełniło.

Dlaczego los jest tak okrutny? Dlaczego zabrał jej jedyne go człowieka, bez którego żyć nie może?

A wszakże ona sama wydała go losowi w ręce, wszakże mu rzekła:

— Możesz odejść spokojnie, już jestem dość silna.

Czemu to powiedziała? Jaki szatan ją opętał i wyrwał z gardła te okropne słowa? Co za klątwa skłoniła ją do wydania wyroku śmierci na niego i zagłady szczęścia na siebie?

Dlaczego nie zatrzymała go na zawsze wbrew wszystkiemu lub nie poszła z nim w szeregi bojowników idei? Tak, dlaczego nie poszła? Wszak sam uważał, że tam będzie odpowiedniejsze miejsce dla niej, niż w Orlińcach przy dziecku, a jednak ona z własnej woli, własnego porywu serca rzekła, iż woli wychowywać swoje małeństwo, i pytała prosząco, czy on nie sądzi, że będzie mogła temu zadaniu odpo-

wiedzieć! Czemu to uczyniła? Trza jej było pójść za jego wskazaniem, rzucić dziecko, a stanąć przy jego boku. Wówczas nie stałoby się to nieszczęście, onaby go ustrzegła, ona wywalczyłaby dla niego prawo do życia, ona odsunęła rękę przeznaczenia, która go powiodła nad przepaść śmierci. Więc czemu? czemu nie poszła za nim? Wszak nie nosiła już dziecka w swem łonie, wszak była dość silna, by się jąć trudów pracy konspiracyjnej, i na duchu była dość wyrosła, sam jej rzekł, iż przeszła jego najśmielsze marzenia, nie wahałby się więc dłużej i powiódł ją za sobą. Zatem kto przeszkodził? Ona sama, tak, ona sama wolała zostać przy dziecku, i to zgubiło jego i ją. Zgubiła ich oboje miłość jej do dziecka. Los zemścił się na nich za to, że on wzbudził w niej uczucie dla dziecka, a ją, że się temu uczuciu rozwinąć pozwoliła, że za jego głosem poszła. Oto jest ta klątwa, która skłoniła ją do wydania wyroku śmierci na niego i siebie. Los zemścił się za urąganie nadmierną dobrocią jego sprawiedliwości. Wszak temu dziecku nie należała się niczyja miłość, należała mu się nienawiść i wzgarda. Spłodzone było w chwili zwierzęcego, chorobliwego porywu, wywołało śmierć szlachetnego, czystego chłopca, było dziełem szatańskiej mocy, szatańskiego naigrwania się ze wzniosłych dążeń ludzkich. Z takiego posiewu zrodzone, winno na sobie nosić wieczny stygmat poniżenia człowieka, żyć w wiecznym mroku i w wiecznym chłódzie niechęci ogólnej. A oni śmieli się targnąć na sprawiedliwość przeznaczenia, otoczyli istotę dziecka upragnieniem i radością, przed przyjściem na świat.

opieką troskliwą, kochaniem najczulszem, gdy już oczęta do życia otworzyło. Kupią się wszyscy dokoła jego kołyski, żyją niem, czynią zeń cel prac swych i wszelkich zabiegów, sens istnienia swego, błogostwienieństwo rodziny.

I oto los się mści.

Padł rychło twórca promiennego nimbu nad główką dziecka, wskrzesiciel duszy jego matki. A teraz kolej na nią, na matkę, nie śmierć, lecz obłąd chwytą ją w swoje szpony, czai się w kątach jej zacisznej sypialni, tam w obliczu dziecka, tuż przy jego kołysce, czai się w tej mrocznej sali, gdzie szuka zmęczenia i ukojenia dla rozwichrzonych nerwów.

Wysłał los drugiego czarnego sługę, by wykonał sprawiedliwy wyrok, zemścił się na zuchwałej istocie ludzkiej. Ta mała niewinna dziecina wyrastała w zgorączkowanych myślach Wandy do rozmiarów jakiejś bestyi apokaliptycznej, która ziele ogniem nieszczęścia na całą rodzinę, na tych wszystkich, którzy śmieli ją pokochać wbrew stygmatowi klątwy, przyniesionemu na świat z ohydneho poczęcia. Zrywa się w jej sercu zamiast macierzyńskiej miłości odraza, nienawiść i gniew za śmierć Tadeusza, za jej męki obłądu. Chciałaby je zgładzić ze świata, wyrzucić het precz, byle uratować siebie, byle uratować pozostałych od mściwej ręki losu. Objęła rozszalałą myślami głowę zimnemi jak lód rękoma i biega po ciemnej sali, targana rozpaczą i strachem. Zrywa się w niej jakaś resztką świadomości, podnosi zdławiony burzą głos, daremnie, szatańskie majaki wyją radośnie, zwycięsko, obejmują we władanie tę zatraconą duszę.

W jasnej smudze otwartych do gabinetu drzwi stanęła Toninka.

— Wando, pora nakarmić dziecko, już płacze.

A za nią z głębi mieszkania nadpłynęło żałośliwe zawodzenie dziecka. Wanda zatrzymała się, wyprężyła przed siebie ręce, jakby się bronić chciała przed widmem złowieszczem, i bryznęła okropnemi, jak krwawe szmaty, słowami:

— Nie, nie, niech zginie, niech zamrze z głodu, ja już mu swej piersi ssać nie pozwolę, dość już to plugawe stworzenie moich sił, mego życia wchłonęło, dość nieszczęścia na mnie sprowadziło! Znać go nie chcę, nic o niem wiedzieć nie chcę, zabierzcie to, wyrzućcie, uczynicie, co chcecie, bylebym go na oczy nie widziała, nie słyszała tego okropnego krzyku.

Toninka stała przerażona, a z dala dobiegał coraz gwałtowniejszy płacz dziecka.

— Wando! — zawołała wreszcie. — Upamiętaj się, co ty wygadujesz, chyba masz gorączkę, chora jesteś.

— Chora, tak chora, jestem chora od urodzenia, nieszczęśliwa, unęczona, i oto on przyszedł, wyleczył mnie, ukoił, zaczęłam żyć dobrze, jak inni, i ta ohyda, ten potwór, to przeklęte dziecko wydarło mi go, zabiło.

— Co za myśl, co za potworna, głupia myśl! Skądże dziecko? skąd? Niewinne, czyste stworzenie.

— Czyste, ha! ha! Śmieć wstrętny, zgniły owoc szału!

— Milcz, dosyć tego bluźnierstwa. Uspokój się natychmiast, wyjdź z tych ciemności i zimna, choć tu, do ciepłego, jasnego pokoju, siądź przy kominku,

staraj się zapanować nad nerwami. Wysiadasz godzinami w tej mrocznej pustce, zdała od ludzi, i stąd rodzą ci się w głowie takie szalone myśli.

Wanda skuliła ręce na piersiach i trzęsała się całym ciałem. Toninka ujęła ją za ramię, wprowadziła do gabinetu, usadziła przed kominkiem i poczęła rozcierać jej skostniałe ręce, lecz Wanda wyrwała je gwałtownie i zakryła niemi uszy.

— Ten krzyk! ten krzyk! — szeptała z przestraszeniem.

Dziecko płakało coraz głośniejsze. Toninka poszła do niego, zamykając za sobą wszystkie drzwi, dzielące gabinet od pokoju Wandy.

— Niech niania przyniesie śmietanki i gotowanej wody — poleciła — damy małemu bawarki. — Młoda pani jest chora i dziecka dzisiaj karmić nie będzie.

W kwadrans później Stach, napojony nie bez oporu z jego strony, uciszył się i zasnął, wówczas Toninka poszła do Wandy. Siedziała w tem samym miejscu, z oczyma utkwionemi w ogień.

— Możebyś się położyła — zaproponowała Toninka — przyniosę ci kropli laurowych, uspokoisz się i zaśniesz.

— Tam?

Wanda wskazała na drzwi, prowadzące w stronę jej pokoju.

— Jeżeli cię obecność dziecka tak denerwuje, to każę przenieść twoją pościel tutaj na sofę.

Wanda potrząsnęła przecząco głową.

— Tu słyhać jego płacz! — rzekła ze zgrozą.

— To już chyba wyniesiesz się na górę?

Wanda skinęła głową potakująco.

— Musisz poczekać, bo tam zimno: nim się napali, połóż się tutaj. Właściwie dziś jeszcze pokoju się dostatecznie nie ogrzeje przy takim mrozie.

— Ja nie chcę tutaj, ja nie chcę — upierała się Wanda.

— Moja droga, co tobie za myśli do głowy przychodzą? Skądże stąd ni zowąd to uprzedzenie do dziecka?

Wanda zaczęła mówić chaotycznie, powtarzając swoje myśli. Toninka patrzyła na nią ze współczuciem.

— Dlaczego, Wando — zapytała — wierzysz w taką okrutną sprawiedliwość losu? dlaczego nie idziesz za myślą Tadeusza, który ci kazał odwrócić się od złego, wzbudzić w sobie dobre uczucia i niemi żyć?

— To właśnie zemściło się na nim i na mnie.

— Dlaczego wogóle dopatrujesz się jakiegoś związku między śmiercią Tadeusza a twoją miłością dla dziecka? Wszak tu niema żadnego łącznika. Tadeusz zginął za swoje przekonania, gdybyś za nim nawet poszła, nie ochroniłabyś go od tego, gdybyś go zatrzymać chciała, on również odszedłby, bo odejść widocznie musiał, tylko z twojem zapewnieniem umierał spokojny o ciebie i dziecko, miał dzięki temu jasne chwile ostatnie, powinnaś to zrozumieć i słów swoich nie żałować. Powinnaś również spełnić jego wskazanie i żyć dla dziecka. Pomyśl, jeżeli duch jego jest między nami, jakże cierpieć musi z powodu twojego zbłąkania.

Wanda zasłuchiwała się w te słowa, i powoli spokój spływał na jej ponurą twarz, mimo to Toninka nie dała jej tego wieczoru karmić dziecka i kazała posłać dla niej w gabinecie.

Nazajutrz znów Wandę ogarnął niepokój, znów biegła po sali, by go uciszyć, i znów wczorajsze okrutne myśli mózg jej obsiadły, na szczęście Toninka dość wczesnie spostrzegła nieobecność siostry, sprowadziła ją do gabinetu, dała jej kropli laurowych i pełną słodczy perswazyą uciszyła wzburzone nerwy.

Stan Wandy z dniem każdym się pogarszał, sprowadzono doktora: znalazł silny rozstrój nerwowy, zalecił wyjazd na kurację do Nałęczowa, a przedewszystkiem nie pozwolił karmić dziecka. Wanda skwapliwie chwyciła się myśli wyjazdu, sądziła, że, gdy opuści ten stary dom, w którym się tyle nacierpiła, ale i tyle pięknych przeżyła chwil, gdy nadewszystko znajdzie się daleko od dziecka, nie będzie widywała jego okrągłej, pogodnej twarzyczki, ani słyszała rzewnego zawodzenia, które jej przypominało okropne myśli, zrodzone w mroku sali, odzyska rychło spokój i równowagę ducha. W dwa dni więc spakowała potrzebne rzeczy i wyjechała do poblizkiego Nałęczowa, który znała dobrze z letnich wycieczek.

Nie sądzonem jednak było mieszkankom orlinieckiego domu odzyskać spokój, wkrótce po wyjeździe Wandy rozchorowała się Roma. Z początku pani Jadwiga sądziła, że to zwyczajne przeziębienie, o które w czasie tych mroźnych dni było łatwo, tem więcej, że nie znosząca zamkniętego życia dziewczyna codziennie przez długie godziny snuła się w oddalonych czę-

ściach ogrodu, zapadając w śnieg często po pas. Skoro jednak gorączka podnosiła się szybko, a inne objawy zaziębienia nie występowały, posłano po lekarza. Badał długo dziwnie nerwowo skomplikowany organizm dziewczyny, potem długo rozmawiał z panią Orlińską, wreszcie orzekł, że podrażnienie i tak nienormalnych nerwów Romy doszło do zatrważających rozmiarów, skutkiem prawdopodobnie silnych wstrząśnięć, którym podlegały w ciągu ubiegłego półtoraroku, że można się obawiać przepowiedzianej przez lekarzy katastrofy w postaci paraliżu dolnych kończyn lub nerwów wzrokowych. Jako lekarstwo, zalecał zmianę otoczenia, łagodny, morski klimat i odpowiednie zabiegi lecznicze w specjalnym zakładzie dla nerwowo chorych, streszczając się, radził wyjazd na Lido.

— Właściwie toby również było zbawienne dla pani Wandy, mogłaby tam doskonale podleczyć swoją histeryę, niechże więc pani zabierze obydwie i jedzie z niemi na jakieś dwa do trzech miesięcy.

— Ja o tak długiej nieobecności w Orlińcach myśleć nie mogę, zwłaszcza w obecnych czasach, mam młodego i niezbyt taktownego rządcę, muszę więc osobiście rozstrzygać wiele spraw między nim a pracownikami, gdyby mnie nie stało, mogłyby się tu wywiązać przykre zatargi, przytem w kwietniu wypadają terminy różnych spłat, których muszę sama dokonać, a podług pana zaleceń wcześniej niż w maju wrócićby nie mogły, zwłaszcza, że upłynie ze dwa tygodnie, nim wyrobimy pasporty i przygotowujemy się do podróży.

— Same stanowczo jechać nie mogą.



— Możebyś ty, Toninko... — zwróciła się pani Jadwiga do siostrzenicy, pewna odmowy.

— Za nic nie odjadę od dziecka, ono pierwsze przed wszystkimi.

— Gdyby zostało pod moją opieką, niania jest wierna...

— Ale nieinteligentna, nie można w zupełności powierzyć jej dziecka, a ciocia zbyt wiele ma zajęć, zwłaszcza na wiosnę, aby mózż w jej czynności wglądać. Zresztą niema o czem mówić, gdyby to było moje rodzone dziecko, z pewnością ciocia nie proponowałaby mi rozłąki, a przecież kocham je, jak własne, i za własne uważam, szczególnie od czasu, gdy Wanda...

— Tak, masz słuszność. Zatem chyba pojedzie Mazela.

Doktór się skrzywił.

— Roma bardzo się do niej przywiązała — zapewniała pani Jadwiga.

— Zdaje mi się jednak, że to nie będzie dostateczny autorytet dla pani Wandy.

— Dla niej autorytetem nikt już teraz nie jest, zresztą może stan jej się poprawił w Nałęczowie.

— Miejmy nadzieję. W każdym razie ktoś z choremi jechać musi, a skoro niema nikogo innego, niż Mazela, niechże jedzie ona.

Francuzka nie posiadała się z radości, gdy jej obwieszczono projekt wyjazdu, tak dawno nie widziała szerszego świata, a jeszcze czuła w sobie dość sił, by po nim wędrować. Roma cieszyła się również, lubiła morze, działało na nią kojąco, a nie oglądała

niezmierzonych rozkołysanych fal już od lat dzie-  
sięciu.

Wanda, której pobyt w Nałęczowie nie przyniósł  
żadnej ulgi, teraz ożywiła się odrazu, poweselała, na-  
wet życzliwiej traktowała dziecko. Pani Jadwiga z tego  
dobrego usposobienia trzech podróżniczek wyciągała  
jak najlepsze wróżby: może nareszcie te dwie nie-  
szczęsne dziewczyny, w których szaleństwo charakte-  
rów Orlińskich doszło do najwyższego skoncentrowa-  
nia i objawiało się w sposób chorobliwy, tam, nad  
cudnem morzem Adryatyckiem, pod gorącym słońcem  
południa, zdała od przesiąkniętych tragizmem ścian  
starego domu, odzyskają nareszcie zdrowie ciała i du-  
cha i stanąć będą mogły w szeregach ludzi normal-  
nych.

Ożywił się cichy dom, zwieziono krawcową z Lu-  
blina, nakupiono leciuchnych wełn i batystów, w po-  
koju pani Jadwigi turkotała ciągle maszyna do szy-  
cia. Mazela w swoim żywiole, pochylona nad wzorami  
mód, wybierała fasony, kombinowała pełne wdzięku  
przybrania, prowadziła długie konferencye z krawcową,  
do niejednego przyłożyła własnej ręki. Wreszcie po  
dwa tygodniach, z dobrze wyładowanymi kuframi,  
serdecznie żegnane przez panią Jadwigę i Toninkę,  
zaopatrzone w tysiące rad i przestroóg, wyjechały dwie  
smutne dziewczyny i wesoła Francuzka w szeroki  
świat po zdrowie.

Mazeli przypomniały się te czasy, gdy jako pełna  
sił i powodzenia panna odbywała podróże po Euro-  
pie, matkując Jadwidze i jej nierozłącznej towarzyszcze  
i przyjaciółce Helenie, często w asystencji zakocha-

nego w swej przyszłej żonie Juliana. Pod jej czujnem okiem ta młoda para porozumiała się i zaręczyła, ona to przywiozła uszczęśliwionym rodzicom przyszłą synową, zdawna upragnioną ze względu na słodki charakter i znaczny kapitał, który odziedziczyła po wczesnie zmarłych rodzicach, z którym tak szybko załatwił się wesoly, jak ptak, lekki, jak motyl, piękny, jak kwiat, szalony, jak każdy Orliński, pan Julian. Ona dobierała w magazynach paryskich i wiedeńskich wykwintną bieliznę, dystyngowane suknie, urocze okrycia, pełne wdzięku kapelusze i tysiące delikatnych, cudnych drobiazgów do wyprawy pani Heleny. Ona, odziana w jedwabną suknię i koronkową mantylkę, wiodła swe pupilki do loży w Operze, gdzie wówczas zbierała laury nieporównana Patti, lub do Comédie Française, gdzie występowała będąca u szczytu wdzięku i powodzenia Sara Bernhardt. Mazela sądziła, że podróż obecna będzie dla niej równie łatwa i pełna miłych wspomnień, jak tamte. Zapomniała, że przybyło jej lat blisko trzydzieści i że wiezie pod swoją opieką nie dzielną Jadwigę, która byłaby zdolna sama świat cały przewędrować, i słodką, uległą Helenę, lecz dziką, histeryczną Wandę i wyczuloną nerwowo Romę.

---

Po kilku tygodniach sumiennej kuracyi, głównie zaś po kilku tygodniach pobytu nad błękitnem, rozszemranem morzem, w słońcu i ciszy, Roma uczuła się znacznie lepiej. Za to Wanda, którą zmiana miejsca na chwilę uspokoiła, po pewnym czasie znów

poczęła doświadczać napadów wewnętrznej rozterki, myśli okrutnych, męczącego rozdygotania całej istoty, szukała więc nowych wrażeń, zmiany otoczenia, wyrwała się z zakładu bez Mazeli i tułała gondolą po Wenecyi, wysiadała na placu świętego Marka, wchodziła w mroczne wnętrza świątyni lub pałacu dożów i tam przed dziełami sztuki, przed pamiątkami wydarzeń dziejowych znajdowała na kilka godzin ukojenie wewnętrzne, by potem zapadać w tem większą wichurę udręczeń.

Czasami wyciągała z sobą Romę, by dzielić się z nią swymi zachwytaami nad oglądanymi cudami arcyzmu.

Próżno Mazela buntowała się przeciwko tym wycieczkom bez jej opieki, które były podług niej wysoce niestosowne, a mogły być i niebezpieczne. Wanda tak zręcznie umiała zmylić czujność Francuzki, że niemal codziennie wymykała się bez niej z zakładu.

Pewnego popołudnia we dwie z Romą przebiegały po raz dziesiąty kościół świętego Marka, zajęte podziwianiem jego piękności, i nie zauważyły, że chodzi za nimi trop w trop, przygląda im się uważnie, a nawet przysłuchuje ich rozmowie mężczyzna dwudziestokilkoletni, dość niedbale odziany w czerwoną koszulę, wytartą kurtkę i filcowy pomięty kapelusz. Jasne, długie włosy, odrzucone z czoła, niebieskie, marzycielskie oczy i blada, niemal przezroczysta twarz, okolona jasnym zarostem, świadczyły o północnem pochodzeniu człowieka. Chodził już dość długo za dziewczętami i przyglądał im się badawczo, zwłaszcza Romie, gdy wreszcie skierowały się do wyjścia, ruszył

za nimi i tuż za progiem podszedł, uchylając kape-  
lusza.

— Przepraszam — rzekł po rosyjsku — wy Ro-  
mana Stefanówna Orlińska z Kazania?

Roma drgnęła, przestraszona zaczepką, lecz w tej  
chwili radosny uśmiech rozjaśnił jej twarz.

— Andrzej Piotrowicz! — wykrzyknęła — wy tu?

— A tak — i oto my znajomi, a nawet śmiem  
twierdzić, przyjaciele z dalekiego Kazania, spotykamy  
się pod włoskiem niebem.

— Jakże się cieszę, jak bardzo cieszę! — mówiła  
dziewczyzna, obejmując serdecznem spojrzeniem ory-  
ginalną postać młodzieńca.

— Poznajomicie mnie może, Romano Stefanówno,  
ze swoją towarzyszką, myślę z krewną, bo całkiem do  
waszego brata, Pawła, podobna.

— Ależ tak, naturalnie, wybaczcie, z radości za-  
pomniałam. Oto, Wando, kolega i przyjaciel Tadeu-  
sza, Andrzej Piotrowicz Zakliczyn z Kazania, częsty  
gość w naszym domu, a zawsze pożądanym. A to, An-  
drzeju Piotrowiczu, moja cioteczna siostra, Wanda  
Julianówna Orlińska.

— Tak my już znajomi — rzekł wesoło młodzie-  
niec i wyciągnął rękę do Wandy — spodziewam się,  
że będziemy przyjaciółmi, jak z Romaną Stefanówną  
i Tadeuszem.

Wanda od pierwszych słów rozmowy nie spu-  
szczała oka z Rosyanina, jego błękitne, jakby prze-  
świetlone uniesieniem duchowem oczy, pełne słodczy  
usta i ten dziwny, trudny do określenia wyraz nie-  
ziemskiej dobroci, który go czynił podobnym do Ta-

deusza, oddziaływały na jej zmęczoną duszę, niby balsam łagodzący. Uścisnęła podaną sobie rękę skwapliwie i rzekła:

— Przyjaciele Tadeusza są moimi przyjaciółmi.

— Wy znaczy jego wielbicielka?

— Czyż można nie uwielbiać takiego człowieka, toż nic w nim nie było ziemskiego!

— Dlatego i umarł, musiał umrzeć, tacy, jak on, jak my wszyscy, z nim poprzyjaźnieni, trudno się z życiem bratają, nadto ono szare i pospolite.

Na bladą twarz wypłynęły mu rumieńce, oczy zaszyły mgłą smutku.

— Jednakże on był silny — rzekła Wanda.

Potrząsnął głową przecząco:

— Miał dość siły, by się przed złem nie ugiąć, lecz za mało, by je złamać i nad niem przejść.

— Wy wiecie coś o jego śmierci?

— Tak, mówili towarzysze.

— Powiedzcie, bo my nic, ani słowa, nawet żadnych domysłów, przypuszczeń. Pewnego dnia przyszła kartka z Warszawy: „Zabrać zwłoki Tadeusza Orlińskiego z prosektoryum i nie dochodzić przyczyny śmierci“. Pojechała jego matka, brat, znaleźli w prosektoryum trupa z małym punktem na skroni, powiedziano im, że został przywieziony z okolicy Łazienek. Kto go zabił, niewiadomo. Zakaz był wyrażny, więc nie badali, cóżby pomogło? A poszliby może wbrew jego woli przedśmiertnej, naraziliby towarzyszy i sprawę. I oto wszystko, nic, ani słówka więcej. Więc jeżeli wiecie cokolwiek, powiedzcie.

Namyślił się chwilę.

— Widzicie, nam, towarzyszom, mówić nie wolno, to wam więc tylko powiem, że stanął w sprzeczności z żądaniem partji, nie chciał postąpić wbrew własnemu przekonaniu i dlatego zginąć musiał.

— Ale kto go zabił? kto?

— Za wiele żądacie, mówić nie mogę, zresztą co wam z tego, sami powiedzieliście: „cóżby pomogło“? Dość, że był człowiek czysty i do kompromisów niezdolny, wolał zejść ze świata, niż pójść wbrew przekonaniu. Tak, tak, Wanda Julianówna, cudny człowiek był z waszego krewniaka i ze czcią go wspominać należy.

— I żał go ponad siły.

— Żał? Nie, nie trzeba takich żałować, dobrze, gdy wcześniej odchodzą, łamią się ciałem, lecz duchem pozostają prości i cali, gdyby żyli dłużej, ciężar istnienia przygiąłby ich ku ziemi, złamał, uczynił trupami żywymi, bo nie umieliby się do żądań ludzkich przystosować.

— Tak, dla nich może lepiej, ale bez nich jakże ciężko żyć!

— Wy może jego narzeczona?

Potrząsnęła gwałtownie głową.

— Ach nie! gdzież ja? Prochubym mu z pod nóg zmiatać nie była godną! Nawet kochaćbym go nie śmiała. On był moim zbawcą, moim wskrzesicielem z upadku i nieszczęścia, on wywiódł mnie na drogę jasną i prostą, gdzie żyć można dobrze i szczęśliwie. Gdyby żył...

Urwała, głos jej się złamał, piersią szarpnęło łkanie.

Andrzej milczał z szacunku dla jej cierpienia. Podjęła po chwili :

— Odszedł — i wszystko dobre się skończyło. Wróciła nędza duszy, udręka i rozpacz. Dziś niema już dla mnie życia, ani szczęścia, jest tylko ból i walka z sobą.

— Duch jego żyje, czyż to wam nie wystarczy?

— Nie mogę dość silnie w to uwierzyć, gdybym była pewna!

— Jakto, wy, obcując z Romaną Stefanówną, z tą przyjaciółką duchów, jakeśmy ją w Kazaniu nazywali, możecie wątpić o życiu pośmiertnem?

— Nie wiem, nic nie wiem! — powtarzała desperacko.

— To źle, jakże żyć z takim niedowiarstwem? My musimy was z Romaną Stefanówną nawrócić.

— Sądzę, że, gdyby jego duch istniał, tobym go czuła przy sobie i nie byłabym tak osamotniona, tak wydana na pastwę własnej duszy.

Patrzył na nią uważnie.

— Rozumiem — rzekł po chwili — brak wam siły woli, żyć możecie dobrze, gdy inna, dobra wola wami rządzi, on ją miał i dlatego was prowadził swoim szlakiem, teraz wy, jak dziecię zbłąkane, opadnięte przez zbójców.

— Tak, tak — potwierdzała — jestem zbłąkana i zmęczona.

— Trzebaby wam znowu pójść pod czyjeś władanie.

Potrząsnęła przecząco głową.



enia. — To niemożliwe, niema na świecie takiego drugiego człowieka, jak on, a innemu poddaćbym się nie mogła.

zyło. — Jednak toby was ocaliło.

alka Ukryła twarz w dłoniach i drżała konwulsyjnie. Spojrzał na nią ze współczuciem.

cza? — Wybaczcie — rzekł ciepło — rozdrażniłem was. Prosty człowiek jestem, nie umiem z ludźmi delikatnie postępować. Ledwie was poznałem i oto już z ta w duszę zaglądam i niepotrzebnem badaniem targam.

wali. — Ona i tak potargana na strzępy — szepnęła Wanda rozedrganym głosem.

espe. — Zapanować nad sobą trzeba, oddalić myśli bolesne, dobremit się uspokajać. Ot my będziemy wspominali z Romaną Stefanówną dawne czasy kazańskie, to was może rozweseli.

m go Podniosła ku niemu twarz nagle rozjaśnioną.

, tak — Tak, tak, wspominajcie — prosiła — mówcie o Tadeuszu, wyczarowujcie pamięć jego z minionych rzeczy, to będzie dobra chwila.

wam — Jakże nam tak pod gołym niebem, na tym placu gwarzyć, jedźmy do domu. Gdzie mieszkacie?

adził — W zakładzie leczniczym na Lido.

opa. Skrzywił się.

kana — Tam dla mnie niedość bezpiecznie i nie radziby widzieli. Jedźcie do mnie, mam izbę własną z pięknym widokiem na morze, oddycha się tam lekko i czysto, a myśli górnienie i pięknie, jedźcie, pogwarzymy przyjacielsko.

Wszedli do gondoli i pojechali.

W drodze Roma zapytała:

— Co robicie w Wenecyi ?

— Chorowałem, trzeba było na południe jechać, a że właśnie w tej stronie mieliśmy pewne sprawy do załatwienia, przyjechałem więc, od dwu tygodni siedzę, morskie powietrze wdycham, na słońcu się wygrzewam, gruźlicę potrochu dławię i czekam na kogoś, z kim mam ważne sprawy do załatwienia, jak skończę, wrócę do Kazania.

— Więc wy tam zawsze ?

— I tam i gdzieindziej, jak się zdarzy, jak trzeba. Ot, człowiek żyje, jak ptak, wysoko, wysoko nad ziemią się unosi, dalekie widnokręgi widzi, a ziemia i jej sprawy obecne maleją mu w oczach, nie rozkocharuje się w nich, życia im nie daje, woli je nieść w ofierze dniom nowym, które przyjdą, które przygotować trzeba.

— Czyż przyjdą? — odezwała się wątpiaco Wanda.

— Wy w nic nie wierzycie, jakże wam żyć ?

— Takie też to i moje życie! — westchnęła.

— Najgorzej pozwolić sobie na zwątpienie o własnej duszy, to gubi, a po cóż gubić się dobrowolnie? Rozłożyła bezradnie ręce.

— Nie mogę się opanować, huragan w duszy, żyć źle.

— Was trzeba uleczyć, ot co! — rzekł stanowczo.

Popatrzyła w jego świetliste oczy, spływała z nich ku niej siła wiary we własną moc, w pewny cel pracy, w dobroć życia przyszłego. Ta siła obejmowała jej duszę, jakby miękkimi, troskliwymi dłońmi, wstrzymywała jej drzenie, wygładzała powierzchnię. Powoli, powoli zapadała w spokój zupełny, w jakiś niby sen

głęboki i krzepiący. Z tem uczuciem uciszenia i pół-świadomości czynów własnych i słów wstąpiła Wanda za Andrzejem i Romą po ceglanych wyżłobionych schodach na wysokie piętro starego, na skraju miasta położonego domu. Andrzej pchnął nabijane żelaznymi ćwiekami drzwi i wprowadził kobiety do obszernej, prawie pustej izby o podłodze i ścianach z cegły, niczem nie osłoniętej. Szerokie okno otwarte wychodziło na morze, płynęła przez nie fala słonego powietrza i gorącego słońca. Wanda doznała wrażenia, jakby ją zawieszono w przestrzeni między błękitem morza i nieba, nie czuła ciężaru ciała, biegu myśli, męki uczuć, była jakby roztopiona w nicości, uciszona na wieki. Siadła przy oknie, położyła głowę na framudze i zapatrzyła się w dal. Obok niej rozmawiali Andrzej i Roma, nie słyszała ich słów, nie zdawała sobie sprawy z miejsca i czasu. Pierwszy raz od śmierci Tadeusza czuła się bezwzględnie szczęśliwą. Jak długo to trwało, nie umiałyby powiedzieć, otrzeźwil ją chłodny powiew od strony morza, drgnęła i podniosła głowę, zdawało się jej, że ocknęła się z mocnego snu bez marzeń, mrugała powiekami, przecierała oczy i uśmiechała się radośnie, przeciągając leniwie członki. Otrząsnęła się rzeźwo i wstała.

— Pysnie odpoczęłam — rzekła — teraz trzeba nam jechać do domu.

Andrzej popatrzył na nią ze zdziwieniem.

— Wyście nie słyszeli naszej rozmowy, prawda?

— Ani słówka, ale tak mi było dobrze.

— Jak się wam zmieniła twarz, macie tyle pogody w spojrzeniu i woli w ustach.

— Bo też jestem tak silna i wesola, jak dawno nie bylam.

Nagle zdziwila sie.

— Ale skad sie to wzieto?

— Co? — zapytal.

— Ten dziwny spokoj we wnie i ta sila. Tam na placu, gdy z wami rozmawialam, jeszcze mi sie dusza targala okropnie, a teraz ani sladu tego.

— Moze cisza mej izby, moze ten plomienny rozlegly widok...

— Moze... ale nie, ja juz tu weszlam odmieniona. Nie pojmuję, skad sie to wzieto i tak nagle?

Zadumala sie z palcem na ustach, jak male zamyslone dziecko. Rozesmiala sie wesolo, swobodnie:

— Ach, mniejsza o to! Dobrze mi jest, i po coz mam sie męczyć myślami? Jechać trzeba, słońce chyli się ku zachodowi. Spójrzcie, jaki cudny, krwawy odblask na morzu.

Podbiegła do okna, przechyliła się przez nie i radosnymi oczyma chłonęła czar zjawiska.

— Trzeba wracać — przypomniała Roma.

— Tak, tak, trzeba, do widzenia wam, Andrzeju Piotrowiczu, jakże szczęśliwie, że was poznałam, zobaczymy się wkrótce.

Wyciągnęła do niego rękę, on uściśnął ją silnie i podniósł ku dziewczynie jasne oczy. Znowu doznała wrażenia, jakby spływała z nich ku niej dobroczynna moc, stała chwilę, przejęta niezwykłą rozkoszą, ubezwładniona, nieświadoma rzeczywistości. Uśmiechnął się do niej serdecznie, puścił jej rękę i zwrócił się do

Romy. Wówczas Wanda wstrząsnęła się radośnie, jak wróbel po kąpieli, i poszła ku drzwiom.

---

Andrzej siedział w oknie swojej izby na tle błękitu, oblany promieniami słońca, wprost niego Wanda przysiadła bokiem na krzeselku, wsparła łokcie na poręczy i, zapatrzona w oczy rewolucjonisty, słuchała w skupieniu słów jego.

— Nie mógłbym najadać się do syta, wysypiać wygodnie, pracować umiarkowanie, kosztować uciech życia z poczuciem, że setki i tysiące mrą z głodu, pędzą noce na mrozie pod gołym niebem, upadają pod jarzmem pracy, nie znają, co to śmiech, wiodą istnienie ponure i bolesne, i to nie z własnej winy, nie z braku sił fizycznych lub umysłowych, lecz z powodu ucisku silniejszych, niesprawiedliwego układu stosunków społecznych. Złamałoby mnie takie poczucie, gdybym się nie starał zaradzić złemu. Wiem, że morze krzywdy jest wielkie, że nasza praca, to sypanie tam z piasku przez drobne dzieci, aleć nawet taka praca może pohamować tak wielką krzywdę, może zatrzymać jej rozlew i odepchnąć wstecz, może osuszyć całe wybrzeże. Wiem, że nie dziś i nie jutro dokonamy dzieła, że będziemy ginęli pokoleniami, zanim przyjdzie upragniony dzień sprawiedliwości. Wiem, że ci, o których wyzwolenie dzisiaj walczymy, staną się tyranami, gdy dojdą do władzy, i zgnębią dzisiejszych swych tyranów, ale wówczas my obrócimy się przeciwko nim, bo zadaniem naszym walka z wszelką

przemocą i krzywdą. My nie chcemy dla siebie ni bogactwa, ni władzy, ni sławy, wojujemy tylko dlatego, że dusze nasze nie mogą znieść cierpienia ludzkiego.

Wanda zaśmiała się.

— Jakto, sądzicie więc, że uda się wam zgładzić cierpienie z powierzchni ziemi? Małoż poza głodem, nędzą, przepracowaniem cierpień ducha i ciała, na które niema lekarstwa?

— Tak, póki świat światem, cierpienie będzie, lecz niechże ono nie płynie z niesprawiedliwości ludzkiej.

— Na to niedość jest zmienić ustrój społeczny, trzeba zmienić dusze ludzkie.

— To też one się zmieniają, wydoskonalą, nie będą znały bólu naokół siebie, lecz dobro i radość. Cierpienie pochodzić będzie tylko z chorób, kalectw, powikłania spraw uczuciowych, bez winy czyjejkolwiek. Takie cierpienie znieść łatwo, bo nie budzi oburzenia i odrazy. Nieszczęście — i nic więcej, a w nieszczęściu jest pierwiastek piękna, które podnosi duszę, raniąc ją.

— Jednakże ja buntuję się przeciw swemu cierpieniu, któremu nikt nie jest winien, nie podnosi ono mojej duszy, lecz ją pograża w coraz mroczniejszej otchłani, zaczynam nienawidzić siebie i wszystkich.

— Bo dusza twoja nie jest doskonała i dlatego nie spogląda jasno na swą mękę.

— Pomagał mi w tem Tadeusz, i za jego życia dźwignęłam się z upadku, kochałam wszystkich i by-

łam dobra, a gdy odszedł, skończył się stan błogosławiony, znów zapadłam w ciemność.

— Niedość jeszcze byłaś silna, by żyć o własnych siłach, gdyby z tobą został czas dłuższy, możebyś osiągnęła dostateczny stopień udoskonalenia i już nie pod wpływem jego woli, ale z własnego, samorodnego poczucia, oceniłabyś sprawiedliwie swoje cierpienia.

Wanda zamyśliła się głęboko.

— Tak — zaczęła mówić po chwili — przeceniłam wówczas swoje siły, mówiąc mu, że może już odejść, a teraz mi źle.

Nagle potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, właściwie teraz, w tej chwili, od dnia wczorajszego, gdy was spotkałam na placu świętego Marka, już mi źle nie jest. Doznaję zupełnego uciszenia wewnętrznego, mogę myśleć jasno i czuć dobrze, widocznie siła waszej duszy oddziaływa na mnie tak zbawiennie. Gdybyście mi zechcieli dopomódz, tak jak Tadeusz...

Twarz Andrzeja rozbłysła szczęśliwym uśmiechem, zeskoczył z okna i podszedł do Wandy z wyciągniętą dłonią.

— O Wando Julianówno! — zawołał radośnie — jeśli tylko sądzisz, że mogę ci być użytecznym, uczynię dla ciebie wszystko, co zechcesz. Wszak wielkiem szczęściem jest nieść ulgę cierpiącemu człowiekowi!

— Zatem pozwólcie mi obcować z sobą jak najwięcej, mówcie mi o tem, co kochacie i dlaczego żyjecie, sąccie w mą duszę waszą wiarę i waszą miłość, a może pod wpływem tej siły, która na mnie

działa tak cudownie, umysł mój i serce nasiąknie całkowicie treścią waszej duszy, jak roślina sokami ziemi, i wówczas będę miała po co żyć, pracować i czem się cieszyć.

— Ja kocham wszystkich ludzi i swoją ideę, a ty, Wando Julianówno, inne może masz zadanie do spełnienia na ziemi, może masz obowiązki rodzinne, narodowe.

— Mam dziecko, ale nie umiem go kochać, gdyż nie jest zrodzone z miłości, przypomina mi mój upadek i tem od siebie odpycha. Gdy Tadeusz żył, umiał we mnie wzbudzić dla tego maleństwa silne uczucie, gdy jednak odszedł, uczucie to ustąpiło miejsca niechęci, widocznie więc nie było słuszne lub nie przenikło dość głęboko w moje serce.

— Ja ci o miłości dla jednej istoty ludzkiej, choćby nią nawet było dziecko rodzone, mówić nie będę umiał, bo jej nie znam, nie wyobrażam sobie nawet. Jestem sierotą, kobiety nie kochałem nigdy, wszyscy ludzie są mi braćmi, i dlatego nie wiem, jaką jest miłość dla jednego. Może zatem lepiej będzie, gdy się rozejdziemy, tobie należy wrócić do dziecka, jak każdej matce, mnie do swoich spraw.

— Nie mogę postąpić wbrew sercu, to mi nie da spokoju, to będzie budziło wieczny bunt i wieczną walkę w mej duszy, a ja nie mam już sił tak dłużej żyć. Mówcie mi więc o waszych ukochaniach, uczcie waszych pragnień, może mi one dadzą spokój i szczęście.

— Jakże walczyć o krzywdę innych, gdy się samemu krzywdę wyrządza? A wszakże krzywdą będzie dla twego dziecka, gdy je porzucisz?



— Nie, mojemu dziecku lepiej beze mnie, ma przy sobie kobietę, która je kocha, jak rodzone, i dla niego tylko żyje.

— Któż to taki?

— Moja siostra.

— Jesteś pewna, że zawsze kochać je będzie?

— O tak, to głębokie i stałe serce, stworzone do miłości macierzyńskiej, nic w niem samolubstwa, ni pychy.

— Ha, skoro tak, przyjmuję pracę apostołską nad tobą! — rzekł napół żartobliwie — nie wiem tylko, czy pójdziesz za głosem moim.

— Widzicie — tłumaczyła Wanda — w was, tak jak i w Tadeuszu, jest dziwna siła, która mnie ujaźmia, pod jej wpływem każde wasze słowo wnika głęboko w moją myśl i pozostaje w niej, jak wryte, serce rozszerza się i chłonie podawane mu uczucia, by je przyswoić sobie i zatrzymać. To zupełnie jakby jakiś prąd leczący odnawiał zwoje mego mózgu i komórki nerwów.

— Tak, jesteś istotą chorą, która podlega sile hipnotycznej pewnych ludzi; czemu jednak właśnie Tadeusz i ja, dwaj przyjaciele, dwaj słudzy jednej idei, zdobyliśmy ten wpływ na ciebie?

— Widzisz, ja sądzę, że zjawiska psychiczne ściślej łączą się z fizycznymi, niż przypuszczamy, po prostu nie dadzą się jedne od drugich oddzielić. I tak dusza moja, spragniona bezwzględного dobra, podlega swymi organami, którymi są nerwy i mózg, wpływowi tylko duchów bezwzględnie czystych, a takimi właśnie jesteście wy dwaj.

— Ach, Wando Julianówna, skądże ja? Tadeusz może, to był niezwykle człowiek, ale ja, taki sobie zwyczajny, gruźliczny, słaby człeczyzna, skądżeż ja miałbym posiadać jakąś wyjątkową czystość ducha? Przesadzasz w uniesieniu zachwytu, jakiego medium może doświadczać dla swego hypnotyzera, zresztą mimowolnego!

— Wasza skromność jest najlepszym dowodem waszej doskonałości. Ludzie pyszni są zawsze ułomni.

— Nie mów tak, proszę, sprawiasz mi przykrość, upokarzasz we własnem poczuciu — prosił z żywymi rumieńcami na bladej twarzy, a wyraz silnej przykrości omroczył ją.

— Widzicie, to, co sprawia przyjemność zwykłym ludziom, dla was jest przykrością, oto jak wysoko stoicie ponad innymi.

— Jeżeli nie przestaniesz mówić o mnie, wyjdę stąd — groził, uśmiechając się przez łunę wstydu.

— Wybaczcie. Niewdzięczna jestem, zaraz na wstępie dotknęłam was niemile; obiecuję strzedz się tego nadal. Skoro chcecie, mówmy o innych sprawach.

— Tak, mówić wam będę o zmróku nizin, których nie znacie, o upodleniu dusz ludzkich, o gwałtach i przemocy. Będę was prowadził po tem piekle ziemi, którego przepastna głąb ściska serce bólem, gniew w niem budzi i pragnienie walki. Mówić wam będę o wysiłkach, czynionych przeciw złym mocom, o trudach ofiarnych, o krwi przelanej, o niestrudzonych, cierpliwych działaniach, o ponoszonych mękach, o szczęściu cierpienia dla sprawy. Mówić wam będę

o zdradach towarzyszy, o godzinach zwątpień i upadku, o wyczerpaniu zupełnem myśli i uczuć, o zbłąkaniu pośród dróg krętych i rozstajnych, o pokusach spokoju i odpocznienia, o tem wszystkim, co hartuje duszę i w zbroicę stalową ją okuwa. A gdy przejdziecie wszystkie niziny, wszystkie wąwozy i wszystkie szczyty, gdy wam dusza nie omdleje ze zgrozy, z lęku, z niemocy, wówczas zapytam was, czy chcecie iść ze mną na drogę bojowania, czy chcecie życie ponieść w dani służbie dla lepszej przyszłości, czy gotowi jesteście na męki, na doświadczenia, na nędzę i tułaczkę, czy się wyrzekacie swego domu i swojej rodziny, by pracować dla bezdomnych i opuszczonych, czy bez żalu odwrócić głowę od dnia dzisiejszego, by utkwic oczy w dniu jutrzejszym, czy jesteście dość pewni swych pragnień i swych sił.

— Pragnęłabym wam odpowiedzieć: tak.

— Nie wmawiajcie sobie nic naprzód, niech przemiana waszej duszy odbywa się samodzielnie, bez wpływu waszej woli, ni pragnienia. Wówczas tylko będzie mogła stać się prawdziwą i zupełną.

— Możecie być spokojni, zbyt wiele się namęczyłam, by nie mieć dość nieufności do wszelkich działających na mnie wpływów; jeśli wam mówię o ukojeniu, którego w waszej obecności doznaję, to możecie być pewni, że mówię szczerze, na podstawie dokładnego zbadania swego stanu, i jeśli pewnego dnia powiem wam, że pragnę pójść i pracować z wami, to uczynię to również z głębokiego przeświadczenia, że tak będzie dobrze.

---

Po kilku tygodniach lekarz zakładowy, dokonawszy badania Wandy, winał jej gorąco znacznej zmiany na lepsze, jaka nastąpiła w stanie jej zdrowia.

— A co, widzi pani! — tryumfował — nasza kuracya zawsze pomaga, tylko czekać trzeba cierpliwie, a pani już zaczęła wątpić o jej skuteczności, tymczasem dzisiaj jesteśmy na dobrej drodze, i za kilka tygodni będę mógł panią wyprawić do domu zupełnie zdrową i zdolną rozpocząć normalne życie. Czego jednak dokazać może umiejętne zastosowanie kuracyi!

Wanda uśmiechnęła się pobłażliwie, jej lekarzem był ten wzniosły marzyciel rosyjski, lecznicą — zalana słońcem izba między błękitami, kuracyą — spędzane tam godziny na długich rozmowach wciąż o jednej sprawie i jednym ukochaniu, a zawsze porywających duszę w zaświaty. Przestała się męczyć, przestała stwarzać okropne kombinacye myślowe, podobne do kłębów poplątanych węzów, przestała rozgoryczać serce uczuciami nienawiści, odrazy, gniewu, czuła w mięśniach siłę, w głowie ład i jasność, w sercu dobroć. Wszystkie jednak myśli i uczucia skupiała na sprawach, które były treścią myśli i uczuć Andrzeja, to, co było poza niemi, nie obchodziło jej zupełnie. Orlińce, dziecko, rodzina, przeżyte cierpienia i radości, cała jej przeszłość zapadła się w przepaść niepamięci, nie wypływała nigdy na powierzchnię świadomości Wandy, przestała dla niej istnieć. Dusza jej była jakby dopiero poczęta w Wenecyi, w chwili poznania Andrzeja, pod jego wpływem zrosła i ukształtowana, życiem jego duszy tylko żyć zdolna. Jak in-

strument, który pod ręką mistrza cudne wydaje dźwięki, a sam, porzucony jęczy dziko i boleśnie, targany uderzeniami bijących w niego wichrów. To była taka dusza kaleka, która sama o własnej sile i dla własnych spraw istnieć nie może. Pojął to Andrzej i dlatego nie odpychał garnącej się do niego kobiety, nie wskazywał jej ścieżek, po których wedle przyrodzonych obowiązków kroczyć winna, bo nie znał ich, nie kochał i nie umiał o nich mówić, lecz wiódł ją za sobą po swojej drodze, pewny, że uczyni z niej pracownicę pożyteczną, ofiarną i szczęśliwą.

---

Ludzie, pogrążeni w szczęściu, oderwanem od rzeczywistości, zapominają, że ta rzeczywistość prędzej czy później upomni się o swoje prawa i szczęście ich przerwie lub zmąci. Tak było i z Wandą, wśród cudnych chwil, spędzanych przy boku Andrzeja, zapomniała, że nadejdzie chwila, w której każą jej wracać do Orliniec, i nie zastanawiała się, co wtedy uczyni.

A chwila owa nadeszła.

Roma już od dłuższego czasu czuła się dobrze i tęskniła za matką, z którą pierwszy raz w życiu na tak długo się rozłączyła, Wanda skończyła również kurację ze świetnym rezultatem, ku wielkiemu zadowoleniu lekarza, Mazela znów ze swej strony była rozstrojona podrzędnem stanowiskiem, na jakim ją postawiły samodzielne pupilki, a zwłaszcza Wanda, każdy dzień sprowadzał jej nową zgryzotę i zgorzelenie, to też marzyła o powrocie do przytulnego po-

koiku w Orlińcach, gdzie za nikogo nie była odpowiedzialna i niczyją samowolą nie potrzebowała się martwić. Pani Jadwiga coraz częściej wspominała w listach o tęsknocie za córką, o pragnieniu jej powrotu, jeśli stan kuracyuszek nie staje temu na przeszkodzie. Wreszcie pewnego dnia przyszedł do niej list decydujący. Donosiła, że w ostatnich dniach kwietnia ma się odbyć w Wiedniu pierwszy koncert Pawła, pragnęłaby więc bardzo, aby w dniu tym miał przy sobie kogoś z bliskich, aby niektórzy przynajmniej członkowie rodziny byli obecni tak doniosłemu wypadkowi, aby zatem, o ile naturalnie lekarz na to pozwoli, Mazela z pupilkami postarała się wyjechać z Lido przed terminem koncertu, by móc nań zdążyć do Wiednia.

Mazela odetchnęła z ulgą: nareszcie kończą się jej trudne i niewdzięczne obowiązki, może wracać do domu i oddać w ręce pani Jadwigi pupilki zdrowe i całe. Roma aż klasnęła w ręce na wiadomość o wyjeździe i projekcie zatrzymania się w Wiedniu na koncercie Pawła. Tylko w oczach Wandy odbił się niepokój, czemp prędzej więc pobiegła ku wybrzeżu, siadła do gondoli i kazała się wieźć do Andrzeja.

— Jedziemy! — rzekła, wchodząc do jego izby. Wstał z przed okna, przy którym pisał.

— Skąd wiesz? — zapytał zdziwiony.

— Ciotka pisała.

— Jakto?

— No jakto? Ciotka Jadwiga pisała z Orlińiec abyśmy już wracały, bo w tych dniach ma się odbyć w Wiedniu koncert Pawła, na którym chce, abyśmy były.

— Więc chcesz wracać z niemi?

— Nie chcę, o nie chcę, to przecież straszne!  
znowu ta dawna męka!

— Czemuż jedziesz?

Patrzyła przez chwilę na niego szeroko otwartemi oczyma, z zapartym oddechem. Naraz radość opromieniała jej twarz.

— Andrzej, tybyś mi pozwolił zostać z sobą?

— Sądziłem, że dawno powzięłaś zamiar jechania ze mną do Rosyi.

— Nie zastanowiłam się nad tem, ale skoro mi pozwalasz, o Andrzej, czyż może być dla mnie większe szczęście? Ciągle z tobą, ciągle spokojna, ciągle przy pracy, z dobrymi uczuciami i pięknymi myślami. Takie wielkie szczęście!

Ścisnęła dłońmi skronie i patrzyła mu w oczy z uśmiechem upojenia.

— Czy tylko nie pożałujesz tego kiedyś?

— Chyba, gdy mnie odtrącisz od siebie, gdy porzucisz gdzieś w świecie na pastwę niepokoju, który mnie dręczył.

— Dobrowolnie tego nie uczynię, lecz moje życie, Wando, nie jest pewne, mogę w każdej chwili być zastrzelony, jak szkodliwy pies, mogę umrzeć na gruźlicę, mogę w najlepszym razie dostać się do więzienia, wówczas zostaniesz sama.

— Wówczas pójdę za tobą, jużbym nie przeżyła śmierci drugiego swego zbawcy, wiem, jakie to okropne,

— Jak chcesz, obiecuję ci moją opiekę dopóki będę żył i dopóki będę odpowiedzialny za siebie, resztę trzeba zostawić losowi.

— Zatem zostaję tu z tobą?

— Nie, jedziesz ze mną do Rosji jutro w południe. Już załatwiłem dzisiaj sprawę, na którą czekałem, i właśnie, gdyś weszła, pisałem do ciebie list z wiadomością, że wyjeżdżamy, dlatego to, sądziłem w pierwszej chwili, iż cię przywiodło przecucie.

— Jedziemy, jedziemy jutro, razem z Andrzejem — powtarzała niby przez sen, a oczy jej pełne blasku biegły hen w błękity.

— Przyjedź wprost na dworzec, tam będę czekał na ciebie.

— Dobrze, przyjadę.

— Gdybyś jednak w ostatniej chwili uczuła trochę żalu za swoimi, zostań, gdyż ta kropla żalu rozlałaby się potem w morze tęsknoty i byłoby ci źle. Możesz odjechać tylko z zupełną radością.

— Ach, Andrzej! Z jak olbrzymią, bezgraniczną radością, przecież to dla mnie wyzwolenie, jedyna możliwość życia, jedyne szczęście!

— Skoro tak, jedź!

Złożyła ręce na piersiach i stała cicha jakby skupiała duszę przed doniosłym wydarzeniem.

— Ta izba — mówiła zwolna — jest jakby zawieszona między niebem i ziemią, i ja przy tobie doświadczam wrażenia, jakbym się unosiła w przestrzeni między błękitami, to jest niesłychana rozkosz, a odtąd ciągle trwać będę w takiej atmosferze błękitnej i słodkiej.

— Tam będzie inaczej, poprowadzę cię w świat krzywdy i walki.



— Tak, wiesz, jednakże przy twoim boku, w pracy nad zniesieniem krzywdy, nad zapaleniem nowej jutrzni będzie mi błękitno i słonecznie.

— Otworzyły ci się oczy na jutrzejszy dzień.

— Widzę twojemi oczyma.

Patrzył na nią oczyma pełnemi współczucia, i w duszy powstawał mu szary obłok smutku nad dolą tej kobiety, która, czując górnie, myśląc wzniośle, stając do ważnej pracy, jest tylko odbiciem jego uczuć, myśli i czynów.

— Tak, to jest tylko narzędzie muzyczne — myślał — ale narzędzie wysoko nastrojone, bo inaczej mógłby na niem wygrywać swe namiętne melode świadomy rzeczy uwodziciel. Jednakże nawet Paweł miał nad nią władanie tylko na krótko, dopiero Tadeusz poruszył wszystkie szlachetnie brzmiące struny w jej duszy i rozdzwonił je tak, że dziś mnie już łatwo wydobywać z nich tony.

Wstrząsnęła się nagle:

— Trzeba wracać do zakładu i przygotować się do podróży, a jutro! jutro! jutro! — śpiewała ten szczęśny dla niej wyraz.

Uśmiechnął się, jak do dziecka.

— Proszę się nie śmiać — rzekła przekornie — bo to będzie wielkie, wielkie święto!

— No, do widzenia, uciekam, bo czas na mnie. Nazajutrz Mazela była rozpromieniona widokiem Wandy, która z niezwykłą u niej wesołością i pracowitością pakowała swoje rzeczy do podręcznego kuferka.

— Jakże się Jadwinia ucieszy — myślała poczciwa Francuzka — gdy jej przywiezę obydwie dziewczyny takie zdrowe i rozpromienione! Namęczyłam się z niemi i nakłopotalam niemało, ale przynajmniej kuracya odniosła pożądane skutki, i nikt nie może mieć do mnie pretensyi o złe wywiązanie się z obowiązków.

— Nie męcz się, Wando — rzekła uprzejmie — ja ci zapakuję rzeczy, wolę sama się potrudzić, byleś ty zdrowa wróciła do domu.

— O, ja już teraz będę zawsze zdrowa, może być Mazela spokojna! — wykrzyknęła Wanda z siłą i zatrzasnęła kuferek, wyładowany rzeczami.

Zadzwoniono na lunch. Mazela poprawiła włosy i, nawołując pupilki, podążyła do jadalni, Roma poszła za nią, a Wanda włożyła kapelusz, zarzuciła płaszcz, ujęła kuferek w rękę i bocznem wyjściem wymknęła się do gondoli.

Tego wieczora Roma otrzymała kartkę treści następującej:

— Wyjeżdżam z Andrzejem, znalazłam przy nim spokój i zdrowie. Proszę mnie nie poszukiwać, ani nie starać się o zwrócenie z obecnej drogi, gdyż to złamałoby mi życie. Dziecko oddaję na zawsze Tonince. Odjeżdżam z radością. Wanda.

Mazela zemdlała. W zakładzie wszczął się rwetes, chciano uwiadomić policyę, zarządzić pogoń za „romantyczną panną“, Roma z niezwykłą u niej energią sprzeciwiła się temu.

— Wanda jest pełnoletnia, i nikt nie ma prawa przeszkadzać jej w postępkach, które uważa za dobre dla siebie. Proszę zostawić ją w spokoju.

Przywrócona do przytomności Francuzica tonęła we łzach, łamała wypieszczone dłonie.

— Jakżeż ja się teraz będę śmiała pokazać w Orlińcach! Powierzono Wandę mojej opiece, a ja się z obowiązku nie wywiązałam! Chyba umrę ze wstydu!

Znowu wystąpiła Roma z perswazyą:

— Wanda nie jest dzieckiem, któreby można trzymać za rękę lub zamknąć na klucz. Mama zna ją dobrze i nie będzie miała do Mazeli pretensyi, bo tu niema jej winy. Jeżeli Mazeli trudno uwiadomić o tem mamę, to zaraz napiszę i obszernie o wszystkim doniosę. Zresztą mama zna Andrzeja, wie, jaki to prawy człowiek, i będzie spokojna o Wandę, skoro jest pod jego opieką.

— Ach, Romciu, czy nie rozumiesz, że to skandal, to hańba dla całej rodziny?

— To najmniejsze!

— Boże! Boże! co się z wami porobiło, z takiej porządnej, z takiej dystyngowanej rodziny, a ciągle skandal po skandalu, mnie wstyd ludziom w oczy spojrzeć, a wy powiadacie: to najmniejsze! — biadała Francuzka.

Roma nie sprzeciwiała jej się, lecz zabiegami pełnymi troskliwości starała się uspokoić wzburzenie i zmartwienie starej kobiety.

W dwa dni później wśród szeptów i zgorszonych spojrzeń całego personelu zakładowego odjechały do Wiednia, nie uczyniwszy ani jednego kroku w celu odnalezienia Wandy.

---

Olbrzymia sala koncertowa wypełniona ludźmi, niby zatoka morska, nalana falami. Złocenia, kryształ, purpura aksamitów, nagie piersi i ramiona kobiece, klejnoty, koronki, jasne barwy sukien, białe gorsy koszul, rozżarzone elektrycznością węgielki w szklanych bańkach, orgia barw i światła.

I szmer, cichy, nieuchwytny szmer oddechów ludzkich, ani jednego oklasku, ani jednego głosu życzliwego.

Artysta występuje po raz pierwszy, słuchacze go nie znają, nie wiedzą o nim nic. Wchodzi na estradę, w głowie ma zamęt, w sercu jakiś tępy, przyczajony lęk.

Oto po raz pierwszy on, władca tonów, on, ich wielbiciel i wyznawca najwierniejszy, on, kapłan misteryum muzycznego, on, głosiciel najsubtelniejszych drgień swej myśli i najpłomienniejszych porywów serca, on, kochanek swej sztuki najmilszy, obcujący z nią w długich godzinach boskiego zachwycenia w bezpośrednim zetknięciu tajni dusz, wychodzi na targowisko świata, by odsłonić tłumom najbardziej obcym tajemniczą zasłonę swego misteryum, by targać i kołysać ich dusze porywami swej duszy, by uczynić ich świadkami swych najśodszych z bóstwem przebywań.

Idzie i drży mu serce żalem, że oto rzucać ma pod obce stopy treść swą najistotniejszą, że z godzin najśodszych uniesień ma uczynić publiczne widowisko. Drży serce odrazą i upokorzeniem i drży także lękiem, że tłum sprofanuje świętość brutalnem rozgrzebywaniem dzieła sztuki, by zbadać ciekawymi

umysłami jego treść, by je rozłożyć na części i każdą krytycznym okiem pod światło obejrzyć, że odmiennie ją pojmie i wytłómaczy, że gadać będzie z popolitością i cynizmem o sprawie dla niego najświętszej, że, kto wie, może pozostanie zimny, nie pojmujący wobec jego wybuchów najszczerzych, wyznań najgłębszych. Idzie pomiędzy członkami orkiestry, mija pulpity i czuje w głowie zamęt, w sercu tępy lęk.

Siadł, położył dłonie na klawiszach i... zapomniał o wrogim tłumie, o cudzej pozłocistej sali, o tysiącach uszu i tysiącach oczu. Zapachniały mu lipy orlinieckie, mignęły przed oczyma białe opary, prześwietlone miesiącem, uczuł na głowie kochającą rękę Toninki, zerwała mu się w sercu olbrzymia, przestódka tęsknota za tą stroną swoją i umiłowaną, za kobietą najbardziej kochającą, za nocami przeczystych z nią bytowań, i popłynęła pieśń, rozkołysana wielkimi chwianiami, niby kolebanie najprzepastniejszych głębin oceanu, tkliwa, niby pieszczotliwe gwarzenie dziecięce, żałosna, niby płacz nieutulony opuszczonej kobiety po dalekim człowieku, płynęła, wypełniała salę po brzegi, aż hen, do stropu, zatapiała tłum, gubiła jego myśli i uczucia własne, pospolite, wyczarowywała z tajni dusz najmniejszych poryw wielki i serdeczne drgnienie, malowała rozkosznymi barwy szare istnienia, wyolbrzymiała drobne ukochania, czyniła z wyłoczonej, banalnej sali świątynię sztuki, w której odbywał się wielki cud, tajemniczy sakrament upięknienia duszy człowieczej.

Skończył, opuścił ręce i siedział cichy, niepamiętny istnienia tysięcznych serc, które wziął we władę

nie. Z głębi sali płynęło ku niemu uroczyste milczenie, ostatnie kajanie się dusz przed czarem melodyi. Lecz oto zatrzepały się oklaskiem radosnej podziękującej pierwsze dłonie, a za nimi rzuciły salwę uniesienia dłonie całego tłumu i, szedł klask po sali, niby złośliwe kłapanie szczęk smoka powszedniej szarzyzny, który swym wstrętnym, dzikim głosem wystrasza zawisły w przestrzeni urok przebrzmiałej melodyi.

Paweł wstał automatycznie, skłonił się głową i siadł z powrotem.

Sala huczała klaskaniem i krzykiem :

— Bis! bis!

Rozśpiewana, uniesiona w zaświaty dusza artysty kurczyła się boleśnie, smagana wrzawą tłumu, położył więc dłonie na klawiszach, by zakłębieniem melodyi uciszyć tę dzicz. I wnet zakrólowały w sali cudne dźwięki. Poszum lip odwiecznych w alei orlinieckiej, głęboka zaduma świątków przydrożnych o naiwnych, grubociosanych twarzach, dostojność owitych bluszczem zwalisk bronowieckiego zamku, rozgwar tajemny boru za kwietną łąką, cała ta piękność swojej ziemi, niewyrażony słowem wdzięk rzeczy rodzonych.

Znowu milczenie, znowu klask i krzyk.

Jakby złośliwy grymas błazna w odpowiedzi anielskiemu uśmiechowi świętego człowieka.

Tak wciąż, wciąż, przez cały wieczór.

Zeszedł Paweł z estrady, wyczerpany ze sił ostatku, miał znowu zamęt w głowie i tępy ucisk w sercu.

Winszowano mu, ściskano za rękę, brano w objęcia, widział w okół siebie rozentuzjazmowane twarze, rozblęśły oczy, uśmiechnięte wzruszeniem usta, mó-

wiono mu rzeczy pochlebne, sypano słowami zachwytu, wróżby świetnej przyszłości, niesłychanego powodzenia. Wymawiał jakieś słowa, wykonywał jakieś ruchy, nieświadom, co mówi i co czyni. Miał ciągle w duszy bolesne wspomnienie zapadania w otchłań brutalnej wrzawy po rozkosznych uniesieniach na falach melodyi. To pierwsze zetknięcie się z tłumem słuchaczy pozostawiło mu wrażenie bicia po głowie. Nie zdawał sobie sprawy, że porwał dusze ludzkie, że je uszczęśliwił i uświęcił, że ma wokół siebie atmosferę wdzięczności i uwielbienia, nie pomyślał, że należy wytworzyć w sobie nastrój władcy serc, mocarza czczonego. To wszystko nie wnikało w głąb jego umęczonych myśli i nie rzucało blasku dumy na czoło.

Był udręczony, obolały, smutny. Wyrwał się z rąk wielbicieli, odmówił zaproszeniom pięknych kobiet, nie chciał wahać dłużej kadzideł, wyszukał w tłumie Mazelę i Romę, jedyne istoty, których obecność nie raziła jego duszy, sprowadził je do karety, odwiózł do hotelu, a potem czemprowadziej wrócił do siebie. Paweł zajmował dwa artystycznie urządzone pokoje przy jednej z bocznych ulic miasta, okna ich wychodziły na ogród, w chwili, gdy wszedł, były pootwierane, i wpływał przez nie świeży prąd wieczornego powietrza, kołysząc lekko firanki. Panująca tu cisza, rozległy widok na drzewa, oblane światłem miesięcznym, obudziły w sercu Pawła jeszcze żywsze wspomnienie Orliniec. Z pośród zmaconych uczuć wybiło się na wierzch silne pragnienie znalezienia się tam w tym umiłowanym zakątku, na balkonie, z Toninką, wtuloną

w fotel i zapatrzoną rozkochanemi oczyma w jego twarz.

Zmęczony, samotny, roztęskniony, padł, jak długi, na otomanę, przylgnął twarzą do miękkiego pluszu i szeptał, dygocząc całym ciałem:

— Żle, źle!

Czuł się taki jakiś biedny, rozbity i rozżalony, jak nigdy w życiu. Zdawało mu się, że, gdyby w tej chwili z miesięcznych blasków wyrosła ku niemu Toninka, siadła na skraju otomany, położyła mu rękę na głowie i przesuwając swe delikatne palce przez gęstwą jego czupryny, to ukojenie napełniłoby mu duszę po brzegi, radość przeniknęła serce, cisza objęła głowę. Tuliłby rozpaloną twarz do tych błogosławionych rąk i szeptał słowa podziękii. Lecz Toninka była daleko, daleko i będzie daleko wciąż, aż po kres dni, a on po każdym koncercie znajdzie w ścianach swego domu pustkę i obojętność, będzie tulił znużone czoło do poduszek otomany i rozdrażniał serce porywem tęsknoty.

Jakiż jego cel?

Sztuka.

Czyż sztuka wymaga samotności i roztęsknienia? czy nie można jej służyć w ciepłe i tkliwości serca kobiecego?

Wszak dzisiejsze jego utwory, którymi uniósł duszę swoją w zaświaty i porwał słuchaczy, powstały częściowo w Orlińcach, na motywie uczuć, tam zrodzonych.

Więc czemu dręczyć się opuszczeniem i tęsknotą, czemu drzeć w chłodzie obojętnych ścian, gdy można mieć wciąż przy sobie istotę niewytkle podniosłą, dobrą,



a przede wszystkim tak bardzo kochającą, która uciszy burzę myśli, ukoji mękę serca pieśzczotą rąk, wyrazami słodyczy? Czemu upierać się przy postawionym z góry postulatcie, wysnutym z teoretycznych rozumowań, bez przeżyć i obserwacji? Czemu psuć rozłąką życie sobie i tej szlachetnej dziewczynie, gdy można być z nią szczęśliwym?

Nie, dłuższe trwanie w osamotnieniu będzie niemożliwe, należy z niem skończyć, jechać natychmiast do Orliniec, połączyć się małżeństwem z Toninką i dopiero pod opieką jej czujnej miłości ruszyć na wędrowkę koncertową po Europie, wskroś brutalnych, niepojętych tłumów. Inaczej zmęczy się dusza szorstkimi zetknięciami z zewnętrznym światem, nie kojona natychmiast pieśzczotą. Ukołysała się myśl szczerem postanowieniem i poczęła szkicować obrazy przyszłych dobrych chwil. Więc w sali, wypełnionej obcym tłumem, w pierwszym rzędzie kochająca twarz, oczy pełne zachęty i tkliwości, na kolanach splecione dłonie pieścące.

Więc potem w ścianach cudzych hotelowego pokoju ukołysanie wzburzonych nerwów, cichy pogwar o rzeczach delikatnych i dobrych.

Więc w godzinie zmierzchu szepty tajemne o pomysłach pięknych, które się na dnie duszy poczynają i krystalizują, o kombinacjach muzycznych niezwykłych i harmonijnych.

Więc wspólna radość z dzieł nowych, wypieszczonych, wycieniowanych, wspólne nad nimi rozmyślanie i uwagi.

Więc wzajemne ukazywanie sobie w otaczającym świecie przejawów ciekawych i ślicznych, które duszę zachwycają, serce żywym tętnem kołyszą.

Więc wspomnianie przeżytych wrażeń, orliniekich zakątków drogich, uniesień rozkosznych we wspólnem obcowaniu. Całe przepastne morze dobra, piękna i wesela.

Zerwał się z otomany i chodził po pokoju w radosnem podnieceniu, zbliżył się do okna, objął spojrzeniem oblaną księżycem gąszcz ogrodu, naraz wyciągnął z uniesieniem ręce przed siebie i wykrzyknął z głębi serca:

— Idę, Toninko, idę po ciebie!

---

Tchnienie ziemi przeniknęło całą istotę Pawła, znikło gdzieś bez śladu podniebne szybowanie wczorajsze, zatarła się uraza do tłumu za wrzaskliwe mącenie nastroju, przepadło poczucie opuszczenia. Mieszkanie zasypano mu kwiatami i laurowymi wieńcami, od rana dźwięczał dzwonek w przedpokoju, zwiastujący wizyty wybitnych osobistości ze świata sztuki, literatury i melomanii, wysłańcy prasy z notesami i aparatami fotograficznymi cisnęli się tłumem.

Paweł z miną sztucznie obojętną, wewnątrz chłopięco rozradowany, przyjmował gości uprzejmie, lecz bez skwapliwości, odpowiadał na pytania z pewnem ociąganiem, niechętnie siadał przed aparatem, drożył się z sobą.

— Znać wielkiego artystę! — szeptano na schodach.

— Tak, nic z parweniuszowskiej pyszałkowatości, prawdziwy arystokrata ducha.

Do południa miał zamówiony cały szereg koncertów we wszystkich stolicach Europy. Jako ostateczny termin, podawał lipiec.

— W lipcu muszę jechać do kraju, do rodziny na odpoczynek.

Mówił bez tęsknego porywu serca, mówił tylko dla uszu ludzkich, jako objaw drożenia się ze swoją osobą, a nie w odpowiedzi na domaganie się własnych uczuć o pokarm dla nich.

Zapomniał o nocnych postanowieniach, o lęku wobec samotnej wędrowki po świecie. W tej chwili czuł się otoczonym, podziwianym, i duma rozpierała mu serce. Pod wieczór wędrowka wielbicieli przerwała się, Mazela z Romą, nie mogąc się docisnąć do „sław nego artysty“, uszczęśliwione jego powodzeniem, parte chęcią co rychlejszego podzielenia wrażeń z panią Jadwigą, wyjechały do Orliniec. Paweł został znowu na chwilę sam. Nie doznawał jednak wczorajszego przygnębienia i pustki, przeciwnie, czuł się władcą i magiem, czuł się szczytem, opromienionym słońcem chwały wśród nizin ludzkich, nie pragnął tulić się w dziecięcym spłoszeniu do opiekuńczych rąk, lecz pragnął widzieć u stóp swych schyloną uwielbieniem głowę i oczy, wzniesione ku sobie z lęklwym zachwytem.

Nie Toninka, zawsze kochająca i pełna czci, spływała ku niemu z promieni miesiąca, lecz zastępy

kobiet pięknych, dumnych, obojętnych, które dotąd nie знаły go z imienia i nazwiska, nie spostrzegały na ludnych ulicach miasta, witały szyderczym spojrzeniem, gdy wstępował wczoraj obcy i początkujący na deski estrady, a dziś stały mu pod stopy kobierzec z pachnących bujnych włosów, chyliły nisko harde głowy, rozchylały uniesieniem szyderskie usta i z pełną trwogi pokorą patrzyły w jego oczy.

A on brał w objęcia te przecudne postacie kobiece, obdarzał łaskawie przelotną, bezduszną pieśczęcią i obojętny, chłodny, wyniosły odrzucał, garzące się do stóp, by pójść tam, gdzie był tron jego i królowanie, gdzie szczęście największe i szczyt życia, do fortepianu.

Wstał z otomany, zapalił lampę, osłoniętą różowym jedwabnym abażurem, i w tej jufrznianej poświecie, upojony zapachem kwiecia, zapelniającego pokój, rozkołysany hymnem pochwalnym świata, począł snuć pieśń tryumfalną i dumną. Dźwięk dzwonka w przedpokoju zmącił mu nastrój. Do pokoju wszedł wyfraczony lokaj z olbrzymim snopem białych róż w rękę i z kartą wizytową.

— Pani hrabina czeka w karecie i pyta, czy pan przyjmuje? — rzekł, podając kartę.

Z białego welinu wyjrzało ku Pawłowi nazwisko Ilzy hrabiny Waroczy, a wraz postać jej smukła, świętna, bosko-piękna mignęła przed oczyma jego.

Znał z łóż teatralnych tę niezwykłą kobietę, słyszał opowiadaną w świecie artystycznym ciekawą historyjkę jej życia, i oto ta niedostępna, jak lód zimna

i jak śnieg biała, rzucała mu do stóp pęk kwiecia i zapytywała uprzejmie :

— Czy zechce ją przyjąć?

— Proszę — rzucił krótko lokajowi.

Wyfraczona postać, złożwszy róże na stoliku, znikła za drzwiami.

Paweł zanurzył twarz w snopie kwiecia, z którego płynęła woń tak odurzająca, jak odurzająca była piękność kobiety, która je przysyłała.

Najpiękniejsza kobieta w monarchii austriackiej, a może w Europie, jedyna piękna kobieta, która nie miała kochanka, będąc wdową od lat kilku. Byli sceptycy, którzy nie chcieli wierzyć tej opinii, i wskazywali oczyma na Burg ze słowami :

— Jej kochanek stoi tak wysoko, że o nim nie wolno wiedzieć.

Ale to było plotką, opartą jedynie na braku wiary w cnotę pięknej kobiety.

Do niezwykłej urody, niezwykłej czystości przyłączyła się trzecia niezwykłość: jej pochodzenie. W dzikich górskich ostępach wynaleziona młodziutkiem dziewczęciem przez bogatego magnata-artystę, przywieziona przezeń do jego rodzinnego zamku na Węgrzech, u brzegów Dunaju, otoczona zastępem wyborowych nauczycieli, otrzymawszy staranne wychowanie, w siedemnastej wiosnie życia zaślubiła swego opiekuna. Odtąd stała się nierozłączną towarzyszką młodego pana, jedyną modelką do jego obrazów, których kilka niezwykłej piękności zdobiło ściany zamku węgierskiego i pałacu w Wiedniu, nie wyzierając nigdy na świat szeroki. Jak sen, minęło pięć lat cudnego

pożycia, jak grom, spadła śmierć hrabiego. po kilku dniach zapalenia mózgu. Młoda wdowa została sama i samą być odtąd pragnęła. Ukazywała się w świecie niewiele, tylko w teatrze i na koncertach, życie towarzyskie wykreśliła prawie zupełnie z programu swych dni, odwiedzała jedynie rodzinę męża. Rój wielbicieli, jak za życia hrabiego, tak i teraz spotykał się z chłodną pogardą. Próżno czyniono zakłady o zdobycie pięknej hrabiny, próżno przesadzano się w hołdach i zabiegach, wszystko napróżno.

Ilza była zimna, jak lodowce jej gór, i biała, jak ich śniegi.

W przedpokoju zaszumiały suknie, Paweł postąpił kilka kroków naprzód i zatrzymał się na środku pokoju; we drzwiach stanęła Ilza. Była odziana w błękitną aksamitną suknię, z długim trenem, oszytą sobolami i białą koronką u obnażonej szyi, koronkowy szal spływał z jej ramion, olbrzymi błękitny kapelusz z białym strusim piórem rzucał cień na podłużną twarz o niezmiernie subtelnem zabarwieniu i niezwykle czystych liniach; orle, brązowe oczy, pod łukami brązowych brwi, spoglądały prosto w twarz Pawła bez lęku i pokory, lecz z zachwyceniem.

— Pan ma prawdziwie artystyczną duszę — rzekła melodyjnym głosem, który przypominał szklany dźwięk spadającego po gładkich strumienia.

— W panu niema nic z pospolitego człowieka. Dopiero drugą taką duszę spotykam w życiu, pierwszą posiadał mój mąż.

— Pani hrabina spocznie — rzekł zmieszany, podsuwając jej fotel.

— Dobrze, ale niech pan siądzie także, chcę na niego patrzeć. Pan nie jest piękny fizycznie, ale piękność duszy pańskiej wyziera z jego oczu, i to mnie czaruje.

Patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu swym jasnym wzrokiem. Nie mówił nic, przejęty do głębi niezwykłym zachowaniem się młodej kobiety i jej magnetyzującą pięknnością.

— Niema cenniejszego klejnotu na świecie, jak taka dusza — zaczęła znowu — z niej płynie najwyższe szczęście dla ludzi, bo prawdziwe piękno, absolut piękna. Mój mąż malował najpiękniejsze obrazy na świecie, nie chciał ich jednak pokazywać ludziom, by nie sprofanowali piękna niezrozumieniem, pan gra najpiękniejsze melodye pod słońcem i drży boleśnie pod brutalnem dotknięciem zachwytów tłumu, wyczytałam to z pańskiej twarzy. Pan nie dlatego tworzy piękne melodye i tak cudnie je wykonywa, by zaimponować tłumowi lub nim zawładnąć, lecz dlatego, że taki jest nakaz pańskiej duszy, jej potrzeba najpierwsza i szczęście najwyższe. Pan jest równie prawdziwym i wielkim artystą, jak mój mąż, tylko pan ma więcej odwagi i dlatego nie kryje przed tłumem tworów swej duszy, choć ukazywanie ich jest dla niego męką. To jest czyn bohaterski.

Znowu umilkła, nie spuszczać oczu z twarzy Pawła, i znowu dźwięczała słowami kryształowemi:

— Ja nie jestem artystką czynu i nie mogę uszczęśliwiać ludzkości przejawami piękna, ale mam ciało piękne, jak najpiękniejsze dzieło sztuki, i niem mogę dawać szczęście rozkoszy. Dla mego męża było ono

źródłem natchnienia, od chwili, gdy odszedł, przekwita, jak róża za murem klasztornym, bez rozkoszy dla oczu ludzkich, bo jest we mnie lęk oddania go tym, którzyby sprofanowali jego piękno niezrozumieniem. Pan jest pierwszym człowiekiem, o duszy tak bezwzględnie rozmiłowanej w pięknie, jak dusza mego męża, pan z rozkoszy mego ciała umiałby czerpać natchnienie do tworzenia rzeczy cudownie pięknych, i dlatego ja panu oddaję moje ciało.

Skończyła i spoglądała w oczy Pawłowi. Przesiąknięte słodkim zapachem kwiatów powietrze zdawało się jeszcze drgać szklaną melodyą jej głosu. Pawłowi zdawało się, że czarodziejskie zaklęcie przeniosło go w czasy starożytne i że oto podług zwyczaju jedna z najpiękniejszych cór ziemi ofiarowuje mu swoje ciało ku rozkoszy, czcząc w nim bohatera, uczuł w sobie mistyczno-erotyczny nastrój, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczał, i jednocześnie lęk głęboki, czy nie zawiedzie wysokiego o nim mniemania pięknej hrabiny. Pochylił przed nią głowę i rzekł:

— Nie znasz mnie pani, skądże więc możesz mieć pewność, że nie sprofanuję ofiarowanego mi klejnotu twego ciała?

Potrząsnęła głową z ufnym uśmiechem.

— Ja jestem dzika kobieta, w górach zrodziłam się i wyrosłam, w waszym świecie bywałam niewiele i nic, oprócz zewnętrznych form od niego nie przyjąłam, nie umiem sądzić o ludziach na podstawie obserwacji i rozumowania, lecz kieruję się przeczućmi, które mnie nigdy nie zawodzi. Gdy ujrzałam pana wczoraj, idącego z wyrazem nieświadomości



otoczenia do fortepianu, gdy mi duszę zatopiły cudne dźwięki twej muzyki, gdy tłum klaskał i wołał, a ty z widoczną męką przyjmowałeś te brutalne objawy i czempredzej kładłeś ręce na klawiaturze, by znów przenieść swoją duszę w lepsze światy, poczułam, że oto znalazłam człowieka, którego napróżno szukałam na ziemi od śmierci mego męża i rozradowało się serce moje, że jeszcze nie kres mego istnienia, że piękność moja nie straciła racyi bytu, że roznieci iskry natchnienia w duszy godnej i oceniającej.

— Nie wiem, czy dam ci wzamian odpowiednią rozkosz, pani — rzekł Paweł.

— Dla mnie rozkoszą jest budzić swem ciałem rozkosz w człowieku wybranym, jest to szczęśliwość estetyczna. We mnie zmysły nie istnieją, więc nie dla zadowolenia ich oddaję swe ciało tobie, lecz dla upojenia twoich, by rozkołysały duszę twą pieśnią zachwytu. Dla mnie bóstwem najwyższem jest piękno, chcę więc je tworzyć pośrednio, przez pobudzanie do twórczości tych, którzy mają moc wywoływania go. Dusza artysty tworzy wtedy, gdy ją poruszy wrażenie silne i piękne, ja takie wrażenie dać mogę pięknoscią mego ciała i dlatego niosę je w ofierze tym, których uważam za godnych czerpania natchnienia z jego piękności. Staję się przez to kapłanką piękna, jego służebnicą uwielbiającą.

Twarz jej była w tej chwili tak cudna, że Paweł czuł podnoszący się w nim różowy obłok zachwyce-  
nia, który odblaskiem swym budził w jego mózgu dźwięki wysokie, czyste i radosne. Nie było w nim w tej chwili nic z tej pospolitej, niecierplivej, dra-

zniącej zmysłowości, która purpurą zabarwia policzki, mgłę rzuca na oczy i ręce pręży ku upragnionej kobiecie! Czuł, że gdyby w tej chwili ujął w objęcia to piękne ciało, nie szarpałby gwałtownie okrywających go sukien, nie tulił namiętnie w ślepem zapamiętaniu, lecz odsłaniał zwolna ze czcią przynależną pięknu te cudne kształty, rozkoszował się każdą ich nieporównaną linią i każdym czarującym oczy odcieniem barwy, tuliłby usta, jak do kwiatu, do delikatnej skóry, tętniącej młodą krwią, przesuwiał ręce z lubością po smukłych biodrach, niby po kształtach wazy etruskiej, jak Cycero, który w takim dotknięciu szukał natchnienia do wzniosłych zdań swych przemówień. Byłby nie jak mężczyzna względem kobiety, lecz jak czciciel względem bóstwa.

Złożył ręce z uwielbieniem i rozjaśnionemi oczyma chłonał czar siedzącej przed nim kobiety, a jej na usta wypłynął uśmiech szczęśliwości, wstała i, wdzięcznym ruchem poprawiając szal na ramionach, rzekła:

— Z oczu twoich widzę, że już ci rozdzwoniłam duszę melodyą promiennego oczekiwania, odchodzę, a ty graj; gdy skończysz, przyjdź do mego pałacu, będę na ciebie czekała.

Szła wolno ku drzwiom i zniknęła za niemi, a Paweł siedział bez poruszenia i niósł zachwycone oczy za tą precudną istotą. Wyszła, a on widział jeszcze w różanym blasku lampy wysmukłą postać otuloną błękitnym aksamitem, i zerwał mu się w duszy huragan wesela. Przepojonem wonią kwietną powietrzem targnęły dźwięki silne, żywe, namiętne, było w tej pieśni coś z okrzyków czcicieli Dyonizosa, coś

z melodyi ich cytar i śmiechów rozkosznych, jakaś gęźba pogańska, szalona, dzika, bezkresnie radosna, jakiś niepohamowany wybuch młodzieńczej uciechy, doniosły krzyk siły życia.

Skończył, zerwał się, przeciągnął członki z westchnieniem głębokim, płynącym z przepętnionego nadmiarem uczuć serca.

— Idę, ty cudna! — zawołał czekającej w oddali.

---

Komnata gotycka na wieży, przez okna nie zasłonięte daleki widok na błyskające światłami miasto, na modre fale Dunaju, ciche ogrody, pod sklepieniami ścianami pęki świeżego kwiecia w kryształowych wazach, a na środku nieskazitelnie biała, puszysta skóra niedźwiedzia, w koronie zbiegających się łuków gotyckich lampa elektryczna. Taka była kaplica miłości Ilzy hrabiny Werocy. Tam, na tem białem podścielisku dawała swoje piękne ciało oczom, ustom i uściskom Pawła, bez rumieńców, bez błysków źrenic, z łagodnym uśmiechem na ustach przyjmowała jego pieśszoty. Czasem trącała powietrze swym kryształowym głosem, ucząc jakiejś subtelnej, nieznannej mu pieśszoty.

Wśród kwiatów okalających ściany była, jak kwiat najpiękniejszy, dziki, na niebotycznych wirchach zerwany.

Bywało, że brała w swe maleńkie dłonie jego głowę, chyliła ją w tył i wodziła ustami po jego czole, oczach, ustach, lub zatapiała czule spojrzenie w jego

wzroku, i wówczas dusza mu mdlała z rozkoszy. Te oczy brązowe, prosto patrzące, pod wygiętymi brwiami, osłonięte frendzlą długich złotowłosych rzęs miały coś z nieświadomego spraw ludzkich, nawykłego do dalekich widnokręgów, wzroku ptaka.

— Ptaku mój, cudny ptaku! — szeptał wówczas nagłą powagą zdjęty.

— Zagraj pieśń o ptaku z górskich szczytów! — prosiła.

— Dobrze! — odpowiadał i gdy wrócił do domu, grał długo, długo, aż hen w noc, do białego świtu. Przynosił zwykle duszę przepelnioną wrażeniami, z których każde było jak klejnot cenny i nieznany, gdzieś w mrokach grot tajemniczych znaleziony. W godzinach popołudniowych zasypywał arkusze papieru czarnymi znaczkami nut, ręka z piórem biegła szybko, nie mogąc nadążyć pędowi myśli. Niósł nie poprawione do Ilzy i w jej olbrzymim, jak sala koncertowa, trochę mrocznym salonie grał pieśni, zrodzone w ciągu nocy, a poczęte z rozkoszy jej ciała w kaplicy miłości. Wsunęta w głęboki, purpurą aksamitu pokryty fotel, piła duszą ten hymn o swej piękności i czuła szczęście najwyższe, jakiego pragnęła, szczęście tworenia piękna.

Na koncertach Pawła zasiadała w parterowej, najbliższej łoży i topiła oczy w jego twarzy. Już teraz, idąc po deskach estrady, nie czuł lęku wobec spojrzeń słuchaczy, nie czuł też pospolitej pychy, gdy go witał huragan oklasków, nie widział tłumu, nie słyszał jego wrzawy, oczy miał przepelnione obrazem cudnej kobiety, czekającej na grę jego w łoży, w uszach

brzmiały mu dźwięki, które zrodziła w mózgu piękność jej czarowna. Siadał do fortepianu i grał dla niej o niej. Tłum klaskał, krzyczał, on się kłaniał obojętnie i biegł spojrzeniem do rozjaśnionych szczęściem orlich oczu.

Skończył się szereg koncertów w Wiedniu, wyjechał Paweł do innego miasta, a za nim Ilza. Wśród obcych murów wyszukała najpiękniejszego zakątka, ozdobiła go kwiatami, wysłała białem futrem i poła artystę rozkoszą swej piękności. I tak jechali wskróż Europy, nierozłączni, wzbudzający szmer pospolitej plotki, obojętni na nią, zatopieni w sobie i tworzący piękno. Minął miesiąc jeden, drugi, rozpoczął się trzeci, niósł z sobą żar letni i coraz większą sławę rzucał do stóp Pawła. Obszedłszy stolicę Europy, artysta grywał teraz w miejscowościach kuracyjnych, wśród zbiegowiska ludzi bogatych, przecywilizowanych, niosących swą nudę z najdalszych zakątków globu.

Po koncertach kładł znużone czoło na białych piersiach Ilzy, w przepysznych komnatach willi nadmorskich lub górskich, przez otwarte drzwi balkonu płynęły ku nim słone powiewy lub świeże tchnienie szczytów, niosły woń róż rozkwitłych, lewkonii i gwoździków. I oto pewnej księżycowej nocy, gdy byli w maleńkiej, białej od marmuru, zagubionej w gąszczu parkowym willi, powiew nocy przyniósł im słodki zapach kwiecia lipowego. Paweł drgnął, zerwała mu się w duszy jakaś tęsknota, nie odczuwana dawno, nie uświadomiona w tej chwili.

— Lipy kwitną — szepnął sennie.

Siadł na białem futrze i utopił oczy w otwartych drzwiach, widział przez nie poręcz balkonu, czuby osrebrzonych miesięczną poświatą drzew. Stracił poczucie miejsca i czasu. I nagle zdawało mu się, że słyszy za ścianą szelest kroków kobiecych, potem skrzyp podłogi na balkonie, i jak żywa stanęła mu przed oczyma postać Toninki. Uśmiechnął się tkliwie, a serce wezbrało mu niezmierną słodyczą. Takby chciał teraz uczuć na głowie pieśczośliwe dotknięcie jej ręki, usłyszeć słowa, do śmieszności zdrobniałe, dziecięco proste. I naraz ujrzał malusią, okrągłą twarzyczkę synka, jego wydatne usteczka, tak bardzo podobne do ojcowskich.

— Najmilsi moi — szepnął z cicha.

— O czym myślisz? — zapytała Ilza.

— U nas w Orlińcach też zakwitły lipy — począł mówić zwolna — nad łąką unoszą się białe opary, róże pod balkonem całe w kwiecie. Toninka oprowadza dziecko po ścieżkach ogrodu, matka siedzi na werandzie, Roma snuje się w alei nad stawem, a lipy tak pachną.

— Mówisz o domu, o swoich?

— Tak, prawie rok nie byłem tam.

— Masz tam żonę, dziecko?

— Dziecko tak, żonę nie, tylko kobietę, która mnie kocha nad wszystko w świecie.

— Kochankę?

— Nie. Nigdy nie miałem jej w objęciach. Stosunek nasz jest tylko duchowy, ona mnie kocha tak silnie, że zmyśli w niej milczącą.

— A ty, czy ją kochasz?

— Kocham, ale nie nad wszystko w świecie, kocham, jak siostrę, jak duszę najbliższą, najbardziej oddaną.

— Jest piękna?

— Może ładna. Nie wiem, nie pragnę jej ciała, rozkoszuję się duszą, która jest wzniosła, czysta i kochająca.

— Tęsknisz do niej?

— Tęskniłem dawniej, przy tobie zapomniałem, lecz w tej chwili tęsknota wróciła, wzbudził ją zapach lip, których tyle, tyle tam w Orlińcach. One stały na straży przy balkonie, gdyśmy na nim spędzali cudne noce, rozmawiając o rzeczach pięknych i dobrych. Wówczas dusza moja szybowiała wysoko, wysoko i tworzyłem melodye piękne.

— Piękniejsze niż teraz?

— Inne, bardziej błękitne, rzewniejsze.

— Jedź tam.

Spojrzał na nią uważnie.

— Nie tęskniłabyś za mną?

— Nie dbam o siebie. Chcę, abyś poszedł u innego źródła czerpać natchnienie. Wrażenia, które ja ci daję byłyby odtąd i tak zmacone tęsknotą do tamtych rzeczy, skoro obudziła się w twym sercu, lepiej więc, aby pozostały czyste, jedź, bądź między swymi, wśród lip, z tą kobietą, która cię tak kocha.

— Czy nie będziesz zazdrosna?

Roześmiała się.

— Już mówiłam: nie dbam o siebie. Zresztą ona nie da ci tego, co ja ci daję. Ona zachwyca cię pięknnością swej duszy, ja — pięknnością swego ciała,

gdyby nawet była ładna, nie da ci takiej rozkoszy, jaką ja ci daję, gdy za mną zatęsknisz, wrócisz.

— A gdybym nie wrócił?

Uśmiechnęła się znowu.

— Póki będziesz żył, póty będziesz mnie pragnął, jestem nazbyt piękna, aby się można mną nasyć.

— Piękność przemija.

— Wówczas i ja przeminę.

— Zabijesz się?

— Nie wiem, jeśli będę cierpiała w osamotnieniu, pozbawię się życia, jeśli wystarczą mi wspomnienia, przestanę tylko żyć dla ludzi, zamknę się w zamku nad Dunajem, będę pieściła oczy obrazami mego męża, uszy twojemi pieśniami i będę wspominała te chwile szczęścia, w których budziłam natchnienie swą pięknością w duszach tak wzniosłych, jak jego i twoja.

— A gdybym umarł, nim stracisz piękność, co byś wówczas uczyniła?

— Szukałabym znowu człowieka o wzniosłej duszy, jak po śmierci męża.

— Gdybyś znalazła?

— Dałabym mu swoje ciało, jak tobie.

Drgnął i spojrzał na nią z błyskiem zazdrości w oczach.

— Chyba mnie nie kochasz?

— Nie, nigdy ci przecież tego nie mówiłam. Uwielbiam w tobie artystę i temu służę. Człowieka nie znam i nie dbam o niego.

— Jesteś zimna, jak lód.

— Tak, jak lód ze szczytów moich gór.



— Mogę cię za to znienawidzić.

— Ale zawsze będziesz pragnął.

— Ciągłe pragnienie męczy.

— Jesteś właśnie zmęczony, więc odejdz. Jedź do tamtej kobiety, gdy odpoczniesz, gdy zapragniesz znowu silnych wrażeń, wróc, będę na ciebie czekała tutaj.

— Czemu tutaj?

— Abyś mógł porównać swoje dzisiejsze myśli i uczucia z temi, których będziesz doświadczał po powrocie, wówczas przekonasz się, że miałam słuszność, i tem silniej mnie zapragniesz.

— Nie chcę być z tobą spętany, otrząsnę się, nie wrócę.

— Czy nie dawałam ci wrażeń pięknych?

— Tak, dawałaś, ale z początku brałem je dobrowolnie, dziś biorę, bo brać muszę, bo przykułaś zmysły moje do siebie.

— Nie do siebie, tylko do swego ciała. Moja wola, moje uczucia milczą. Czy będę chciała, czy nie, zatęsknisz za mem ciałem i wrócisz, to wina jego piękności i póki trwać będzie, póty trwać będzie twoje pragnienie, nie buntuj się więc, nie walcz, chłoń wrażenia całą duszą, przetwarzaj je na dźwięki i czekaj, aż się same skończą.

— Czyż człowiek ma być niewolnikiem swych pragnień?

— Są pragnienia silniejsze ponad wszystko, przenikające duszę aż do głębi, i tych złamać nie można, bo złamałoby się życie. Wreszcie po co łamać, gdy służą temu, co jest szczytem życia, pięknu!

— Może jednak nie pragnę ciebie aż tak silnie?

— W tej chwili nie, bo jesteś zmęczony i tęsknisz, jedź więc, a gdy zapragniesz, wróc.

---

W Orlińcach po bolesnem wrażeniu, wywołanem ucieczką Wandy, zapanowała radość z powodu tryumfów artystycznych Pawła. Wiedziano o nich z naoznego świadectwa Mazeli i Romy, a następnie z gazet i tygodników, pierwsze przynosiły obszernę sprawozdania z jego koncertów, powtarzały zdania krytyków zagranicznych, zawsze pochlebne, a nawet entuzjastyczne, drugie zamieszczały jego portrety, fotografie sal koncertowych, w których grywał, domów, w których mieszkał. On sam nie pisywał, tłumaczono to sobie brakiem czasu i nawałem wrażeń. Pani Jadwiga mimo to zdobywała się nieraz na cierpką uwagę, że nawet wśród najgorętszego życia znaleźć można chwilkę dla swoich, jeśli się o nich myśli i do nich tęskni, ale wówczas Toninka występowała gorąco w jego obronie.

— Do artystów nie można przykładać zwykłej miary, bo ją przerastają. Cieszymy się jego powodzeniem i nie maćmy sobie tej radości nieuzasadnionemi pretensjami.

I cieszyła się istotnie bez odrobiny żalu, zbierała skwapliwie tygodniki i dzienniki, wysłuchiwała po setki razy opowiadań Mazeli i Romy, najmniejszy szczegół był dla niej zajmujący. Tęskniła bardzo, dusza

wyrywała się jej do kochanego człowieka, nigdy tak jak teraz, nie pragnęła być z nim razem.

Wyobrażała sobie, że wraca z koncertów znużony, upadający na duchu, jak po każdym większym wysiłku nerwowym, że w samotni swego mieszkania marzy o jej pieśczętach i dobrych słowach, i całym sercem przenosiła się tam, do niego, kładła dłonie na zwichrzonej czuprynie, szeptała najśłodsze wyrazy.

W chwilach takich porywów tęsknoty biegła do Stacha, do tej części ukochanego człowieka, do małej istotki z oczyma i ustami Pawła, darzyła dziecinę serdeczną pieśczętą i w ten sposób zaspokajała nieco poryw serca. A chłopczyzna był coraz rozkoszniejszy, już chodził, rozstawiając szeroko małe łapięta, co chwila przykucał, nie dowierzając sile swych nożyn, lecz wnet prostował drobną osóbkę i stapał naprzód, wydając okrzyki dumy i radości. Gwarzył potrochu, nauczyła go Toninka najśłodszego dla niej wyrazu: „tata“, przyczem pokazywała mu dużą fotografię Pawła, czego skutek był taki, że Stach na każdy obrazek mówił: „tatie“. Zato „tatie“, „baba“, „niania“, „papu“ były dlań nazwami zrozumiałymi i miłymi. „Mama“ brzmiało mu obco i nie wnikało w małą głowinę; co prawda, mówiono mu rzadko o mamie, czasem tylko niania, w chwili roztkliwienia, kompletowała słownik malca:

— A mama, Stachu, mama? Ty masz i mamę, sieroto.

Sierota jednak nie przejmował się nieobecną mamą, wystarczała mu nad wszystko ukochana „tatie“, znał ją najlepiej od najwcześniejszych rozświtów

świadomości, ona była przy nim noc i cały niemal dzień, ona go kąpała, odziewała, żywiła, ona obsypywała najczulszemi pieścizkami, ona śledziła rozmiłowanemi oczyma każdy ruch, przyjmowała okrzykami radości każdy objaw rozumu. Dziecko, jak słonecznik do słońca, zwracało ku niej swą ciemną, kędzierzawą główkę, wyciągało różowe rączka. Do „titi“ szło nawet z objęć niani, wrywało się w chwilach rozżalenia lub gniewu. Ona mu była prawdziwą matką, bo też i kochała go, jak matka, a mimo to tęskniła do Pawła, biegła za nim myślą, litowała się nad jego samotnością.

— Ptak wysokiego lotu — mówiła sobie — dobrze mu przebywać na samotnych szczytach, aleć czasem zapragnąłby pewnie zejść w dolinę kwietną do ludzi blizkich, do zacisza, jednak nie pozwala sobie na taką słabość, by nie obniżyć lotu, męczy się więc, szarpie w samotności i wzbija coraz wyżej. Nie można mu mącić jego podniebnych szybowań, nie można rozpieszczać tkliwością i zwabiać ku ziemi. Niechże się męczy ptak kochany, niech lata wysoko, wysoko, zdala od ludzi i miłości.

Siadywała, jak dawniej, na balkonie, z robotą, przesuwała w myśli wspomnienia, rozkoszowała się niemi i marzyła o chwilach ciągłego z nim obcowania, które pewnie przyjdą, może niedługo: zmęczy się pracą, wrażeniami, zatęskni do Orliniec, przyjedzie, by odpocząć, utulić się, wypieścić, toż ona go wówczas będzie hołubiła, rozweselała, otoczy go taką promiennością, takim ciepłem, że mu się dusza rozjaśni, rozgrzeje na długie miesiące samotności i chło-

dnych ze sztuką obcowań. Uśmiechała się do swoich rojeń, jak do szczęścia, żyła niemi, kołysała rozjęsknione serce.

Pewnego popołudnia zatoczył się przed ganek orlinieckiego domu elegancki powóz, zaprzężony czwórką gniadych klaczy w angielskich szorach z bronzami, z kozła zeskoczył lokaj w liberyi, pomógł wysiąść strojnej damie w średnim wieku. W sieni powitała ją Mazela, która dojrzała z okna swego pokoju pojazd i gościa.

— Co za szczęście, pani hrabina! już dawno nie mieliśmy zaszczytu widzieć jej w Orlińcach!

— Istotnie, od lat kilku tutaj nie byłam, ale obawiałam się być natrętną wobec ciągłych nieszczęść, które dom ten nawiedzały, w takich chwilach osoba obca bywa intruzem. Ale gdzież jest pani Orlińska? pragnęłabym się jej przypomnieć i udzielić wiadomości o synu, którego miałam przyjemność widzieć i słyszeć w Ostendzie.

— Jakże się ucieszy, to taka kochająca matka. Pani hrabina zechce spocząć w salonie, a ja pójdę, uprzedzę o jej przybyciu Jadwigę.

Szybko, jakby miała dwadzieścia lat, pobiegła Mazela w głąb ogrodu, gdzie pani Jadwiga z Toninką pilnowały zbioru wisien.

— Jadwiniu! Jadwiniu! — wołała z daleka — hrabina Czerkawska z Olewiny przyjechała z wizytą. Pani Jadwiga skrzywiła się niechętnie.

— Już się zaczynają te arystokratyczne wizyty orlinieckie. Ja dzięki Bogu nie mam czci dla tytułów

i doskonale się bez nich w Orlińcach dotąd obcho-  
dziłam.

— Ach, Jadwiniu, co też ty mówisz! — zgorszyła się Francuzka. — Taka miła osoba ta hrabina i prawdziwie światowa. Wraca właśnie z Ostendy i przywozi ci wiadomości o Pawle.

— Toż trzeba było odrazu powiedzieć! — zawołała pani Jadwiga i podążyła do domu, a za nią Mazela i Toninka.

— Przypominam się drogiej pani — mówiła hrabina z miłym uśmiechem, idąc na spotkanie pani Jadwigi.

— Czyżbym mogła zapomnieć tak miłej znajomości! — zapewniała pani Jadwiga — niezmiernie rada jestem z odwiedzin pani hrabiny, dawno wybierałam się do niej, ale wobec licznych kłopotów...

— Ach, tak, droga pani, wiem, wiem. Jednak Bóg dobrotliwy niesie pani pociechę w tryumfach starszego syna, miałam właśnie przyjemność słyszeć go w Ostendzie.

— Doprawdy! i jakże pani hrabina znalazła jego grę?

— Czarująca! nieporównana! I przytem on sam taki niezwykły człowiek, prawdziwy artysta, nie zwraca uwagi na hołdy słuchaczy, unika towarzystwa, żyje zamknięty, oderwany od świata.

— Zawsze lubił samotność.

— No, samotność...

Hrabina uśmiechnęła się żartobliwie.

Pani Jadwiga uczuła ukłócie w serce.

— Wszak pani hrabina mówi, że unika towarzystwa.

— Tak, w znaczeniu ogólniejszem, szerszem, nie udziela się na balach, rautach, lecz co do samotności..

Znowu urwała dyskretnie.

Pani Jadwiga rzuciła szybkie spojrzenie na Toninkę, dziewczyna siedziała wyprostowana, spokojna, tylko troszeczkę pobladła.

Francuzka zwróciła ciekawe oczy na uśmiechnięte usta gościa, lecz nie śmiała pytać. Była chwila kłopotliwego milczenia. Hrabina roześmiała się swobodnie, położyła dłoń na splecionych rękach pani Jadwigi i, chyląc ku niej ufryzowaną głowę, mówiła, trochę zniżając głos, rzekła :

— Rozumiem pewną żonę, z jaką na dworach wiejskich poruszamy sprawy sercowe naszych panów; jest w tem życie się z patryarchalną cnotą prababek, szacunek dla tradycyi, lecz na Boga! artyści nie zwyczajni ludzie, do nich nie można przykładać powszedniej miary, wszystko, co oni czynią, jest piękne i usprawiedliwione, wszak u źródła miłości czerpią natchnienie dla swej twórczości, a miłość tak zwana legalna, mówiąc między nami, czyż może zadowolić gorące serce artysty? On potrzebuje czegoś niezwykłego, czegoś, co wychodzi poza zwykłe normy życia, co przez samą swą grzeszność jest rozkoszne i upragnione.

Mazela zarumieniła się i z lekkim uśmiezkiem spuściła oczy, Toninka pobladła bardziej, pani Jadwiga zmarszczyła brwi, hrabina to spostrzegła i uczyniła swój głos jeszcze słodszy.

— O, jakaż pani surowa! — mówiła z oburzeniem. — Tak nie można, gdy się jest matką wielkiego artysty, należy pobłażliwie traktować jego piękne fantazyje. O! bo że są piękne, o tem niech pani nie wątpi. Zresztą mówię źle: są, tymczasem tylko: jest. Ale artyści to ród motyli pod względem uczuć, rychło patrzyć, jak pan Paweł znudzi się pięknym kwiatem, z którego słodycz spija, i pofrunie do drugiego. Jest spragnionych, a pięknych kwiatów dosyć wokół niego. Lecz przyznać trzeba, że żaden nie dorówna pięknoscią temu, który obecnie cieszy się jego względami.

Pani Jadwiga doznawała uczucia, jakby te swawolne słowa spadały drobnymi kamykami na jej serce i tworzyły wzgórek, który cisnął je coraz silniej, a Toninka była już tak blada, jak płótno. Hrabina spostrzegła, że jej relacye nie są przyjmowane życzliwie, i z łatwością, właściwą kobietom jej świata, przerzuciła rozmowę na inne pole, radujące serca pań Orlińskich. Poczęła unosić się nad pięknoscią gry Pawła, nad głębią jego utworów, powtarzała szczegółowo zachwyty publiczności, wybuchy entuzjazmu, którymi dziękowano mu za ucztę duchową. Ani razu już nie potrafiła o jego sprawy miłosne, mimo to i ona, i panie domowe ponad niemi unosiły się wciąż myślą, pani Jadwiga nie mogła odzyskać promiennej radości, z jaką witała gościa, przynoszącego jej wieści o synu, Toninka czuła zamęt w głowie i zapadanie się w sercu.

Nie mogła zebrać myśli, nie mogła zdać sobie sprawy, co właściwie nieci w niej ból, gdyż wszystkie siły ducha skupiła, by zapanować nad sobą, by nie utracić zewnętrznego spokoju. Starła się wchłaniać



jak najgłębiej wieści o powodzeniu Pawła, starała się niemi wypełnić swe myśli, aby wytworzyć w sobie radość i nie dopuścić do głosu myśli innych, wywołanych poprzedniem opowiadaniem hrabiny, lecz na próżno, odzywały się ciągle, wykrzywiały szyderczo do jej daremnej walki.

Hrabina wysypała wreszcie cały zapas nowin o Pawle, o swej podróży, o zdarzeniach światowych, pożegnała serdecznie panie i odjechała, unosząc ich obietnicę, że wkrótce ją odwiedzą.

Wówczas Toninka uczuła, jak fala cierpienia podnosi się w jej sercu coraz wyżej i zagraża wybuchem.

— Nie, nie, nie trzeba.

Szarpnęła się wewnątrz i pobiegła do dziecka, które właśnie z płaczem dopominało się o podwieczorek. Utuliła w ramionach kochane maleństwo, zasiadła z niem w jadalnym i poiła mleczkiem, dmuchając w kubek i uśmiechając się tkliwie do rozpogodzonego buziaka.

— Mój ty świecie cały, mój! — szeptała i tuliła twarz do ciemnych kędziorków, tak podobnych do czupryny Pawła.

Do wieczora udawało jej się to odpychanie natarczywych myśli zajęciem koło dziecka, krzątaniem gospodarską, przeglądaniem gazet, lecz o pewnej godzinie uczuła naraz tak straszne zdławienie w gardle i taki nagły przyływ łez do oczu, że wstała czempredzej i pobiegła do siebie. Upadła na kolana przy fotelu, który stał w progu balkonu, położyła na nim głowę i zanosła się ogromnym płaczem. Był to wylew cierpienia tak żywiołowy, jak potop wód wezbra-

nych, gdy przerwą tamę. W głowie czuła Toninka szum, w sercu spazm ciągły, rozkosz znajdujący w łkaniu, łzy płynęły jej z oczu z niesłychaną obfitością.

Nie mogła rozumować, nie mogła wzbudzać w sobie uczuć kojących, czuła, że przedewszystkiem musi się wyplakać, musi się łzami zmęczyć, a dopiero potem przyjdzie pora porządkowania myśli i wrażeń.

Płakała ze, dwie godziny, były chwile, że cichła, lecz wówczas jakieś słowo hrabiny, zaplątane w mózgu, odzywało się znów i podniecało rozżalenie. Wreszcie zbyła sił zupełnie, bez myśli i uczuć, zeszywniała, podniosła się z podłogi, zdjęła suknie i wsunęła się do łóżka. Zasnęła natychmiast i obudziła się dopiero o zwykłej godzinie wstawania. Jeszcze nie otrząsnęła z myśli mroków snu, a już czuła ucisk w sercu, bolesne wrażenie przeżytej męki. Nie witała dnia ochotnie, nie uśmiechała się do słońca, które zalewało jej pokoi, podnosiła się zwolna, ociężała, wewnętrznie zziębnięta, bez zapалу do pracy. Długo kładła buciki, bezmyślnie przyglądając się swoim nogom, długo pławiła ręce w wodzie i nie mogła się zdecydować na obmycie twarzy. Myślała, że jej umywalka obeszła z farby, że trzeba ją odmalować. Zauważyła płamę na obiciu, i pokoi, wydał jej się brudny i nieświeży.

— Wszystko takie szare, takie smutne — szepnęła.

Za drzwiami rozległo się człapanie bosych nóg.

— Ach Boże! Już idą po mnie — pomyślała Toninka — już się kucharka doczekać nie może, trzeba włązić w codzienny deptak, brrr! i ciągle to samo, to samo, aż do śmierci.

Drzwi drgnęły lekko pod słabem stukaniem, a do wtóru zabrzmiał dziecięcy świergot:

— Tiotia! tiotia!

Toninka roześmiała się radośnie i skoczyła ku drzwiom.

— Kociątko moje, kociątko jedyne, przyszło do cioci.

Chwyliła wydzierające się do niej dziecko w objęcia i obsypała pocałunkami.

— Tak się ciągiem wydierał do panienki, tak matasił — tłumaczyła niańka — zem mu nijakiej rady dać nie mogła i przyniesłam nareszcie tutaj.

— Chciało dzidzi do cioci, chciało — cieszyła się Toninka — moje maleństwo jedyne kocha ciocię, kocha.

— Że jużby i rodzonej matki nie mógł więcej — przyświadczyła niańka.

Toninka kołysała dziecko w ramionach i chodziła z niem po pokoju, przeniknięta nagłym przyływem tkliwości i chęcią do życia dla tej kruszyny najmilszej. Posadziła Stacha na dywanie, dała mu grzybek do cerowania pończoch, pudełeczko, różne drobiazgi z toalety, dziecko biło grzybkiem o podłogę, wykrzykiwało zapamiętałe:

— Tiotia! tiotia! — i śmiało się do słońca.

Ona ubierała się, co chwila zwracając nabiegłe radością oczy ku swojej pociesze. Nigdy jeszcze nie czuła tak wyraźnie, czym jest dla niej to dziecko, jak tych pierwszych dni po bytności hrabiny. Garnęła się do maleńkich rączek, jak do wybawienia z męki, która przyczajona trwała na dnie serca. Czyniła to z po-

czuciem, że z kochanego człowieka została tylko ta jego cząsteczka, on sam odszedł od niej bezpowrotnie, już nie potrzebował dzielić się z nią wrażeniami, nie pragnął jej pociech i pieszczot, przylgnął sercem do innej kobiety, niezwykle pięknej, wszak hrabina mówiła: „żadna nie dorówna jej pięknnością“.

I nic dziwnego, wszak jej, Toninki, nie kochał, nigdy się tem nie łudziła, miał dla niej wiele życzliwości, szacunku, ale to uczucia tak nikłe, że wobec silnych wrażeń, których teraz doświadczał, ostać się nie mogły. Sława, bogactwo i miłość pięknej kobiety stały mu się do stóp, czyż wobec tego mógł pamiętać o Orlińcach, o Tonince, o przeżytych z nią chwilach? Te chwile, dla niej epokowe, stanowiące szczyt jej życia, dla niego były tylko drobnym epizodem, może dzisiaj śmiesznym i naiwnym. Nie jego wina, że tak było, że losy umieściły ich na innych szczeblach życia, jemu kazały wędrować wysoko i coraz wyżej, ją zatrzymały w miejscu, niziutko. Można obwiniać los, buntować się przeciw niemu, ale on, Paweł, pozostanie zawsze usprawiedliwiony, godny uwielbienia i najgłębszej miłości. Szkoda, że odszedł, że nie wróci nigdy, a przynajmniej nigdy taki, jak dawniej, ale nie trzeba się tem rozgoryczać, trzeba radować serce jego sławą, jego szczęściem. Cóż za miłość, która myśli tylko o zaspokojeniu siebie, o słuszności swego istnienia? Miłość prawdziwa, miłość wielka zapomina o sobie, trwa, choć pozornie zbyteczna, istnieje, bo nieistnieć nie może.

Snuły się takie myśli w ciągu dni i nocy po głowie Toninki, coraz jaśniejsze, coraz słodsze, aż zabły-

sły dawną promiennością, tchnęły dawną słodyczą, odnawiane w próbie męki, skąpane we łzach.

— Nie napisze — mówiła sobie — nie wróci, a jeśli wróci, to nie przygarnie się do kolan, nie oprze dłoni na swej głowie, nie spojrzy w oczy ufnie i nie pogawędzi serdecznie z dna duszy. Tamto skończone, skończone bezpowrotnie. Teraz należy tylko zbierać o nim wieści z gazet, cieszyć się niemi, a gdy przybędzie, otoczyć go uwielbieniem nie mniejszem, niż obcy, usuwać mu wszelką powszedniość z drogi, dostarczać jak najwięcej miłych wrażeń. Ukołysała swą duszę, uciszyła i siadywała znów na balkonie, by przesuwając paciorki wspomnień i rozbłyskać szczęsnym uśmiechem na głos dziecka, brodzącego w piasku. Rozkwitły lipy, miesiąc prześwietlał mgły nad łąkami, krzaki różane stały w kwiecie, odżyły wspomnienia z olbrzymią, nie dającą się ogarnąć sercem siłą. Toninka spędzała noc na balkonie i niosła roz tęsknioną duszę w świat daleki, daleki, ku umiłowanemu człowiekowi; już bez jęku serca mogła myśleć o tem, że tulą go ramiona innej kobiety, że inne oczy płoną mu blaskiem miłości. Z kryształowemi łzami u rzesz szeptła:

— Paweł nie sam, nie samotny, jemu dobrze.

I oto pewnego wieczora ujrzała kochane pismo na kopercie. Zamarło w niej serce, opadły ręce, oczy stały nieruchome na literach adresu.

— Toninko, czytaj! — nagliła pani Jadwiga.

Rozerwała kopertę, wyjęła arkusik; zasypany był na wszystkich czterech stronach tem nieczytelnem, a najwięcej w świecie mówiącem pismem.

Czytała :

— Toninko moja !

Tęskno, dusza rwie się do Was.

Łzy omgłyły wzrok i popłynęły po twarzy.

— Ach, dziecko ! — zgromiła pani Jadwiga, sama wzruszona łzami siostrzenicy, podeszła do niej, otoczyła jej szyję ręką i czytały głowa przy głowie :

— Toninko moja !

Tęskno, dusza rwie się do Was. Powodzenie, sława, hołdy ludzkie, a jednak obco i samotnie. Lipy zakwitły obok willi i przypomniały Orlińce, już wytrzymać dłużej trudno, za dwa dni ostatni koncert, a nazajutrz w drogę do kraju, do Was, najmilsi. Tyle tu w piasku na wybrzeżu dzieci, przypominają mi naszego Stacha. Jakże się on, synuś kochany, chowa ? Czy zdrow ? czy tatę pozna ? rączki wyciągnie ? Toż go będę tulił w ramionach, toż się nim cieszył ! Napiszę dla niego pieśń o mojej ojcowskiej miłości, gdy wyjadę, będziesz mu ją grywała, Toninko, żeby wiedział, jak brzmi uczucie ojca, żeby się nie czuł sierotą. O sobie nic Wam pisać nie będę, opowiem wszystko za widzeniem, za rychłym widzeniem. Liczę dni, godziny, jużbym rad być między Wami. Zatelegrafuję o konie. Tymczasem do widzenia, kochani moi.

Wasz Paweł.

To było coś tak nieoczekiwanego, coś tak przechodzącego najśmielsze marzenia, że Toninka oczom wierzyć nie chciała. Czytała i odczytywała przenikniętą miłością i tęsknotą słowa, równie szczerze, równie go-

ręce, jak dawniej, i nie mogła zdać sobie sprawy z ogromu szczęścia, tylko serce drżało jej coraz silniej, tylko w piersiach tchu brakło. Wreszcie łkanie gwałtowne wstrząsnęło całą jej postacią, zarzuciła ręce na szyję ciotce i szeptała targanemi słowy:

— Ciociu, wraca, ciociu, jakie szczęście!

Pani Jadwiga ze łzami tuliła do siebie rozplakaną siostrzenicę i nie pytała o nic, rozumiała doskonale ten poryw serca, które uważało się za opuszczone i odnajdywało nagle swój skarb. Budziła się w niej znowu dawno pieszczona nadzieja, że wreszcie może Paweł ożeni się z Toninką.

— Onaby go ustrzegła od wszelkich ladacznic — myślała, marszcząc brwi na wspomnienie przejrzystych relacji hrabiny.

---

Całował ręce matki, Toninki, Romy, Mazeli i zaczynał znów od początku. Nie mógł się nacieszyć widokiem kochanych twarzy, ulubionych kątów.

— A gdzie syn? — wykrzyknął, rozglądając się wokoło.

— Widzisz, jaki nieczuły, nie mógł się ciebie doczekać i zasnął — odparła Toninka żartobliwie.

— Chciałbym go jeszcze dzisiaj zobaczyć.

— To chodź, ale cichutko, żebyś go nie zbudził, bo się rozkrzyczy i niepięknie zaprezentuje.

Szła przez korytarz do pokoju dziecięcia, Paweł obok, ujął jej rękę, ścisnął mocno i stąpał na palcach, zawczasu ostrożny, z uśmiechniętą i wzruszoną twarzą.

W rubinowem świetle lampki nocnej, na białej poduszce leżała główka dziecka, okolona rozrzuconymi lokami; okrągła buzia o wydatnych usteczkach i ściągniętych brewkach miała wiele powagi i stanowczości. Paweł, wstrzymując oddech, pochylił się nad łóżeczkiem i patrzył długo na śpiące dziecko, a gdy podniósł twarz, była w niej słodycz i dobroć.

— Zupełny Orliński — zauważył.

— Tak, i z charakteru także. Zapala się do wszystkiego, co piękne, silny w uczuciach i uparty.

— Strasznie dobrze mieć takiego własnego człowieka — szepnęła, pochylając się znowu nad synkiem.

— Oj tak, to wielki skarb!

Zwrócił się do niej, ujął obydwie jej ręce i popatrzył w oczy badawczo.

— A ty zawsze moja, Toninko? — zapytał.

Podniosła ku niemu wzrok aż surowy od siły uczucia.

— Jakżeby inaczej, jedyny?

— Nie pisałem tak długo, myślałem, że zapomniałaś, że się gniewasz.

— Przeżywałeś taki ważny okres życia, nie miałeś czasu myśleć o nas.

— Tak, wiele, wiele przeżyłem, Toninko, ale ani jednej takiej czystej, takiej wzniosłej chwili, jak przy tobie.

— O Pawle!

Przytuliła mu do ramienia ciężką szczęściem głowę. Pogładził ją tkliwie.



— Mój ty biały kwiecie, mój płomyku jasny i gorący.

A po chwili:

— Żebyś wiedziała, jakie bywają na świecie inne kobiety. Ale co tam, nie będę ci o tem mówił, nawetbyś pojąć nie mogła. Pamiętaj tylko, że zziębnięty, że mi trzeba wiele ciepła, wiele światła.

— Ogrzeję, rozpromienię mego pana, moje szczęście najdroższe.

Mówiła głębokim głosem, a z twarzy biła jej taka łuna światłości, że się uczuł przeniknięty wdzięcznością do głębi.

W jadalnym czekała na nich pani Jadwiga, Roma jakaś smutna i Mazela w nowej bluzce, solenna, wyprostowana.

Paweł wpadł w humor uczniowski, jadł z apetytem, sypał dowcipami, opowiadał w sposób żartobliwy o swym tryumfalnym pochodzie po Europie.

— Brrr! — otrząsał się — okropnie mi zbrzydły te wszystkie wielkości i napuszoneści. Cieszę się, że dałem od nich nura i że mogę tu między wami odechnąć swobodnie, podokazywać trochę, przypomnieć sobie dawne, dobre czasy, kiedy byłem mniemanym kandydatem na artystę.

— Sądzę, że hrabina, gdy się dowie, że tu jesteś, przyjedzie — zauważyła Mazela, z pewnym odzieniem dumy w głosie.

— Na miłość Boską! Mazelo, dajcie mi pokój z hrabiną, niechże nie przyjeżdża, bo gotówem ze strachu w mysią dziurę się schować.

— Taka dystygowana dama! — ujęła się Mazela.

— Dosyć mam tych dystyngowanych dam, kością w gardle mi stanęły!

Mazela zarumieniła się, spuściła skromnie oczy i zesznurowała usta z dyskretnym uśmiechem.

Paweł spojrział na nią uważnie, i rumieniec buchnął mu na twarz. Pani Jadwiga zmarszczyła brwi, Tonince drgnęło serce, czempredzej więc poczęła mówić z żartobliwą powagą, by zatrzeć niemile wrażenie:

— Pewna jestem, że okolica urządzi na twoją cześć banderyę w narodowych strojach, że cię zasypią laurami lub w braku takowych pietruszką.

— Kobieto, czy chcesz, abym natychmiast wyjechał? — wykrzyknął desperacko.

Zrobiła takie śliczne oko, że nie mógł się powstrzymać, skoczył ku niej i ucałował obydwie ręce. Pani Jadwiga rozpromieniła się.

— Jaka ona taktowna i dobra — pomyślała. — Jeżeli Paweł nie zakocha się w niej po uszy, to już chyba nie ma serca.

Znowu, jak przed rokiem, jak przed dwoma laty, znaleźli się we dwoje na balkonie: Toninka wtulona w fotel, Paweł rozciągnięty na ławce. Lipy pachniały, mgły unosiły się nad łąkami, róże okrywały barwnymi pękami krzewy, księżyc lał potoki srebrzystych blasków. Toninka myślała:

— Wrócił, ale czy wrócił tak ufny i szczery, jak wprzódy, czy nie zamknie duszy swej przede mną, wyniosły i gardzący prostą, wiejską dziewczyną?

Milczeli z początku, poddawali myśli swe i serca cichemu, promiennemu nastrojowi nocy lipcowej, kołysała ich dusze coraz wolniej, coraz równiej, wygła-

działa ich powierzchwnie, życiem powszedniem zmacone, wyjaśniała, kryształila, czynila podatnymi do zajrzenia w ich gląb, aż do dna.

Pierwszy poczał mówić Paweł:

— Przed tygodniem też była taka cicha, pachnąca lipami noc, tęskniłem do ciebie, rwałem się duszą do tego balkonu z mej białej, marmurowej willi, czułem się tam osamotniony i smutny, pragnąłem być w atmosferze twej czystej, gorącej miłości, otworzyć ci serce, wypowiedzieć się, ukoić, nabrać sił do nowego życia.

Milczała, cisnęło się jej na usta pytanie:

— Czy byłeś sam?

Lecz wypowiedzieć go nie śmiała.

Znowu padła między nich cisza. Ona czekała, on pragnął mówić wszystko i bał się, że ją zrani, może odsunie na zawsze.

Chęć otworzenia duszy do głębi i przyzwyczajenie do szczerych z Toninką rozmów przemogło, zapytał:

— Czy nie masz istotnie żalu, że tak długo milczałem?

— Widzisz, z początku było mi ciężko bez wiadomości, i trochę, troszeczki buntowałam się przeciw tobie, ale potem przyszło zastanowienie, że przecież w takim rozgwarze życia, otoczony uwielbieniem, nie możesz, nie masz czasu na zebranie myśli, na uczucie choćby odrobiny tęsknoty do nas, i już cierpliwie wyczekiwałam na wieści o tobie, które przynosiły gazety albo ludzie.

— Ludzie, to jest hrabina, o której mówiła Mazela?

— Tak, hrabina Czerkawska z Olewiny, słyszała cię w Ostendzie.

Głos jej był nieco gardłowy, podniósł głowę z ławki, odwrócił ku niej i popatrzył uważnie w oczy dziewczyny, zaczerwieniła się.

— Ona wam mówiła o mnie wszystko, Toninko?

Schyliła głowę, bała się, by ją ból nie wytrącił ze słodkiego usposobienia.

— Toninko, ty wiesz o tamtej kobiecie?

Opanowała skurcz serca.

— Wiem — rzekła i spojrzała Pawłowi miłośnie w oczy.

Westchnął i opuścił głowę na ławkę.

— Toninko — zaczął po chwili niepewnie — wszak ty mną gardzisz?

Obsunęła się na kolana, położyła mu głowę na piersiach, jak wówczas pierwszej nocy, i mówiła szybko, przerywanym od wzruszenia głosem:

— Kocham cię zawsze nad wszystko w świecie... Pojmuję, że ty mnie kochać nie możesz... jestem prosta, niepiękna dziewczyna... a tamta, tamta... hrabina mówiła, że nikt jej w piękności nie dorówna... to słuszne, to zrozumiałe, że ją pokochałeś...

Wstrząsnął głową.

— Nie, Toninko, mylisz się, ja jej nie kocham.

— Nie?

Wyprostowała się, patrzyła mu w oczy z radośnym pytaniem.

— Nie, nie kochałem jej nigdy, pragnąłem tylko, jest piękna, tak piękna, że tego wyrazić słowami nie można, nigdy w życiu nie widziałem równie pięknej

kobiety, i przytem czysta, dumna i zimna, jak lodowce gór, z których pochodzi. Otaczały ją roje wielbicieli w Wiedniu, ona gardziła wszystkimi, a do mnie przyszła sama po moim pierwszym koncercie, przyniosła mi swoje ciało w ofierze.

— Pokochała cię tak odrazu?

— Ona mnie też nie kocha, Toninko.

— Nie, więc czemu?

— Uwielbia piękno i chce je tworzyć, wzbudzając natchnienie w artystach pięknoscią swego ciała.

— W artystach? Więc nie ty jeden?

— Owszem, Toninko, teraz tylko ja jeden. Przedtem należała do swego męża, który był wielkim malarzem i który już nie żyje.

— Czemu cię nie kocha?

— Kocha tylko piękno, człowiek jej nie obchodzi.

— Więc gdy jesteś samotny, gdy ci źle, ona nadtem nie cierpi, nie stara się ukoić, pocieszyć?

— Nie, ją drażniłoby jedynie, gdybym przestał tworzyć, gdybym się wyczerpał pod względem artystycznym.

— A gdybyś był bardzo nieszczęśliwy?

— O ile wówczas tworzyłbym rzeczy piękne, z bólu poczęte, cieszyłaby się.

— To jest potworne, to jest nieludzkie, ona nie ma serca!

— Ma, Toninko, tylko nie dla mnie. Jej bóstwem jest piękno.

— I ona daje ci szczęście?

— Daje mi rozkosz, daje mi moc do tworzenia rzeczy pięknych, z rozkoszy wysnutych.

— Gdy ci źle, samotnie, ciężko, czy wówczas mówisz jej o tem, czy się żalisz?

— Nie, ona gardzi słabością ludzką, ona sądzi, że artysta powinien być silny, powinien żyć tylko sztuką, a nie dać się omroczyć sprawom ziemskim.

— Więc jednak przy niej czułeś się osamotnionym?

— Z początku nie, działała na mnie tak silnie, lub może ja nie byłem wyczerpany, że żyłem w stanie ciągłego uniesienia, poczucia siły i radości istnienia, i dlatego właśnie nie tęskniłem do was, lecz przyszła chwila, gdy tęsknota padła na me serce, gdy uczułem się samotny, znużony, człowiek wziął we mnie przewagę nad artystą, zapragnąłem być między wami, wypowiedzieć ci całą swą duszę, utulić się i upieścić, i wówczas ona mi rzekła: „Jedź, odpocznij, gdy zapragniesz mnie, wróc, będę na ciebie czekała“.

— I wrócisz?

— Nie wiem, Toninko, dziś jest mi dobrze z tobą, może jej nie zapragnę.

— Chciałbyś?

— Tak, dręczyło mnie to, że się z pragnienia otrząsnąć nie mogłem, że byłem jego niewolnikiem, dziś, gdy go nie czuję, rad jestem i wołałbym, aby nie wróciło.

— Może nie wróci.

— Może, jestem taki szczęśliwy, że wróciłem do was, że mam wszystkich kochanych przy sobie, że mogę znów przeżywać z tobą takie piękne, czyste nce, że będę widział mego syna, pieścił się z nim i uczył go miłości dla siebie. Tak, Toninko, myślę,

że między wami nie zatęsknię do niej, ona jedna, a was, trzymających mnie tutaj, tyle; ona zimna, obojętna, wasze serca pełne miłości, gorące; tam zamknięcie się w sobie, ukazywanie pogodnej zawsze twarzy, tu otwarcie duszy aż do głębi, odpoczynek, szczerłość; tam uniesienie zmysłów, tu wzloty dusz. Tu lepiej, tu pragnąłbym zostać zawsze.

Potrząsnęła głową.

— Nie, Pawle, tak nie można, ty należysz do świata, twoja droga między ludźmi ku szczytom natchnienia i sławy.

— Można iść między ludzi i zabrać z sobą kogoś z Orlinec, ktoby mi stwarzał w najdalszym zakątku ziemi ten cichy, gorący i czysty nastrój, który tu panuje.

Zadrżała, serce w niej zamarło, nie czuła nawet szczęścia z ogromu wrażenia, a on umilkł, nie był jeszcze pewien siebie, na dnie serca czaił mu się lęk, że tęsknota do tamtej przyjdzie, nie rzucił więc ostatniego słowa, czekał.

---

— Synuś!

— Tiatia!

— Synuś cacy!

— Tiatia cacy!

— Zrób tatusiowi pa!

— Pa, pa, pa!

— Ach, ty mój skarbie najmilszy, i jak tu nie kochać takiego rozkosznego bąka?

Chwycił dziecko z rąk niańki, uniosł je wysoko, wysoko nad głową, malec klaskał w rączki, śmiał się z uciechy.

— Teraz sobie porozmawiamy, synku, jak przystało kochającej rodzinie, siądziemy tu pod oknem, ojciec na kanapie, syn na kolanach, i będzie gawęda.

Usadowił się z dzieckiem na kolanach przy oknie od ogrodu.

— No, powiedz mi teraz, Stachu, kto to? — i pokazał na siebie palcem, ale malec nie miał ochoty odpowiadać na zbyt łatwe, a więc nudne pytania, wsunął łapki pod kurtkę ojca i szukał.

— Czego ty chcesz, bąku?

— Cyk! cyk! — objaśniło dziecko.

— Aha, takiś mądry! zabawy ci się zachciewa, no dobrze, tata da cykcyk, ale niech Stach powie, kto to?

— Tiatia! — niecierpliwił się malec i szukał natarczywie, schylając kędzierzawą główkę.

— Zasłużyłeś, więc masz.

Wyciągnął zegarek i podał dziecku. Maleńkie rączki chwyciły skarb upragniony i podniosły do uszka, buzia przybrała skupiony wyraz, po chwili oczęta zabłyśły radością.

— Cyk! cyk! — oznajmił Stach.

Naraz rzucił zegarek na kolana ojca i porwał się ku oknu z piskiem:

— Tiotia! tiotia!

Paweł odwrócił głowę. Za oknem stała Toninka i przechylała się ku nim.



— Chodźże tu do nas, bo mi do ciebie ucieknij, a jeszcze się nim nie nacieszyłem — zapraszał Paweł.

— Dobrze, idę zaraz — i zniknęła za węglem domu.

— Tiotia! — krzyknął rozpaczliwie malec.

— Ależ czekaj, dobrodzieju, ciocia zaraz przyjdzie, zaraz, umiemy panować nad swymi porywami.

Weszła Toninka, dziecko szarpnęło się ku niej tak gwałtownie, że je ledwie Paweł zdążył przytrzymać na kolanach.

— Tiotia! tiotia! tiotia! — wykrzykiwał cienki głosik, a małe rączki trzepały się, jak śmigły wiatraka.

— Weźże sobie tego waryata, bo spadnie na podłogę i guza złapie.

Toninka siadła obok Pawła, dziecko czemprowadziej wgramoliło się jej na kolana i tuliło ciemną główkę na ramieniu. Tak ich zastała pani Jadwiga, uśmiechnęła się tylko radośnie i czemprowadziej wyszła z pokoju, by nie przeszkadzać.

— Chodź tutaj — dopominał się Paweł.

— Ne, ne, ne! — zaprzeczył malec i objął rączkami szyję Toninki.

— Zabiorę cię — i wyciągnął do niego ręce.

— Ne, ne, ne! — już rozpaczliwie opierało się dziecko.

— Zabiorę ciocię, ciocia moja.

— Tiatia be, tiatia be! — uniosło się dziecko i odpędzało rączką natrętnika.

— Mama be! — omylił się Paweł.

— Be! — przyświadczył Stach.

Toninka szcerwieniła.

— Nie rozumie, co to mama.

— Bo właściwie, czemu on ciebie nie nazywa mamą, masz do tego zupełne prawo.

— Nie, nie, nie mam prawa! — zaprzeczyła żywo.

— To należy ci je dać! — zawołał i zaczerwienił się gwałtownie, zląkł się, że za wiele powiedział, wstał więc prędko i poprawił:

— Chodź z nim do salonu, zagram mu pieśń o miłości ojcowskiej.

Toninka, wzruszona jego nagłym okrzykiem, przejęta trwogą wobec szczęścia, które się zbliżało, na pół przytomna, poszła z dzieckiem do salonu.

— Siądźcie naprzeciwko fortepianu — prosił Paweł — chcę patrzeć na tę kochaną istotkę i grać o niej. Już od rana snuje mi się po głowie taka poważna, słodka melodia.

Toninka usiadła na kanapie z dzieckiem na kolanach, Paweł położył ręce na klawiaturze i chwilę spoglądał na nich z ogromnem rozrzewnieniem w twarzy.

— Strasznie dobrze z wami, najdrożsi moi — szepnął zdławionym głosem i począł grać.

Toninka oparła policzek na główce dziecka i zaśluchiwała się w pieśń, mały przytulił się do jej piersi i siedział też cichutki, jakby zaśluchany.

Płynęła melodia rzewna, pogodna, równa, jak nurt głębokiej, przejrzystej rzeki wskroś kwietnych dolin, nie było w niej dysonansów, ani akordów grzmiących, tragicznych; cisza, spokój, słodycz.

Umilkły dźwięki, a oni wciąż siedzieli nieporuszeni, mieli dusze przepelnione szczęściem pogodnem, dobrem. Paweł wstał, podszedł do Toninki, siadł obok,

oparł jej głowę na ramieniu i popadł w głęboką zadumę. Dziecko, ukołysane spokojem, zasnęło, i siedzieli tak długo, przytuleni do siebie, przeniknięci jednym uczuciem, szczęśliwi.

---

Chodzili po ogrodzie, siadywali na łące, bładzili po lesie, odpoczywali pod gruszą przy świątku, chłodzili się cieniem alei lipowej, wędrowali aż do ruin bronowieckich. Paweł niósł dziecko na ramieniu, gdy się zmęczył oddawał je Tonince, a ono wyciągało rączki równie chętnie do „tiami“, jak i do „tiami“. Pani Jadwiga nieraz wyglądała przez okno za nimi, gdy tak szli we troje, niby kochająca para małżeńska z pierworodnym, i uśmiechała się do szczęsnej nadziei, której urzeczywistnienie wydawało jej się blizkiem. Przy stole wysokie krzesło malca stało między Pawłem i Toninką, i nieraz drobne łapki chwyciły ich ręce i łączyły je na obrusie przed sobą, różowa buzia kładła się na nich, a ciemne oczęta spoglądały figlarnie to na jedną, to na drugą stronę.

Paweł nie chciał się rozłączać ani na chwilę w ciągu dnia ze swoją kochaną dwójką; gdy grywał, kazał jej siadać naprzeciwko i od czasu do czasu rzucał ku niej radosne spojrzenia. Malec najczęściej zasypiał na kolanach Toninki, a wówczas Paweł przysiadł się do niej, tulił głowę do jej ramienia i zapadał w stan słodkiej niemocy. W takich chwilach budził się w duszy jego tryumfalny okrzyk w stronę dalekiej Ilzy: A co, nie tęsknię! jestem szczęśliwy.

I cisnęły mu się na usta słowa decydujące, lecz obawa przed silnem wzruszeniem Toninki, przed wybuchami radości matki, której badawcze i wyczekujące oczy już dawno zauważyły, przed koniecznością układania projektów, załatwiania ślubnych formalności, takie, jednym słowem, lenistwo wakacyjne, zanurzone w słodkim wypoczynku i pewne, że szczęście nie ucieknie, że każdej chwili można będzie po nie sięgnąć ręką, wstrzymywało go od ostatecznego kroku. A czas płynął, przekwitły lipy, żniwa były w całej pełni, Paweł z Toninką i dzieckiem chodzili w pole do żeńców, wracali na wysokiej furze, która kołysała się, niby łódź na falach morskich. W skwarne popołudnia siadywali w mrocznym salonie, i wówczas powstawały melodye promienne i tkliwe.

Pewnego dnia, gdy Paweł grał, przed ganek zatonął się cichuteńko na gumowych kołach powóz hrabiny, nie słyszana przez nikogo zostawiła płaszcz w sieni i weszła do salonu, stała chwilę zasłuchana, szczęśliwa, że jej się udało przytapać wielkiego artystę na gorącym uczynku tworzenia, i dopiero gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki, poczęła klaskać w urękawicznione dłonie. Paweł drgnął, już oddawna nie szarpał mu duszy ten niemły dłoń zawsze objaw hołdu słuchaczy, tem więc silniej targnął jego nerwami, zerwał się szybko spłoszony i automatycznie złożył ukłon. Dziecko zasypiające właśnie obudziło się i uderzyło w płacz, zmieszana Toninka nie wiedziała, czy ma je uciszać, czy witać hrabinę, czy przedstawiać Pawła, na szczęście w tej chwili wbiegła Mazela, która już dojrzała z okna powóz hrabiny. To-

ninka uniosła płaczącego malca i znikła za drzwiami, Paweł, przedstawiony przez Mazelę, skłonił się po raz drugi i wysłuchiwał z miną znudzoną pochwalnych tyrad hrabiny. Nadeszła pani Jadwiga, uwiadomiona przez Toninkę o przyjeździe gościa. Panie zajęły miejsce na tradycyjnej kanapie, Paweł na krzeselku z boku. Był zły, podrażniony, przypomniał sobie, że to właśnie ta pani przywiozła wieść o jego stosunku z Ilzą do Orlinec, czuł względem niej urazę i pewne zawstydzenie, milczał więc, a na miodowe zapytania odpowiadał monosylabami.

— Więc pan w zaciszu wiejskiem nabiera sił do nowej kampanii?

— Nie myślę tymczasem o jej rozpoczęciu.

— Sądzę jednak, że rychło pan pomyśli, dla ludzi wielkiego świata zacisze wiejskie jest miłe, lecz na krótko.

— Przeciwnie, czuję się tu bardzo dobrze i nie tęsknię do wielkiego świata.

— Jednakże pan do niego wróci.

— Może nie.

— Jakto, przecież się pan nie zagrzebie tutaj, bo to byłoby zbyt wielką krzywdą dla ludzkości — wykrzyknęła z emfazą.

Paweł roześmiał się.

— To chyba zabiorę z sobą Orlińce, bo bez nich czułbym się zbyt nieszczęśliwy.

Hrabina zmrużyła figlarnie oczy.

— E, panie, rychłoby pana pocieszono.

Paweł szczerwienił i znów się roześmiał.

— Nie będę potrzebował pociechy, bo bez Orlicz stanowczo w świat nie wyruszę.

Było mu dziwnie wesoło, doznawał wrażenia, jakby ta pani była przedstawicielką wielkiego świata, z którego się wyrwał, bez którego było mu tak dobrze, a w którym pozostawił Ilzę i, jakby jej mówiąc o swem obecnem szczęściu i o zamiarze nierozstawania się z niem, rzucał wyzwanie tamtej. Hrabina, z właściwą kobietom intuicyą, zorientowała się w położeniu i zagadnęła wchodzącą Toninkę:

— Panno Antonino, niechże pani namówi kuzyna, aby nie wyrzekał się wielkiego świata dla Orlicz, bo na tem ludzkość ucierpi.

Toninka odczuła te słowa, jak obelgę, przybrała stanowczy wyraz twarzy i rzekła:

— Mój kuzyn nad wszystko miłuje sztukę i cokolwiek czyni, czyni dla jej dobra.

— Wielcy artyści bywają czasami ludźmi i zapominają o swem posłannictwie dla względów ziemskich.

— Memu kuzynowi to nie zagraża, zawsze umie się utrzymać na swem stanowisku.

— Ha, skoro pani tak sądzi, to inaczej być nie może — skapitulowała hrabina — pani zna swego kuzyna zapewne bardzo dobrze, a ja mam przyjemność widzieć go po raz drugi, i to w zupełnie innych warunkach, w innem otoczeniu, niż po raz pierwszy — dodała z naciskiem.

— Zdaje mi się, że ja wogóle unikałem otoczenia — zauważył Paweł.

— Tak, to jest cechą prawdziwych artystów, że lubią nieliczne, lecz wybrane towarzystwo, a pan podobno celował pod tym względem.

Paweł był ogromnie rad, pragnął, aby hrabina pod osłoną zręcznych dwuznaczników jak najwyżej podnosiła wartość Ilzy, gdyż tem więcej doznawał zadowolenia, że nad nią zatryumfował, i tem więcej dumy za Toninkę, którą jej przeciwstawił.

— Nie miałem czasu na wybieranie towarzystwa, przyjmowałem to, które mi się samo narzucało — rzekł lekceważąco.

— W takim razie trzeba przyznać, że pan jest dzieckiem szczęścia.

— Mało cenię to szczęście. Za prawdziwe szczęście tylko uważam takie, którego sam zapragnę i sam zdobędę, szczęście, otrzymane bez starania, nie ma dla mnie żadnej wartości.

— Jest pan niewdzięczny.

— Sądzę, że nikomu na mej wdzięczności nie zależy.

— Brak jej może być panu zapamiętany i odeszczony w przyszłości.

— Przyszłość zależy ode mnie, ułoży się tak, jak będę chciał.

— Bardzo pan pewien siebie, ale to ważna zaleta dla artysty, człowiekowi jednak przynosi czasem zawody.

— Jestem przedewszystkiem artystą, chociaż jako człowiek posiadam dość pewności siebie, gdyż czuję się silny.

— Czasem męska siła ulega przed słabością.

— Tak, jeżeli mężczyzna tego chce.

— Bywa i wbrew jego woli.

— Pani hrabina bawi się we wróżby.

— Nie, ja tylko, jako kobieta, występuję w obronie kobiet.

— Alboż ja je krzywdzę?

— Nie, bo się skrzywdzić nie dadzą, mają dostateczną po temu siłę.

— Słabe kobiety?

— I najśłabsza istota posiada pewną siłę, którą największych mocarzy poskramia.

— Tak, jak pszczoła swym jadem, ale gdy się na jad zobojętniało...

— To zależy od stosowania jadu. Gdy się do niego przywyknie — zobojętnieje, gdy się odwyknie — znów działa silnie.

— Można się nań nie narażać.

— A więc obawa?

— Nie, poprostu znudzenie.

— Wszystko prędzej czy później nudzi, równie jad, jak i słodycz. Artysta powinien zmieniać wrażenia, bo to pobudza twórczość.

Pokojówka wniosła owoce, i to zmieniło treść rozmowy. Paweł był podniecony i rozbawiony, Toninka doznawała uczucia, jakby jej ktoś mokrym ręcznikiem owinął serce.

Hrabina była zbyt dobrze wychowana, by prosić Pawła o grę, wkrótce więc powstała do odjazdu. Na pożegnanie spojrzała Pawłowi przekornie w oczy i rzekła:

— Tak, panie artysto, i słodycz nudzi.



Tego wieczora na balkonie była rozbieżność uczuć: Toninka siedziała smutna, a Paweł wciąż się uśmiechał, i rumieńce przepływały mu przez twarz.

— Nieznośna baba — rzekł wreszcie — co jej na tem zależało, aby mi tamtą przypominać. Chyba po prostu kobieca przekorność i chęć mówienia. Musiała jej się jednak dobrze przyjrzeć, bo tak ją chwaliła. Cudna też to kobieta, ach, cudna!

Wyprężył całe ciało i wstrząsnął się, westchnął głęboko, usta rozchylił rozkosznym uśmiechem. Toninka spojrzała na niego z niepokojem, i jeszcze cięższy smutek przygniół jej serce. Milczeli, a nad nimi kołysał się purpurowy motyl żądz. Paweł drżał od czasu do czasu, nareszcie odwrócił się twarzą do ławki, przylgnął do niej mocno i westchnął: Oj! oj! oj!

Była w tem westchnieniu skarga, pustota i namiętność.

Gdy się rozchodzili na spoczynek, przytrzymał ręce Toninki, popatrzył jej w twarz zmrużonemi oczyma i rzekł:

— Aj, siostrzyczko, żebyś ty wiedziała, jakie bywają rozkoszne kobiety na świecie!

Poczem ucałował jej ręce i poszedł do siebie. Tej nocy zazdrość kąsała ostrymi ząbkami serce Toninki i gorzkie łyzy wyciskała z jej oczu. Lecz nazajutrz pogoda znów wyzierała z twarzy dziewczyny, a po południu przeszła w wesołość, gdyż Paweł dokazywał, jak nigdy, grał jakieś ucieszne piosenki, parodyował sentymentalną grę starej panny, pokazywał karykatury różnych muzyków, wreszcie rozpuścił ręce

po klawiaturze i uderzył tak siarczystego czardasza, aż szyby zadźwięczały.

Przy kolacyi przyniesiono pocztę, Paweł przeglądał „Tygodnik Ilustrowany“, i naraz twarz jego rozjaśnił uśmiech radosny, pochylił głowę niżej, a gorący rumieniec zabarwił mu policzki, Toninka uśmiechnęła się do niego, obeszła stół wokoło i spojrzała przez ramię na rysunek: przedstawiał rzeźbę nagiej kobiety, stała wyprostowana, pyszna ze swych pięknych kształtów. Paweł uniósł ku Tonince twarz rozplomienioną i rzekł:

— Co, piękna? Ale tamta piękniejsza — i przypomnienie rozkoszy znów ubarwiło mu twarz rumieńcem.

Toninka patrzyła na rysunek martwemi oczyma, w głowie miała chaos myśli, w sercu chłód, a Paweł uśmiechał się wciąż, przewrócił kilka kartek i znów wrócił do rysunku nagiej kobiety.

Tego wieczora po raz pierwszy nie poszedł przed udaniem się na spoczynek zajrzeć do dziecka, jak to czynił zwykle, lecz błądził długo po ogrodzie, gwizdząc z cicha. Nazajutrz był milczący, zdenerwowany, nie grał, a po podwieczorku wyruszył sam do ruin.

Toninka skryła się w swoim pokoju, łyzy dławily ją w gardle, ciężko jej było otrząsnąć się z różanych marzeń, które omotały jej serce słowa i postęпки Pawła. Ani razu nie powiedziała sobie: „On będzie mój na zawsze, już się nie rozłączymy“, nie śmiała tego powiedzieć, a jednak w głębi serca czaiła się nadzieja wielkiego szczęścia, i oto przycinki hrabiny, rysunek w tygodniku były posiewem, niecącym w duszy

Pawła przygasły płomień, który zniweczył wzniesioną przezeń budowlę szczęśnych dla Toninki postanowień.

Czuła, że go znowu traci, że jutro, pojutrze odjedzie od niej, gnany tęsknotą do tamtej kobiety. Powiedziała mu: gdy zapragniesz, wróć! A on już zapragnął, walczyć może będzie z sobą czas jakiś, lecz ulegnie i wróci.

Targało się serce Toninki odruchowym buntem, pierś podnosiła gniewem, w myślach był zamęt i jęk, lecz powoli, powoli serce napłynęło tkliwością niezmierną, i wraz z nią przyszły myśli usprawiedliwiające, jasne.

— Nie zwodził, nie oszukiwał, mówił: „Nigdy nie związę życia swego z życiem kobiety, wezmę od niej tyle wrażeń, ile mi dać będzie zdolna, i pójdę do innej po nowe wrażenia“. Postępuje zgodnie ze słowami, jest zatem w porządku, a jeśli rzucił kilka niebaczących słów, to tylko pod wrażeniem chwili silniejszym, niż inne, nigdy jednak nie rzekł nic stanowczego, bo stanowczych zamiarów nie miał. Spędził przy niej kilka dobrych chwil i odchodzi po inne, nie należy mu psuć wrażenia goryczą i smutkiem, trzeba dobre chwile dobrze zakończyć.

Wracającego z samotnej przechadzki powitała radosną twarzą; popatrzył na nią zdziwiony, miał duszę omroczoną żalem do samego siebie, że porzuca tę czystą dziewczynę, że nie wypełnia danych jej w słowach niebaczących przyrzeczeń, czuł się krzywdzicielem i nie śmiał szczerze do niej się zwrócić, a ona witała go pogodnie, wesoło niemal. Łatwo ulegający wszelkim wrażeniom, nawet się ożywił, gawędził z Toninką,

a nocą na balkonie opowiadał jej, jak przyjacielowi, o piękności Ilzy i o jej niezwykłym życiu.

W dwa dni później pakował rzeczy i pełen rozgorączkowania rwał się do Ilzy. Zniknęły mu z pamięci postanowienia, by zwalczyć pragnienie jej pięknego ciała, by poślubić Toninkę, by wypełnić swe życie stwarzaną przez nią atmosferę. Czuł, że musi za wszelką cenę jak najprędzej ujrzeć tę cudną postać, nasycić nią swe oczy, usta, objęcia. To też szarpnął się niecierpliwie, gdy przy obiedzie pani Jadwiga, majestatycznie surowa, oznajmiła mu :

— Nie wiem, czy dziś będziesz mógł wyjechać, gdyż podobno we wsiach okolicznych wybuchnęły strajki i banda strajkujących wędruje od dworu do dworu, zmuszając służbę do porzucenia pracy. W tej chwili przybiegł z tą wiadomością syn naszego karbowego, który ma kuźnię w Pawłowicach, tam podobno już od rana nikt nie poszedł do roboty.

— Ależ, mam, ja jechać muszę.

— Moje dziecko, to siła wyższa.

— Skądże znowu strajk, już był spokój, zdawało się, że wszystko wróciło do normalnego stanu?

— Podobno dziedzic z Mańkowa cofnął służbie przyznane w roku zeszłym dodatki, i to wywołało strajk u niego, który następnie rozszerzył się na okolicę.

— Mama przecież poprawiła im warunki bytu i nic nie cofnęła.

— Tak, to też oni sami strajkować nie będą, gdy jednak przyjdzie tłum i zmusi ich do tego, z obawy pójdą za nim.

— Sądzę, że względ na pamięć Tadeusza wstrzyma strajkujących od najścia Orliniec.

— Oni idą za głosem agitatorów, którymi najczęściej bywają ludzie obcy, nie znający warunków miejscowych.

W sieni zadudniły bosc stopy, drzwi otworzyły się z trzaskiem, i do pokoju wpadła gromada spleoszonych dziewcząt kuchennych :

— Idą, idą, paniulecku, już są na grobli, zarutko tu będą, ino ich patrzeć. O rety, rety! paniulecku, co to będzie? co to będzie?

— Uspokójcie się i wracajcie do roboty.

— Ba, a jak nam każą robotę cisnąć i ze sobą wędrować?

— To ich posłuchacie, nie można tłumowi się opierać, bo gwałtem zmuszałby was do posłuszeństwa, i wówczas stałoby się jakie nieszczęście. Idźcie na swoje miejsce, a ja się z nimi rozmówię.

Dziewczęta cofnęły się trochę uspokojone.

W jadalnym zapanowała cisza. Pani Jadwiga siedziała wyprostowana, blada, ze ściągniętymi brwiami, Mazela dostała wypieków, Paweł był zły.

— Idą! — rzekła Toninka z oczyma zwróconemi ku oknu.

Na dziedzińcu zabarwił się tłum, szli wieśniacy w białych płótniankach, garstka mężczyzn od waszecia, kobiety w jaskrawych odświętnych wełniakach, bokiem, niby stado wróbli, dzieci rozciekawione z gołemi łepetykami. Szli z gwarem, butnie i śmiało, zaleli drogę, deptali klomb, pchali się do ganku. Byli, jak zbałwanione wio-

senne wody, rozlewające się w czas powodzi niepowstrzymanie coraz dalej i dalej.

Na twarzy Pawła wykwitnął uśmiech zachwytu, oczy chłonęły nowy i piękny widok, w mózgu tętniła już jakaś melodia silna i tragiczna.

Pani Jadwiga poruszyła się, by wstać, wyciągnął ku niej błagalnie rękę.

— Nie, nie, jeszcze chwilę, mamó, to piękne, to mocne.

A oni byli coraz bliżej, wstępowali na schody ganku i zaglądali w okna, widniały tuż roznamiętione twarze, rozbłyśte oczy, gwar głosów przemienił się na wrzawę.

— Róże łamią! — krzyknął naraz Paweł, rzucił się ku oknu, otworzył je na ścieżaj i, z rękami opartymi na ramach, wołał:

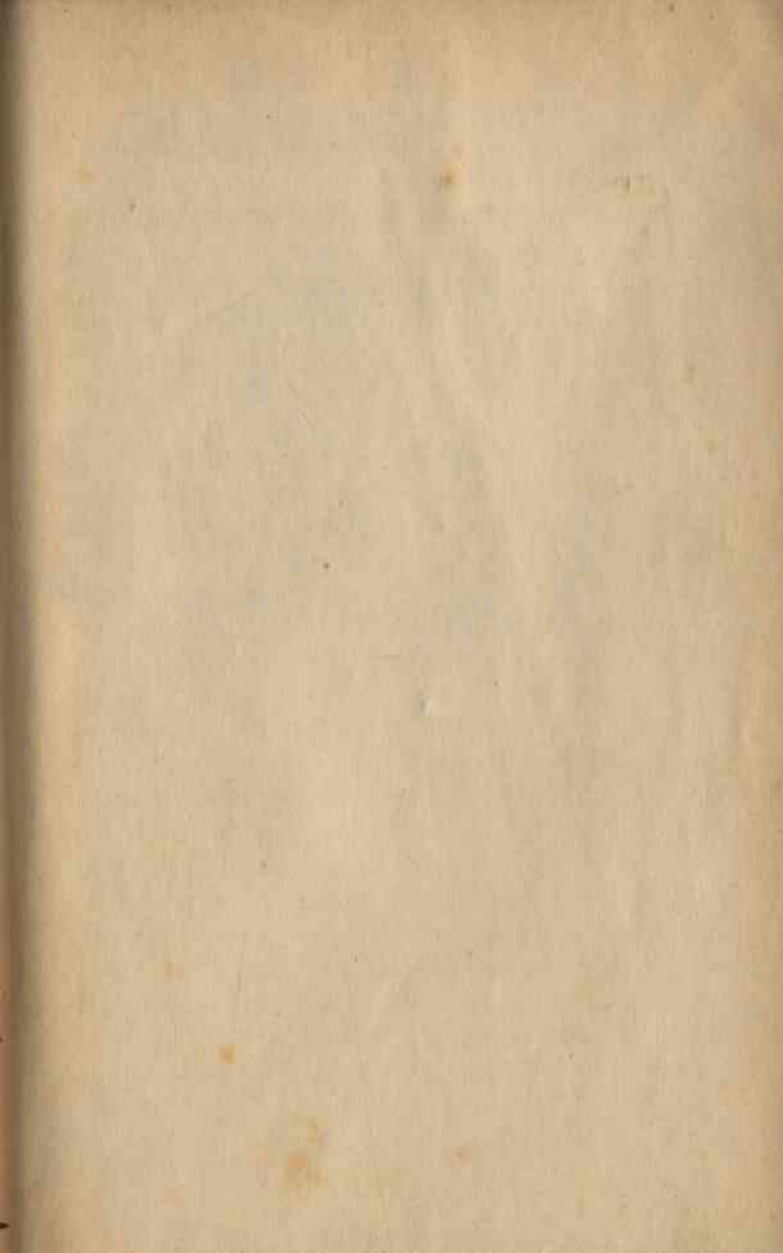
— Precz! precz!

Suchy trzask, cisza, ręce Pawła obsunęły się wzdłuż ram, ciało padło naprzód, zwisło na parapecie, odepchnięte okna biły w zwieszoną głowę, tłum zarzyczał:

— A! a! a! — i biegł, uciekał, nił dalej i dalej.

Toninka przyskoczyła do Pawła, szarpnęła go za ramiona, zwróciła ku sobie, ciężkie ciało wymknęło się z jej rąk i padło w znak na okno. Twarz była sina, oczy przymknięte, usta rozchylone, na białą kamizelkę przesączała się plama krwi.

Tak zginął z tego pokolenia Orlińskich ostatni.



~~URZĘDNIK~~  
URZĘDNIK: T. ... w KRAKOWIE  
SEKCJA IV.